RZECZPOSPOLITA BANANOWA
Marcin Matczak o kryzysie polskiej praworządności

RAPORT O PIEKLE
Bóg skazuje na wieczne męki?

WŁADZA FACEBOOKA
Co tracimy w mediach społecznościowych

MIĘSO ROŚNIE W LESIE
Andrzej Kruszewicz: myśliwi, weganie i hipokryci

Kraków 15 kwietnia 2018 nr 16 (3588) cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Największa miłość Polaków

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
16
9 770041 480802

REKLAMA

Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r. - Polski pilot - Bilety wstępów

Konsumencki Lider Jakości 2018 DEBIUT ROKU

Opera w Weronie

Od 3 698 zł

Oceny gości ★★★★★ 4,5

Aida i Carmen **Wylot 09/07/18**
Cyrulik sewilski i Nabucco **Wylot 16/08/18**

2 cudowne wieczory w amfitearze z klasyką muzyki operowej połączone z wycieczkami do Bergamo, Borghetto i nad jeziora Garda oraz Como. Program wycieczki: Dzień 1. Wylot z Warszawy do Mediolanu. Zwiedzanie Bergamo. **Dzień 2.** Czas wolny w Weronie, wizyta w winiarni i wieczór z operą. **Dzień 3.** Średniowieczne miasto Borghetto, Jezioro Garda i wieczór z operą. **Dzień 4.** Jezioro Como i powrót z Mediolanu do Warszawy.

- **Hotel: 4* (3 noce)**
- **Wyżywienie: 3 śniadania, 1 obiad, 2 kolacje**

Więcej na www.albatros.pl

ARMENIA I GRUZJA **11 dni**

Oceny gości ★★★★½ 4,5

Armenia i Gruzja – perły Kaukazu

Od 5 998 zł

Wyloty 08/09 i 01/10 2018

Program wycieczki: Dz 1. Wylot z Warszawy do Erywania. **Dz 2.** Przylot do Armenii. Erywań. Zwiedzanie miasta, m.in. Muzeum Historii Armenii, Plac Republiki, Opera, Kaskady i Pomnik Ofiar Ludobójstwa Ormian. **Dz 3.** Wyjazd do Wagharszapat, klasztor Chor Wirap i wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO ruiny katedry w Zwartnocu. **Dz 4.** Wyjazd do destylarni brandy, świątynia w Garni, wpisany na listę UNESCO Klasztor Geghard i Instytut Matenadaran. **Dz 5.** Erywań-Tbilisi. Jezioro Sewan - wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO klasztor Hachpat - górskie miasto Dilidżan– Jezioro Sewan – Tbilisi, Gruzja. **Dz 6.** Zwiedzanie Tbilisi, m.in. świątyni Metechi, łaźni i twierdzy Narikala. **Dz 7.** Tbilisi – Gudauri. Mccheta. Monastyr Dżwari, Katedra Sweti Cchoweli, muzeum Stalina i starożytne miasto Uplisciche. **Dz 8.** Gudauri – Tbilisi. Kazbek, Stepantsminda i przejazd samochodami SUV do klasztoru Cminda Sameba (Święta Trójca). **Dz 9.** Wycieczka do górskiego miasteczka Signagi i odkrywanie tradycyjnej produkcji wina. **Dz 10.** Czas wolny w Tiblisi. **Dz 11.** Wylot z Tbilisi do Warszawy.

- **Hotele: 3*/4* (9 nocy)**
- **Wyżywienie: 9 śniadań, 8 obiadów, 4 kolacje**

WIETNAM **13 dni**

Oceny gości ★★★★½ 4,7

Zadziwiający Wietnam

Od 8 998 zł

Wyloty 13/11 2018, 22/01 i 05/02 2019

Program wycieczki: Dz 1. Wylot z Warszawy. **Dz 2.**Hanoi. Wycieczka rikszami przez zabytkową część miasta. Jezioro Hoan Kiem. **Dz 3.** Hanoi. Zwiedzanie miasta: mauzoleum Ho Chi Minha, Pagoda na Jednej Kolumnie, Świątynia Literatury oraz Wodny Teatr Lalek. **Dz 4.** Hanoi – Zatoka Ha Long. Rejs. **Dz 5.** Ha Long – Hanoi. Przelot do Da Nang i przejazd do Hoi An. **Dz 6.** Hoi An. Wycieczka rowerowa. Wyspa Kim Bong, wizyta w pracowni lokalnych rzemieślników. Spacer po zabytkowej części miasta Hoi An. Rejs o zachodzie słońca. **Dz 7.** Czas wolny w Hoi An. **Dz 8.** Hoi An – Hué. Przełęcz Hai Van, rejs Rzeką Perfumową, Pagoda Thien Mu oraz mauzoleum Tu Duc. **Dz 9.** Hué. Wycieczka rikszami do zabytkowej części miasta, cytadela. Przelot do Ho Chi Minh. **Dz 10.** Ho Chi Minh – Delta rzeki Mekong. **Dz 11.** Ho Chi Minh. Tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta i kolacja pożegnalna. **Dz 12.** Poranny spacer po parku, wizyta na bazarze i wylot z Ho Chi Minh.**Dz 13.** Przylot do Warszawy.

- **Hotele: 3*/4* (10 nocy)**
- **Wyżywienie: 10 śniadań, 7 obiadów, 6 kolacji**

Cena zawiera: opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2 osobowych, wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe oraz **bilety wstępów.**

Warszawa ul. Marszałkowska 74
Kod reklamy: TP07

Rezerwacja +48 22 128 48 81 | www.albatros.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Piekielny news*

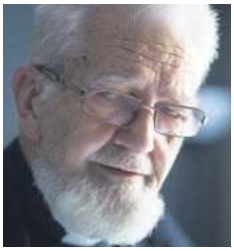

W rozmowie z 94-letnim nestorem włoskich dziennikarzy Eugenio Scalfarim papież Franciszek miał powiedzieć, że piekła nie ma. Choć Scalfari wyznał, że z papieżem rozmawiał bez dyktafonu, bo posiada znakomitą pamięć, a Watykan dementował prawdziwość cytatu, wypowiedź okazała się świetnym newsem. Niektórzy uznali papieża za heretyka, inni bombardowali go cytatami z Biblii i samego Jezusa z prywatnych objawień (fatimskich, św. siostry Faustyny itp.). Wielu uznało, że albo papież zmienił dogmat o piekle (choć nie ma takiej władzy!), albo się przyznał, że sam w istnienie piekła nie wierzy. Tymczasem Franciszek swoją wiarę w tej materii wielokrotnie wyznawał publicznie. Cokolwiek powiedział, to wiary Kościoła w istnienie piekła nie zmienił. Ale jakiej wiary i w jakie piekło?

O piekle dzisiaj mówimy rzadko. Jego średniowieczne wyobrażenia konstruowane z opisów tortur i cierpień, jakie tylko autorzy opisów byli w stanie sobie wyobrazić, przestały pełnić dydaktyczną rolę. Z czasem opowieści o kotłach ze smołą, ogniu i okrutnych diabłach z rogami stały się materią dowcipów, w których perypetie dusz są opowiedziane tak, jakby chodziło o postacie w materialnym ciele.

Nadal jednak są ludzie, do których przemawiają infernalne dreszczowce, jak np. książka „Boskie objawienie piekła – czas dobiega końca" Kathryn Mary Baxter z Narodowego Kościoła Bożego w Waszyngtonie. Kathryn opisuje swoje widzenia (z 1976 r.). Oto Jezus prowadzi ją do piekła, które przypomina pełen czarnych dołów cmentarz. Podchodzą do jednego z dołów: „znaleźliśmy klęczącą kobietę, która jakby czegoś szukała. Jej szkielet był również cały dziurawy. Jej sukienka płonęła. Miała łysą głowę i puste dziury w miejscu oczu i nosa. Mały ogień płonął wokół jej stóp, gdy klęczała. Po chwili zaczęła drapać palcami brzeg dołu siarki. Ogień buchnął w jej ręce i martwe ciało zaczęło z niej odpadać, podczas gdy ona dalej kopała. Straszliwy szloch wstrząsał nią. »O Panie, Panie, chcę się stąd wydostać!« – wołała. W końcu dotarła na powierzchnię. Myślałam, że się wydostanie, gdy nagle wielki demon z ogromnymi skrzydłami (...) podbiegł do niej. Miał brązowo-czarny kolor i był cały pokryty włosami. Oczy miał głęboko osadzone w czaszce i był rozmiarów wielkiego niedźwiedzia grizzly. Demon dopadł do kobiety i z wielką siłą wepchnął ją z powrotem do ognistego dołu...". Widząc jej cierpienia i innych potępionych Jezus płakał, ale pomóc im nie mógł.

Wychowani na tego rodzaju obrazach na ogół nie wiemy, że od starożytności istnieje w teologii nurt inaczej interpretujący zawartą w Ewangeliach naukę o piekle. Jego przedstawiciele, od Orygenesa (zm. 254 r.) po wielkich współczesnych teologów (jak Hans Urs von Balthasar i ks. Wacław Hryniewicz), znajdują w nauce Chrystusa „nadzieję apokatastazy". Nadzieję zbawienia dla wszystkich.

Jan Paweł II w „Przekroczyć próg nadziei" pytał: „Czy Bóg, który tak umiłował człowieka, może się zgodzić na to, aby także Go odrzucił i przez to został skazany na męki wieczne?" – i zwracał uwagę na to, że Kościół nigdy o nikim nie orzekł, że jest właśnie tym skazanym. „Milczenie Kościoła jest więc w tym miejscu jedynym właściwym stanowiskiem chrześcijanina". „Piekło jest jakąś możliwością w nas, a zbawienie jeszcze większą możliwością w Bogu" – pisał zaś teolog i biblista, jezuita Piet Schoonenberg.

Chociaż nigdy nie będziemy wiedzieli, co w rozmowie ze Scalfarim rzeczywiście powiedział papież Franciszek, to dobrze, że wiemy, jak to Scalfari zapamiętał. Zainteresowano się piekłem bardziej niż wtedy, kiedy papież mówił o istnieniu piekła.

Ja dzięki tej rozmowie sięgnąłem po pisma księdza profesora Wacława Hryniewicza. Nie neguje on istnienia piekła, lecz wierzy opartej na nauczaniu Ewangelii nadziei apokatastazy. Nieskończone miłosierdzie Boga ostatecznie zwycięży i przygarnie także potępionych. Jest to nadzieja, że zbawieni w Bożym pałacu nie będą musieli świętować wiedząc, że w lochach cierpią ich bracia bez żadnej nadziei.

Wielki teolog Hans Urs von Balthasar tak powiedział o tym: „Pewności nie da się zdobyć, ale nadzieję uzasadnić można". ©℗

TP

Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim

SOSNOWIEC, środa 11 kwietnia, godz. 18.00
Pałac Schoena, Muzeum w Sosnowcu, ul. Chemiczna 12.

ŁODŹ, czwartek 12 kwietnia, godz. 16.00
Uroczystość wręczenia tytułu doktora *honoris causa*,
Uniwersytet Łódzki, Aula Wydziału Filologicznego,
ul. Pomorska 171/173. Wstęp wolny.

Msze św. i spowiedź:

MSZE ŚW. – kościół zgromadzenia marianów na Stegnach
(ul. Bonifacego 9, Warszawa),
soboty godz. 18, niedziele godz. 8.30.
SPOWIEDŹ – bazylika św. Floriana
(ul. Warszawska 1b, Kraków), **wtorki godz. 18-19.**

▪ Kontakt ws. organizacji spotkań z ks. Adamem: **kuczminska@tygodnik.com.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Dostępna świętość
ARTUR SPORNIAK

6-10 Wiadomości / Komentarze

11 Tygodnik Czytelników

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Frustracja, formalizm i Fromm
MARCIN MATCZAK: *Dlaczego polskie państwo prawa tak łatwo uległo atakowi?*

26 Ustawa inna niż wszystkie
RAFAŁ ZYCHAL *o sztandarowym projekcie Jarosława Gowina*

28 Mięso rośnie w lesie
ROZMOWA Z ANDRZEJEM KRUSZEWICZEM, DYREKTOREM WARSZAWSKIEGO ZOO

■ ■ WIARA

34 Palący problem z piekłem
MACIEJ MÜLLER I ARTUR SPORNIAK

38 Maryjny zielnik
MAGDALENA ŁANUSZKA: *Co znaczą kwiaty na obrazach Matki Bożej*

41 Na ścieżkach nadziei
S. MARIA KRYSTYNA ROTTENBERG

42 Pusta przestrzeń między aniołami
PIOTR SIKORA: (2) *Medytacje Wielkanocne*

■ ■ ŚWIAT

44 Pustynia, sąsiad potężny
MARCIN ŻYŁA I GRAŻYNA MAKARA: *Korespondencja z Burkina Faso*

48 Pokolenie masakr
JAN SMOLEŃSKI: *Ruch uczniów z Florydy rozlewa się po USA*

ANDRZEJ IWANCZUK / REPORTER

■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Stany iluzji
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Ameryka kochana na odległość stanowi jeden z kluczowych elementów naszej narodowej mitologii. To miejsce, które nie istnieje na mapie świata, tylko na mapie naszych lęków, fantazji i pragnień.

16 Kłopotliwy sojusznik
MARIUSZ ZAWADZKI

Jak po czasach romantycznych wzlotów relacje z USA wracały do normalności – i dokąd zaszły.

■ FELIETONY ■

32 ANNA DZIEWIT-MELLER
43 SZYMON HOŁOWNIA
67 ANDRZEJ STASIUK
83 JAN KLATA
89 PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ DODATEK SPECJALNY ■

Copernicus Festival

Okładka: STATUA WOLNOŚCI, NOWY JORK
Fotografia: NORMAN BOCK / BEW // MONTAŻ „TP”
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

51 Braterstwo się skończyło
MAREK RABIJ: *Współczucie dla uchodźców z Birmy wyczerpie się wraz z ryżem*

■ ■ Z ODDECHEM

54 To nie Facebook, to my
MICHAŁ KUŹMIŃSKI: *Oddaliśmy algorytmom nasze życie publiczne*

■ ■ HISTORIA

60 Żona rewolucji
WOJCIECH JAGIELSKI *o gniewnym obliczu Winnie Mandeli*

■ ■ NAUKA

64 Nasze życie wewnętrzne
ROZMOWA Z EDEM YONGIEM, AUTOREM KSIĄŻKI „MIKROBIOM”

■ ■ KULTURA

72 Oczy mam złowrogie
JAN BALBIERZ *o Karlu Ovem Knausgårdzie i „Mojej walce”*

76 Jedyne możliwe zamknięcie dramatu
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Jarosław Marek Rymkiewicz na scenie*

78 Straż tylna
PIOTR STANKIEWICZ: *Pamięć o Kaczmarskim żyje*

80 Pożegnanie Tytana
ROBERT KASPRZYCKI *o Zbigniewie Łapińskim*

81 Warto zobaczyć w TV

82 Lament z sutereny
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Niewidzialne” Pawła Sali*

83 Żarty i głębsze znaczenie
LEKTOR *o korespondencji Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta*

■ ■ ZMYSŁY

84 Wyuczona nieomylność
PAWEŁ POTOROCZYN: *W czym przegląda się dzisiaj Ameryka*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA

DOSTĘPNA ŚWIĘTOŚĆ

Ogłoszona właśnie adhortacja o powołaniu do świętości to podsumowanie pięciolecia pontyfikatu Franciszka.

ARTUR SPORNIAK

O tym, że papież zamierza ogłosić nowy, ważny dokument, dowiedzieliśmy się miesiąc temu: wspomniał o nim mimochodem bliski współpracownik Franciszka, kard. Óscar Rodríguez Maradiaga. Jednak adhortacja „*Gaudete et exsultate*" (Cieszcie się i radujcie), ogłoszona 9 kwietnia, nie powinna być zaskoczeniem – choć dojrzewała powoli (niektóre myśli w niej zawarte papież wypowiadał już w 2013 r.), jest logicznym owocem tego pontyfikatu i wskazuje na to, co od owego pierwszego „Buonasera!" na placu św. Piotra stanowi główne przesłanie papieża: spotkanie z Bogiem nie dokonuje się przede wszystkim w niezwykłych sytuacjach i heroicznych czynach, lecz jest możliwe w życiu każdego z nas.

„Nie należy spodziewać się tutaj traktatu o świętości, z wieloma definicjami i rozróżnieniami" – wyjaśnia papież. Jego celem jest przedstawienie powołania do świętości we współczesnym kontekście, „z jego zagrożeniami, wyzwaniami i możliwościami". Zaledwie 74-stronicowy tekst składa się z pięciu rozdziałów, zatytułowanych: „Powołanie do świętości" (papież przypomina, że obejmuje wszystkich bez wyjątku), „Dwaj subtelni nieprzyjaciele świętości" (chodzi o współczesny gnostycyzm i pelagianizm, czyli rozum bez tajemnicy

Plac św. Piotra, audiencja generalna, październik 2013 r.

FILIPPO MONTEFORTE / AFP / EAST NEWS

↦

↦ i wolę bez pokory), „W świetle mistrza” (Jezus jako wzorzec), „Pewne cechy świętości w świecie współczesnym” (wytrwałość, radość i poczucie humoru, śmiałość świadectwa, wspólnota i modlitwa) oraz „Walka, czujność i rozeznanie” (nacisk na rozeznanie jest charakterystyczny dla tego pontyfikatu, tutaj mamy jego kolejną wykładnię).

Świętość jest bliska: „Jesteś rodzicem, babcią lub dziadkiem? Bądź świętym, cierpliwie ucząc dzieci naśladowania Jezusa. Sprawujesz władzę? Bądź świętym, walcząc o dobro wspólne i wyrzekając się swoich interesów osobistych”. Działa też poza Kościołem. Może wzrastać przez małe gesty, np. w unikaniu obmowy czy w służbie ubogim. Nie wyklucza błędów i upadków („Nie wszystko, co święty mówi, jest w pełni wierne Ewangelii, nie wszystko, co czyni, jest autentyczne i doskonałe”). Nie powinniśmy się jej bać: „świętość nie czyni cię mniej ludzkim, bo jest spotkaniem Twojej słabości z siłą łaski”.

Franciszek wymienia współczesne przeszkody na drodze do świętości: hedonistyczny konsumpcjonizm, który usypia, indywidualizm, który daje pozór bezpieczeństwa, ale także kościelne zagrożenia – nadmierne przywiązanie do „własnych norm, zwyczajów lub stylów”, bycie „niewolnikami schematu”, lęk przed nowością, patrzenie na innych z góry, „ideał świętości”, który pomija niesprawiedliwość tego świata. Świętość jest niezasłużoną łaską, ale jej sprawdzianem jest gotowość służby i głęboka radość. Nie bez powodu papież zaleca m.in. modlitwę Tomasza Morusa: „Daj mi, Panie, poczucie humoru. Udziel mi łaski zrozumienia żartu, by odkryć w życiu trochę radości i by móc użyczyć jej innym”.

Dyskusję może wywołać nacisk na aktywność w świecie – jakby Franciszek, wbrew wielowiekowej tradycji, nie dostrzegał świętości w powołaniu kontemplatywnym („Nie jest zdrowe miłowanie milczenia i unikanie spotkania z drugim, pragnienie odpoczynku i odrzucanie działalności, szukanie modlitwy i umniejszanie posługi”). W Kościele nadszedł czas świętości życia codziennego.

©℗ ARTUR SPORNIAK

W SKRÓCIE

DOBRY CHLEB. „Dobrze wypieczony półkilogramowy chleb św. Agaty to pierwszy produkt, który opuścił piec Piekarni Bożego Miłosierdzia” – donoszą media z Koszalina. Tydzień temu bp Edward Dajczak pobłogosławił piekarnię, której całkowity dochód ze sprzedaży chleba zostanie przekazany na koszalińskie stowarzyszenie Dom Miłosierdzia, które codziennie wydaje ponad 300 posiłków osobom w kryzysie bezdomności i opiekuje się setką swoich mieszkańców.

KRZYSZTOF KAPICA / EAST NEWS

DOBROWOLNE RANCZO. W minioną niedzielę w Nysie opolski biskup Andrzej Czaja otworzył Ranczo Nadziei. Na urządzonym poddaszu klasztoru ojców Franciszkanów zamieszka siedmiu mężczyzn z uzależnieniami i „trudną przeszłością”. Prośbę o przyjęcie do Rancza wysłali także więźniowie, którzy planują swoją przyszłość po opuszczeniu zakładu karnego. Pobyt w Ranczu jest dobrowolny.

NIEDOBROWOLNE DATKI. „Caritas przyjmuje tylko i wyłącznie dobrowolne datki na cele charytatywne” – poinformował dyrektor Caritas Polska ks. Marcin Iżycki po tym, jak prezes PiS Jarosław Kaczyński zapowiedział, że ministrowie rządu Beaty Szydło przekażą Caritasowi otrzymane wcześniej nagrody (rzecznik PiS Beata Mazurek napisała na Twitterze, że „będą konsekwencje dla tych, którzy tego nie zrobią”). „Zamiar przekazania wspomnianych środków na rzecz Caritas jest dla nas zaskoczeniem i nie był z nami konsultowany” – dodał ks. Iżycki. Opinia publiczna ustala, czy dzielenie się premią jest dobrowolne.

Niedziela miłosierdzia

BŁAŻEJ STRZELCZYK

Abp Grzegorz Ryś wspomina, że usłyszał kiedyś od pewnego księdza, iż on już „rzyga tym miłosierdziem”, bo jest go za dużo. Metropolita łódzki tłumaczy, że problem pojawia się wtedy, gdy uczynki miłosierdzia traktujemy jako obowiązki, a nie jako odwdzięczanie się Bogu za to, że tak wiele otrzymaliśmy.

Tylko pozornie miłosierdzie oznacza litość nad biedakami i kolejne charytatywne akcje. One są oczywiście ważne, bo w tym, że na mury, odrzucenie, przemoc i nienawiść Kościół odpowiada „miłosierdziem”, jest logika „nie z tego świata” i chyba lepszej nie ma.

Ale Franciszek podczas obchodów 2. Niedzieli Wielkanocnej – Niedzieli Bożego Miłosierdzia – mówił, że miłosierdzie dotyczy nie tylko ofiar wojen i wyzyskujących systemów ekonomicznych. Papież mówił o wstydzie: „Gdy doświadczamy wstydu, winniśmy być wdzięczni: oznacza to, że nie godzimy się na zło, i to jest dobre. Wstyd jest tajemnym zaproszeniem duszy, która potrzebuje Pana, by przezwyciężyć zło. Dramat pojawia się wtedy, gdy już nie wstydzimy się niczego”.

Niedziela Miłosierdzia jest więc świętem tych, którzy się wstydzą: grzechów, zaniedbań, błędów i upadków. Jest świętem nas wszystkich. Nie chodzi o pochylanie się sytych nad potrzebującymi, tylko o odkrycie, że sytych nie ma. Są tylko potrzebujący. ©℗

Kościół w Jerozolimie przygarnia uchodźców

ŁACIŃSKI PATRIARCHA JEROZOLIMY Pierbattista Pizzaballa podjął decyzję o utworzeniu parafii personalnej i stanowiska wikariusza biskupiego dla migrantów i uchodźców z Sudanu Południowego i Erytrei, którzy przebywają na terenie Izraela. Jak czytamy w jego oświadczeniu, parafia „zajmie się kwestią duszpasterstwa i sakramentów oraz formacją duchową uchodźców i migrantów”. Reorganizacji ulegną dotychczasowe struktury lokalnego Kościoła odpowiedzialne za opiekę nad tą grupą wiernych.

Decyzja patriarchy nabrała szczególnego znaczenia w związku z ubiegłotygodniową deklaracją premiera Netanjahu o porozumieniu z ONZ, na mocy którego część uchodźców miałaby zostać rozlokowana w krajach Zachodu (m.in. we Włoszech, w Niemczech i Kanadzie), a część pozostać w Izraelu – w kilka godzin po tej zapowiedzi, skrytykowany przez koalicjantów, premier złagodził stanowisko. W chwili zamknięcia tego numeru „TP” nie było jeszcze wiadomo, jaki los czeka kilkadziesiąt tysięcy afrykańskich uchodźców w Izraelu, a co za tym idzie – ich parafii w Jerozolimie. „Chcemy być gotowi” – mówi bp Pizzaballa w rozmowie z Vatican News.

© KPA

GRZEGORZ GAŁĄZKA / SIPA / EAST NEWS

Kardynał, który sporów nigdy się nie bał

„SYTUACJE OSÓB ROZWIEDZIONYCH żyjących w nowych związkach są różne i nie można powiedzieć, że wszyscy są cudzołożnikami" – powiedział kard. Walter Kasper, promując swoją nową książkę o adhortacji „*Amoris laetitia*". 85-letni dzisiaj Kasper (w latach 2005-13 szef Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan) wspólnie z biskupami Karlem Lehmannem i Otto Saierem był prekursorem rozwiązań promowanych obecnie przez Franciszka. W 1993 r. trzej hierarchowie ogłosili, że sztywne stosowanie przepisów niedopuszczających rozwiedzionych do komunii może prowadzić do „duchowej i praktycznej schizmy". Zaproponowali, by w niektórych sytuacjach mogli oni z pomocą duszpasterza podjąć decyzję o przystępowaniu do sakramentu. Rok później Kongregacja Nauki Wiary orzekła, że dobra wola nie upoważnia biskupów do głoszenia poglądów niezgodnych z nauczaniem Kościoła.

Później kard. Kasper zasłynął sporem z kard. Josephem Ratzingerem, szefem KNW, na temat kolegialności – broniąc pozycji Kościołów lokalnych przed watykańskimi dążeniami do centralizmu. Robił też wszystko, żeby mimo ratzingerowskiego dokumentu „*Dominus Iesus*" z 2000 r. dialog ekumeniczny szedł do przodu.

©℗ MAM

RDC POLSKIE RADIO

MICHAŁ KUŹMIŃSKI
będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 7 marca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

MAREK PODMOKŁY / AGENCJA GAZETA

„ANI KROKU(S) DALEJ" – taśmy z takimi napisami pojawiły się w miniony weekend w Dolinie Chochołowskiej, na Polanie Kalatówki i w Dolinie Kościeliskiej, gdzie dyrekcja Tatrzańskiego Parku Narodowego wydelegowała także wzmocnione patrole strażników, leśników i wolontariuszy, mających chronić fioletowe kwiaty przed zadeptaniem. Polowania na efektowne fotografie krokusów i umieszczanie ich na portalach społecznościowych to nowa moda – dla jednego zdjęcia Polacy skłonni są stać w wielokilometrowych korkach. ©℗

Prezes wymusza ascezę

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Zarządzając cięcia płac polityków, Jarosław Kaczyński może zatrzymać sondażowe spadki. Ale jednocześnie bezprecedensowo osłabia swą pozycję wewnątrz PiS.

Długo czekał z reakcją na zeszłoroczne premie ministrów Beaty Szydło. Wreszcie gdy seria sondaży pokazała tąpnięcie notowań, wziął sprawy w swoje ręce. Zarządził, że w ciągu miesiąca wszystkie premie mają zostać przekazane na Caritas. Zapowiedział cięcia poselskich pensji o 20 proc., redukcje zarobków samorządowców oraz włodarzy spółek Skarbu Państwa.

Ta jedna na pozór drobna decyzja będzie mieć ogromne skutki dla sceny politycznej. Po pierwsze Kaczyński wyraźnie wszedł w licytację na populizm, którą rozpoczęła Platforma rozgrywaniem kwestii premii. To źle wróży kolejnym kampaniom wyborczym.

Kaczyński tak obmyślił odpowiedź na zaczepki PO, by przymuszona asceza była bardziej dolegliwa dla opozycji. Spora część posłów PiS to członkowie rządu lub przewodniczący i wiceprzewodniczący sejmowych komisji – za co dostają dodatkowe pieniądze. Z kolei wśród wójtów, burmistrzów i prezydentów przeważają przedstawiciele opozycji.

Nie znaczy to, że PiS Kaczyńskiemu przyklasnął. W partii przeważa frustracja i wściekłość, nawet niektórzy członkowie rządu pomstują na prezesa. Uważają, że otoczony przez prywatną ochronę, bez rodziny i bez kredytu mieszkaniowego przestał rozumieć codzienne konieczności. – Żona w budżetówce, utrzymujemy dzieci, które się uczą. Skąd ja w miesiąc wezmę kilkadziesiąt tysięcy? To kompletne szaleństwo – wścieka się jeden ze znanych polityków PiS. Dla niektórych posłów pustki w portfelu to osobiste pożegnanie z niekwestionowanym przywództwem Kaczyńskiego. To może mieć przełożenie na rozgrywki wewnątrz PiS, gdzie ruszyła już gra o tron.©

Był sobie kodeks

MAREK RABIJ

Obrady ministerialnej komisji kodyfikacyjnej, która od września 2016 r. przygotowywała projekt nowego kodeksu pracy, zakończyły się suspensem na miarę Hitchcocka: w ubiegły czwartek rzeczniczka rządu Beata Mazurek oświadczyła, że PiS nie szykuje zmian w kodeksie pracy.

Owoce prac komisji obradującej – przypomnijmy – pod auspicjami resortu pracy krytykowali równie ostro pracodawcy, co związkowcy. Pierwsi – za przeregulowanie rynku chociażby przez eliminację samozatrudnienia. Stronie pracowniczej nie podobały się natomiast zmiany dotyczące urlopów i nadgodzin, w których komisja wzięła mocniej stronę pracodawców. Rząd doszedł więc do wniosku, że w tej sytuacji najłatwiej będzie pogodzić strony wyrzucając cały projekt do kosza.

Po wcześniejszych, wręcz radykalnych zmianach w prawie pracy na korzyść pracowników (podniesienie pensji minimalnej, wolne niedziele), tym razem rząd postanowił zachować większą ostrożność. Można ją jednak zinterpretować także następująco: dopóki w budżecie nie brakuje pieniędzy na sztandarowe projekty rządu z 500 plus włącznie, sytuacja na polskim rynku pracy zdaniem PiS nie wymaga żadnych politycznych interwencji. ©℗

RADEK PIEKARZ / NAGRODATISCHNERA.PL

NAGRODY TISCHNERA 2018. Filozof Miłosz Puczydłowski, animator kultury i pisarz Krzysztof Czyżewski oraz działacz społeczny Jakub Wygnański zostali tegorocznymi laureatami Nagrody im. ks. Józefa Tischnera. Wyróżnienie promuje styl myślenia i postawy łączące intelektualną rzetelność, odwagę i wrażliwość na drugiego człowieka – wartości jej patrona. Fundują nagrodę Grupa ERGO Hestia i Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, a przewodniczącym jury jest ks. Adam Boniecki. ©℗

W SKRÓCIE

SŁOWA, KTÓRYCH NIE BYŁO Kiedy była premierem, „ta spokojna, wyważona i dobra osoba tak troszkę pokazywała pazurki. I też przed tym wystąpieniem powiedziałem jej: proszę, pokaż pazurki" – miał powiedzieć Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla wpolityce.pl o wypowiedzi Beaty Szydło na temat nagród, które należały się jej rządowi, poproszony o skomentowanie doniesień „niemieckiego dziennika" „Fakt" na temat rzekomej bury udzielonej jej po tamtym wystąpieniu. „Miał powiedzieć", bo twierdzi, że o żadnych pazurkach nie mówił. Polski portal wpolityce.pl nie sprostował pomyłki ani nie przedstawił nagrania słów prezesa PiS.

SŁOWA, KTÓRE SIĘ NIE UKAZAŁY Niewykluczone, że publikacji nagrania ktoś zabronił, bo podobny przypadek miał niedawno miejsce w innym polskim tytule. „Redaktor naczelny tygodnika »Do Rzeczy«, Paweł Lisicki, zabronił mi opublikowania krytycznej opinii o tweecie Rafała Ziemkiewicza, w którym użył on rasistowskiego określenia »parchy«. Zakaz ten uważam za złamanie niepisanej umowy, iż w tygodniku będzie panowała wolność słowa" – napisał wicenaczelny Andrzej Horubała i opuścił redakcję.

SŁOWA, KTÓRE DOCHODZĄ Tymczasem ww. „niemiecki dziennik" opublikował kolejne rewelacje: o tym, że podczas posiedzenia Komitetu Wykonawczego PiS Jarosław Kaczyński powiedział: „Dochodzą do mnie głosy, że było obdzwanianie ministrów, aby nagród nie oddawać. Wiem, kto to robił". Prezes wie też, że „są osoby, wycieczki, także ministrowie, którzy już myślą o wyborach europarlamentarnych. Knują. Otóż powiem tak: Kto knuje, nie będzie miał szans na start. A kto knuje, to ja wiem".

SŁOWA, KTÓRE CHWYTAJĄ Dyrektor Radia Maryja wie z kolei, że „mówienie o pieniądzach jest najbardziej chwytliwe". O. Tadeusz Rydzyk, żaląc się na kampanię billboardową Platformy Obywatelskiej, której stał się jednym z bohaterów (PO przypomniała, że „wziął 94 mln zł dotacji"), zasugerował związki partii opozycyjnej z masonerią.

LICZBA TYGODNIA

Matematyka i nauczyciele

MOŻNA NA TO SPOJRZEĆ JAK NA PRZEŁOM: nauczyciele nie cieszyli się z podwyżek od 2012 r. Ale niedługo po 1 kwietnia, kiedy weszły w życie nowe stawki dla tej grupy zawodowej, o rewolucji mówić trudno. Raz, że stosowne rozporządzenie szefowa resortu edukacji podpisała pod koniec marca, przez co niektórzy nie dostali jeszcze „nowych" pensji. Dwa, że wchodzące w życie w tym roku pięcioprocentowe podwyżki w przypadku wielu nauczycieli można uznać za ledwie rekompensatę utraconego w styczniu dodatku mieszkaniowego. Trzy: sama skala podwyżek nie robi piorunującego wrażenia, gdy spojrzeć na tabelę minimalnych wynagrodzeń przed i po zmianie. Wynika z niej, że największy możliwy awans finansowy to 2 tys. zł w skali całego roku.

2000

Tyle złotych wynosi, w skali rocznej, najwyższa możliwa podwyżka dla nauczyciela.

Nauczyciel stażysta i kontraktowy zarobią teraz minimalnie nieco ponad 2400 zł brutto miesięcznie, czyli o 123 zł więcej niż do tej pory.

Mianowany będzie pobierał co najmniej 2824 zł (o 143 zł więcej), zaś dyplomowany – tych jest w Polsce najwięcej – dostanie pensję nie mniejszą niż 3317 zł, co oznacza podwyżkę o 168 zł. ©℗ PW

Żubry: zakaz polowania

DYREKTOR LASÓW PAŃSTWOWYCH Andrzej Konieczny zakazał komercyjnego odstrzału żubrów i poinformował, że tzw. sanitarnego odstrzału – dotyczącego osobników poważnie chorych, poważnie rannych, drastycznie cierpiących lub agresywnych w sposób zagrażający życiu bądź zdrowiu ludzi lub zwierząt – będą od tej pory dokonywać jego podwładni. Decyzja obejmuje nadleśnictwa opiekujące się stadami na Podlasiu – w Puszczy Knyszyńskiej i Puszczy Boreckiej, gdzie żyje nieco ponad dwustu przedstawicieli tego gatunku (w całej Polsce jest ich ok. 1700). Przeciwko polowaniom na żubry, w których brali udział myśliwi z Polski i z zagranicy, protestowało Greenpeace. ©℗ MO

WHITE HELMETS / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

KILKADZIESIĄT DZIECI zginęło lub zostało ciężko zatrutych w syryjskim mieście Duma na skutek ataku chemicznego, przeprowadzonego w sobotę 7 kwietnia – według świadków, przez helikopter armii syryjskiej. Objawy sugerują użycie chloru: na zdjęciach – zrobionych komórkami przez ratowników z organizacji Białe Hełmy – zmarłe dzieci mają pianę na ustach i poczerniałe twarze (na fotografii powyżej: akcja ratownicza). Łącznie w tym jednym ataku miało zginąć ok. 80 ludzi, a kilkuset zostało rannych. W minionym tygodniu miasto Duma, ostatni punkt oporu rebeliantów w regionie wschodniej Ghuty, było celem silnych nalotów armii syryjskiej i wspierających ich Rosjan. Unia Europejska uznała informację o ataku chemicznym w Dumie za wiarygodną. ©℗ WP

Węgry: trzecia z rzędu wygrana Fideszu

DOMINIK HÉJJ Z BUDAPESZTU

To niekwestionowane zwycięstwo: rządzący nieprzerwanie od 2010 r. Fidesz (w koalicji z Chrześcijańsko-Demokratyczną Partią Ludową) uzyskał większość konstytucyjną (133 miejsca) w parlamencie – czyli to, na czym Viktorowi Orbánowi najbardziej zależało. Frekwencja była wysoka: prawie 70 proc. Na drugim miejscu plasuje się prawicowy Jobbik (26 miejsc), dopiero na trzecim koalicja socjalistów i partii Dialog (20 miejsc), potem Koalicja Demokratyczna (9 miejsc) i ugrupowanie Polityka Może Być Inna (8 miejsc). Po jednym mandacie otrzymali poseł partii Razem, kandydat niezależny i – pierwszy raz w historii – przedstawiciel samorządu mniejszości niemieckiej.

W kampanii do końca funkcjonowały dwa równoległe światy. Jeden rządowy, skupiony na kryzysie migracyjnym. Drugi opozycyjny, mówiący o takich problemach jak emigracja młodych, zły stan służby zdrowia, ograniczenia autonomii w edukacji. Rząd Orbána wspierała publiczna TV; w przeddzień i w dniu wyborów emitowała (po raz kolejny) materiały o atakach terrorystycznych i o regionach, z których ma dotrzeć kolejna fala migrantów.

Co teraz czeka Węgrów? Orbán zapowiadał, że po wyborach będzie mógł rozliczyć się z opozycją. Zapewne uchwalony zostanie tzw. pakiet Stop Soros, który ma uderzyć w organizacje pozarządowe. W polityce zagranicznej w najbliższym czasie można spodziewać się kontynuacji.

A opozycja? Do dymisji podali się prawie wszyscy jej liderzy. Skoordynowany start nie udał się, partykularne interesy wzięły górę. Tymczasem gdyby opozycja wystąpiła wspólnie w Budapeszcie, Fidesz straciłby sześć mandatów, a więc i większość konstytucyjną. Po raz trzeci w ciągu ośmiu lat słyszymy o konieczności budowania porozumienia opozycji. Pytanie, czy usłyszymy to także w roku 2022. ©

Gaza spowita czarnym dymem

DZIEWIĘCIU ZABITYCH PALESTYŃCZYKÓW, setki rannych – to krwawy bilans starć w piątek, 6 kwietnia, na granicy Strefy Gazy z Izraelem. Ponad 20 tys. Palestyńczyków protestowało w ramach Marszu Powrotu – serii demonstracji organizowanych w tygodniach poprzedzających „Nakbę" („Dzień Katastrofy"), czyli rocznicę ogłoszenia niepodległości Izraela (przypada ona w połowie maja) i związanego z nią losu ok. 700 tys. palestyńskich uchodźców z okresu izraelskiej wojny o niepodległość, którzy nigdy nie powrócili do rodzinnych miejscowości (dziś na mapie Izraela). W piątek tydzień wcześniej, podczas podobnych protestów, Izraelczycy zastrzelili 19 Palestyńczyków i zranili setki. Konkretna liczba ofiar i rannych z obu tygodni na ten moment jest wciąż jeszcze trudna do ustalenia. W ostatnim tygodniu byli wśród nich także dziennikarze.

Demonstracje odbyły się w pięciu punktach w pobliżu bariery granicznej oddzielającej Gazę od Izraela, a także – znacznie mniejsze – na Zachodnim Brzegu Jordanu. Palestyńczycy podchodzili pod barierę, rzucali kamieniami i palili opony, licząc na to, że gruby czarny dym utrudni ostrzał Izraelczykom. Konieczność użycia broni ostrej Izraelczycy tłumaczą próbami przekroczenia przez Palestyńczyków granicy w celu dokonania zamachu terrorystycznego. Izraelska armia twierdzi, że w ostatnich dniach udaremniła dziesiątki takich prób. Zauważa też, że choć liczba protestujących w porównaniu z poprzednim tygodniem była mniejsza, to odnotowała obecność większej liczby wysyłanych pod barierę dzieci.

ASHRAF AMRA / SIPA / EAST NEWS

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET z Tel Awiwu

Więcej na powszech.net/strefa-gazy

Śmierć według algorytmu

ETYCZNIEJ JEST ROZJECHAĆ kota czy psa? Trzech złodziei czy lekarza? Kobietę w ciąży czy emeryta? Takie pytania właśnie przestały być eksperymentem myślowym.

49-letnią Elaine Herzberg przejechało w Phoenix autonomiczne auto. Wyposażone w laserowe czujniki, powinno ją było zauważyć także w ciemności. Nawet nie hamowało.

Choćby najlepiej wyszkolona sztuczna inteligencja zawiadująca pojazdem nie zawsze będzie w stanie uniknąć skrzywdzenia ludzi. Dlatego inżynierowie postanowili wpoić jej podstawy etyki. I tu zaczęły się problemy. Bo czy my sami rozumiemy własne zasady?

W 2016 r. zespół z MIT stworzył test „The Moral Machine", który miał ustalić, czym naszym zdaniem powinny kierować się roboty. Rozwiązały go 4 mln ludzi. Naukowcy właśnie przedstawili wyniki.

Mając wybór między dzieckiem a dorosłym w przytłaczającej większości pozwolimy skrzywdzić dorosłego. Dorosły albo emeryt? Prawie zawsze każemy zabić emeryta. Ponad 40 proc. ankietowanych wolało, żeby samochód wjechał w przechodniów niż żeby krzywda stała się pasażerom. Przy wyborze między zabiciem jednej osoby przechodzącej na zielonym, a dwiema na czerwonym, głosy rozłożyły się niemal po równo.

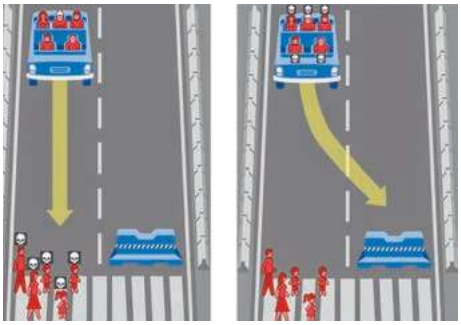

MORAL MACHINE

Czy naprawdę chcemy, żeby takie zasady były twardo zapisane nie w prawie, lecz w kodzie? Nie będziemy mieli wyjścia. Autonomiczne auta nie posługują się uczuciami, lecz surową punktacją: mają minimalizować straty.

Ludzcy kierowcy zabijają co roku 270 tysięcy pieszych. Autonomiczne auta z założenia mają być bez porównania bezpieczniejsze, ale nawet ograniczenie tej liczby o 99 proc. oznacza, że zabiją one tysiące przechodniów. Ofiar będzie o wiele mniej niż dziś, gdy krzywdzimy się sami, ale i tak trudno będzie znieść fakt, że samochód zabija: na zimno, według algorytmu. I tak, jak według tego algorytmu jest dla nas wszystkich lepiej.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

Sumy czartoryskie

W UBIEGŁYM TYGODNIU Ministerstwo Kultury i zarząd Fundacji Czartoryskich chętnie przypominały podatnikom, że zakup kolekcji należącej do tej ostatniej był okazją niemal wyprzedażową. Padły słowa o 95-procentowym rabacie udzielonym Skarbowi Państwa.

Przedstawiciele resortu nie chcą jednak pamiętać, iż jeszcze rok temu przyznawali, że ich szef siadł do negocjacji (na zdjęciu ich sfinalizowanie 29 grudnia 2016 r.) bez żadnej ekspertyzy szacującej aktualną wartość zbiorów. Minister Gliński – jak ustalił wówczas „Dziennik Gazeta Prawna" – miał do dyspozycji tylko wyliczenia Muzeum Narodowego w Krakowie, które w połowie lat 90. wyceniło kolekcję Czartoryskich na 2,5-3 mld zł.

Sprzedający również podsuwa opinii publicznej informację o rabacie rzędu 96 proc. – także bez podania źródła wyceny. Niektóre media wskazują na artykuł w „New York Times", który odnotowując transakcję wymienił rzeczywiście taką kwotę, ale... cytując wypowiedź ministra Glińskiego.

100 mln euro za kolekcję, w skład której wchodzi m.in. „Dama z gronostajem" Leonarda da Vinci czy „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem" Rembrandta, rzeczywiście nie wygląda na kwotę wygórowaną. Warto jednak pamiętać, że proste porównania choćby wartości rynkowej „Damy" z wyceną innych obrazów Leonarda mogą prowadzić na manowce. Fakt, że „Dama z gronostajem" w epoce współczesnej nie trafiła jeszcze pod młotek, może (choć nie musi) zmniejszyć jej wartość, bo w świecie kolekcjonerskim najwyższe ceny osiągają często dzieła, których wycenę potwierdziła poprzednia transakcja, najlepiej z udziałem znanego marszanda lub kolekcjonera.

Rabat, o którym zgodnie mówią resort i Fundacja, wpływa jednak kojąco na wizerunek obu instytucji, konfrontowanych z niewygodnymi pytaniami o transfer 100 mln euro z konta polskiej fundacji Czartoryskich do Liechtensteinu. ©℗ MAREK RABIJ

Zika groźna także po narodzinach

DOTĄD WIADOMO BYŁO, że zakażenie wirusem zika – m.in. u ludzi – w czasie ciąży może prowadzić do poważnych uszkodzeń mózgu płodu, wliczając w to małogłowie. Nowe badania przeprowadzone na makakach sugerują, że infekcja wirusem zika jest niebezpieczna także po narodzinach. U małp stwierdzono zmiany w budowie i funkcjonowaniu licznych obszarów mózgu, a także zmienione reakcje emocjonalne, które utrzymywały się wiele miesięcy po tym, jak wirus został usunięty z organizmu. Autorzy badania wskazują na konieczność długoterminowego monitorowania rozwoju dzieci, które przeszły infekcję wirusem. ©℗ ŁK

Psychoterapeuci o mowie nienawiści

„Bo nienawiść dużo łatwiej wzbudzić, niż skłonić do miłości. Nienawiść jest łatwa. Miłość wymaga wysiłku i poświęcenia”
MAREK EDELMAN

Kierując się istotnymi dla naszej grupy zawodowej wartościami, takimi jak poszanowanie autonomii i różnorodności jednostek oraz grup społecznych, dbałość o komunikację bez przemocy, pragniemy zwrócić uwagę na niepokojące zjawisko eskalowania przemocy w wielu obszarach naszego życia. Zauważamy coraz wyraźniejszą erozję sztuki rozmowy w przestrzeni publicznej. Zamiast do wymiany wiedzy z wiarygodnych źródeł, dochodzi do powoływania się na plotki, półprawdy, pomówienia. Miejsce uważnego słuchania zajmuje mowa nienawiści i inne formy przemocy psychicznej, takie jak manipulacja, poniżanie, obwinianie, lekceważenie oraz posługiwanie się negatywnymi stereotypami. U wielu osób rodzi to poczucie zagrożenia i niepewności, skutkuje przeżywaniem lęku, bezradności, gniewu. To, co było dawniej różnicą poglądów, staje się głębokim podziałem prowadzącym do wrogości. Osobom znaczącym – politykom, działaczom społecznym, środowiskowym autorytetom, duszpasterzom, dziennikarzom – nie udaje się stworzyć przeciwwagi w postaci wypowiedzi wyważonych, które byłyby przykładem konstruktywnej wymiany poglądów i argumentów z zachowaniem szacunku. Przybywa pacjentów mających problemy osobiste i rodzinne związane z przemocą, dyskryminacją, a także z głębokimi podziałami ideologicznymi wpływającymi na relacje małżeńskie oraz niszczącymi więzi międzypokoleniowe. Mowa nienawiści wzmacnia te procesy, dając narzędzia i ośmielając do wzajemnego poniżania się i deprecjonowania. Jako psychoterapeuci znamy negatywne skutki przyzwalania na społeczną agresję, nienawiść i wrogość. W tej sytuacji bierność sprowadzałaby się do przyzwolenia. Dlatego my, przedstawiciele zawodu zaufania społecznego, do których zadań należy dbanie o optymalne funkcjonowanie psychiczne człowieka, wzywamy decydentów, przedstawicieli partii politycznych wszystkich opcji, posłów, dziennikarzy i inne osoby aktywne w życiu publicznym do zaniechania stosowania języka nienawiści. Spirala nienawiści, której wszyscy jesteśmy biernymi bądź aktywnymi ofiarami, to proces niezwykle niebezpieczny, zagrażający zdrowiu jednostek i bezpieczeństwu społecznemu. Oczekujemy od decydentów jednoznacznej reakcji na przejawy destruktywnej agresji w przestrzeni publicznej. Apelujemy o podjęcie wysiłków na rzecz zatrzymania tego procesu.

Współautorzy listu:
HANNA PINKOWSKA-ZIELIŃSKA, BOGDAN DE BARBARO, SZYMON CHRZĄSTOWSKI, JAC JAKUBOWSKI, BARBARA JÓZEFIK, ANDRZEJ ZIELIŃSKI, GRAŻYNA SZWAT-GYŁYBOW, MARIA RUDZIŃSKA-GRAŻYŃSKA, TATIANA WRÓBLEWSKA, MONIKA ROGÓŻ, ZOFIA ADAMOWICZ, MAGDALENA GRUBICH, MARIA ZAPOLSKA-DOWNAR, EWA CHALIMONIUK, IRENA NAMYSŁOWSKA, BARTOSZ ZALEWSKI, MARTA PRYGIES-ŁUKOWSKA, MARIA DE BARBARO, WOJCIECH SOWA, MACIEJ ŻUREK, BOŻENA WINCH, WOJCIECH DRATH, ROMAN PRACKI, MAGDALENA SENDECKA, AGNIESZKA IWASZKIEWICZ, EWA TARASEWICZ

Inspiracją do powstania powyższego oświadczenia było spotkanie grupy psychoterapeutów w czasie 2. Debaty Warszawskiej „Psychoterapeuta w życiu publicznym. Obserwator czy uczestnik?” zorganizowanej przez Sekcję Naukową Terapii Rodzin Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

„TP” 14/2018

Mój Kościół i aborcja

W ostatnich tygodniach powrócił – również na łamach „TP” – temat zaostrzenia ustawy o planowaniu rodziny i wykreślenia z niej podpunktu dającego możliwość przerwania ciąży w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego uszkodzenia płodu. To właśnie „podpunkt trzeci” budzi najwięcej kontrowersji. Wydaje się to zrozumiałe: przerywamy życie słabej, chorej istoty. Dla mnie, katoliczki, ale i lekarza zajmującego się dziećmi najciężej chorymi, temat też budzi kontrowersje. Czy jednak wszystko jest tak proste? W narracji obrońców życia razi jednowymiarowość argumentów. Po pierwsze, choroby i zespoły genetyczne są szalenie zróżnicowane: posługiwanie się w materiałach propagandowych obrazami radosnych dzieci z zespołem Downa naprawdę mija się z rzeczywistością. Rodzice dzieci z zespołami genetycznymi muszą często mierzyć się z problemami niewyobrażalnymi dla zwykłego śmiertelnika, przy – podkreślmy z całą siłą – braku pomocy państwa. Równie mocno razi mnie sugestia urodzenia dziecka i oddania go pod opiekę instytucji. Nie tak dawno trafiła do mnie dziewczynka z domu małego dziecka. Bardzo ciężko dotknięta zespołem genetycznym, wymagająca operacji, z niepewnym rokowaniem. Zapytałam opiekunkę, czy dziewczynka ma szansę na adopcję? Żadnych! Pomyślałam sobie: urodzić dziecko tak chore, które czeka w życiu tyle bólu, i porzucić... Czy na pewno kobieta, która nie zabiła, ale porzuciła, ma czystsze sumienie? A może nie miała siły? Czy wiedziała o chorobie dziecka wcześniej? Czy wykonano u niej badania prenatalne? Te pomagają wychwycić ciężkie choroby we wczesnym okresie, co daje rodzicom czas na przygotowanie się i dokonanie wyboru. Znam wielu wspaniałych, pełnych poświęcenia rodziców. Podziwiam ich hart ducha, bo tego wymaga wstawanie w nocy, by przełożyć na drugi bok, odessać, podać leki, utulić w lęku itd. Spotykam też wielu złamanych... Część nie zdecyduje się na poświęcenie. Czy będą żałować? Niektórzy pewnie tak. Decyzję o kontynuacji bądź przerwaniu ciąży traktuję jako wyraz odpowiedzialności. Urodzenie i pozostawienie instytucjom chorego dziecka skazuje je na podwójne cierpienie: z racji choroby i osamotnienia. Czy ktoś z decydentów bywał w domach opieki dla dzieci upośledzonych? Ja w młodości zwiedziłam kilka. Pamiętam dzieci, które wystawały przy oknie... Bardzo mnie bolało, kiedy w moim Kościele zbierano podpisy pod projektem nowelizującym prawo antyaborcyjne. Dlaczego nie było tego zaangażowania, gdy rodzice dzieci niepełnosprawnych walczyli cztery lata temu w Sejmie o swoje prawa? Gdzie wtedy był mój Kościół? Wówczas nie padały słowa wagi ciężkiej: prawo, etyka, moralność. O nich dobrze się dyskutuje, siedząc na kanapie. Czy w aktualnie wysuwanych argumentach nie pobrzmiewa hipokryzja faryzeuszy: najważniejsze jest prawo (do życia)? A gdzie miłosierdzie?
MARIA JĘDRZEJOWSKA

STANY ILUZJI

Ameryka kochana na odległość stanowi jeden z kluczowych elementów naszej narodowej mitologii. To miejsce, które nie istnieje na mapie świata, tylko na mapie naszych lęków, fantazji i pragnień.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Powiedzmy sobie szczerze: kiedy Polska pojawia się na pierwszej stronie „New York Timesa", jest to *news* dla Polski, a nie dla „New York Timesa". Jasne, nie jest zbyt wesoło, gdy czytelnicy za oceanem mają okazję przypomnieć sobie o istnieniu naszego kraju akurat w kontekście Trybunału Konstytucyjnego czy przedstawianych w negatywnym świetle zmian w ustawie o IPN. Ale „NYT" ma co roku setki tekstów okładkowych. Fakt, że milion Amerykanów przeczyta o czymś w czwartkowy poranek, nie oznacza, że cały kraj będzie tym żył przez następny tydzień. Albo nawet i dzień.

To my tutaj, w Warszawie, Krakowie czy Dobrzykowie (powiat Płocki), jak nieszczęśliwy kochanek nieustannie przeglądamy się w oczach Ameryki, niepomni, że te oczy rzadko w ogóle dostrzegają nasze istnienie. To w Polsce kolejne teksty „Washington Post" czy „New York Timesa" odbijają się szerokim echem, wywołując debaty o lojalności i zdradzie, dyplomatycznych sukcesach i porażkach.

Bo Ameryka, którą kochamy, ta z niedawnego *exposé* ministra Czaputowicza, z podsłuchanej wypowiedzi Radosława Sikorskiego o „robieniu laski", ale też – paradoksalnie – ta ze skierowanego do polskiego odbiorcy przemówienia Donalda Trumpa, to nie rzeczywisty kraj, lecz nasz, polski fantazmat. Nasza miłość do Ameryki jest miłością korespondencyjną –

↦

Wieczór wyborczy w ambasadzie USA, Warszawa, noc z 8 na 9 listopada 2016 r.

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

↦ uczuciem do ukochanej uwznioślonej dystansem, niemal nieznajomej, postrzeganej głównie w świetle wcześniejszej wymiany listów. Paradoksalnie – im rzadziej ukochana Ameryka odpowiada na nasze listy, tym bardziej przekonani jesteśmy o wyjątkowości łączących nas relacji, bo – jak pokazują badania psychologów zajmujących się miłością korespondencyjną – nic tak nie sprzyja idealizacji jak sporadyczność komunikacji i dystans dzielący partnerów.

Ameryka kochana na odległość stanowi jeden z kluczowych elementów naszej narodowej mitologii. To miejsce, które nie istnieje na mapie świata, tylko na mapie naszych lęków, fantazji i pragnień. Nie oznacza to jednak, że polsko-amerykański korespondencyjny romans można zbyć wzruszeniem ramion. Amerykę ze snów warto poznać, gdyż wpływa ona na nasze losy na równi z rzeczywistym krajem istniejącym za Atlantykiem. Wszak politycy i wyborcy podejmują swoje decyzje, w znacznej mierze kierując się emocjami.

Historia tej dziwnej, korespondencyjnej miłości zaczyna się wraz z narodzinami samych Stanów Zjednoczonych. Jej symbolami mogą być bohaterowie obydwu narodów – Tadeusz Kościuszko i Thomas Jefferson, którzy przez lata wymieniali listy. Nazwisko Kościuszki jest znane wielu Amerykanom, zwłaszcza tym, którzy interesują się nieco historią wojskowości. Przyszły przywódca narodowego powstania wziął udział w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych. W Armii Kontynentalnej wsławił się jako inżynier i specjalista od fortyfikacji, dosłużył się stopnia generalskiego. Niewiele jednak brakowało, by legenda Kościuszki znacznie wykroczyła poza grono miłośników militariów. Polak mógł się zapisać na kartach amerykańskiej historii obok (lub raczej: zamiast) Abrahama Lincolna czy Martina Luthera Kinga. Przeszkodził w tym Jefferson, którego sam Kościuszko uważał za przyjaciela i sojusznika w rewolucyjnej walce.

Ale o tym później. Bo historia tej miłości ma więcej sensu opowiadana od końca. Zacznijmy więc od dziś, od miejsca w którym jesteśmy. A jest to miejsce dziwne.

Czy już nas nie kocha?

Najnowszy rozdział epistolarnej powieści o miłości między dwoma narodami związany jest z wyciekiem notatki informującej o konsekwencjach dyplomatycznych, jakie amerykańskie władze zamierzają podjąć wobec Polski w związku z kryzysem wokół nowelizacji ustawy o IPN. Do czasu przyjęcia zmian w kontrowersyjnej ustawie prezydent USA i jego zastępca mieliby nie spotykać się z polskim prezydentem ani premierem.

W świetle tych rewelacji nikogo chyba nie zdziwiło, że w wygłoszonym pod koniec marca *exposé* Jacka Czaputowicza to właśnie relacje ze Stanami Zjednoczonymi zajmowały miejsce kluczowe. Zarówno sam minister, jak i jego polemiści z partii opozycyjnych wiele uwagi poświęcali znaczeniu sojuszu transatlantyckiego i szczególnej więzi łączącej rzekomo Polskę i USA. Jedni i drudzy używali Ameryki przede wszystkim jako bicza na politycznych konkurentów. Było to możliwe paradoksalnie dlatego, że – jak pokazują badania opinii publicznej – Polacy powszechnie darzą Amerykę sympatią i uznają jej kluczową rolę jako strategicznego partnera naszego kraju.

Tak samo, jak biczem na opozycję było przemówienie Donalda Trumpa podczas niedawnej wizyty w Polsce. „Przybyliśmy na spotkanie z polskim narodem z bardzo ważnym przesłaniem – zaczął prezydent USA, witany przez tłumy na placu Krasińskich – Ameryka uwielbia Polskę, Ameryka kocha Polaków". Stojąc na tle monumentalnych, brązowych sylwetek powstańców warszawskich, Trump wygłosił coś w rodzaju streszczenia polskiej mitologii narodowej – chwalił polskie bohaterstwo i wspominał ogrom naszego cierpienia. Jednym tchem wymieniając Kopernika, Chopina, Jana Pawła II i Lecha Wałęsę (ten ostatni mógł się mniej spodobać rządzącym), Trump nakreślił zarazem wizję wojny odwiecznej i wiecznej, która – choć w nowej formie – wciąż Polsce i wolnemu światu zagraża. I w tej wojnie Polska została ukazana jako podstawowy sojusznik USA.

„Polska stała się ważną częścią świata – cieszył się na antenie Polskiego Radia Rafał Ziemkiewicz. – Nie jest brzydką panną bez posagu, jak nam to latami wmawiano. Jest państwem z dużym potencjałem, który interesuje największe światowe mocarstwo". Wydawało się, że jest tak pięknie.

A dokładnie dwa tygodnie później na pierwszej stronie „New York Timesa" wylądowało zdjęcie przedstawiające tłumy protestujące przeciw reformom sądownictwa. Od tego czasu jeżeli Polską, by użyć słów Ziemkiewicza, „interesuje się największe światowe mocarstwo", to wyłącznie w kontekście reformowania sądownictwa, wycinania puszczy czy kryzysu dyplomatycznego wokół nowelizacji ustawy o IPN.

Inteligent się dziwuje

Oto kolejny (czy raczej poprzedni) rozdział w historii korespondencyjnej miłości: inteligent jedzie do Ameryki. Od Henryka Sienkiewicza po Marka Wałkuskiego i Marcina Wronę (korespondentów odpowiednio Polskiego Radia i TVN) każdy polski człowiek pióra czy mikrofonu, który odwiedził Stany Zjednoczone, natychmiast odczuwał pokusę opublikowania przekrojowej rozprawy o cudach i dziwach zza oceanu. Jest to zresztą gatunek literacki znany nie tylko w Polsce – starczy wspomnieć Alexisa de Tocqueville'a, Orianę Fallaci czy Jeana Baudrillarda i Umberta Eco.

„Tak naprawdę nic nie wiemy o USA" – od tego zdania w tej czy innej formie zaczyna się prawie każda polska książka o Stanach. Obraz Ameryki wśród polskiej inteligencji przez dekady kształtowało więc coś, co można by nazwać „literaturą szoku i niedowierzania". „Ktoś podobno powiedział, iż pisanie o jakimś kraju jest rzeczą możliwą tylko albo po dwudziestoczterogodzinnym pobycie, albo po dwudziestoczteroletnim" – zauważał w tym kontekście Marek Hłasko, autor „Listów z Ameryki". Lecz zaraz dodawał: „Stwierdzenie to, jakkolwiek efektowne, nie wydaje się prawdziwe. W Stanach Zjednoczonych każda drobna obserwacja stanowi w sumie olbrzymie zjawisko społeczne".

USA, o których przeczytamy w inteligenckich „listach z Ameryki", to kraj samych niezwykłości. „W Ameryce można znaleźć wszystko – rzeczy absurdalne, dziwaczne, a nawet idiotyczne" – zaczyna „Wałkowanie Ameryki" Marek Wałkuski. W kolejnych rozdziałach opisuje m.in. przedziwne ruchy religijne czy teksty piosenek country. U Sienkiewicza („Listy z podróży do Ameryki") dowiemy się z kolei o niezwykłościach tamtejszej kolei, ale też o tym, że „tam, gdzie biały człowiek posługuje się plecami i rękoma, czarny naj-

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARCIN NAPIÓRKOWSKI będzie gościem Pawła Sulika w Popołudniu Radia TOK FM o godz. 15.40 w czwartek 12 kwietnia
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce
www.tokfm.pl

częściej używa głowy, która widocznie stanowi najtwardszą część jego organizmu". A do tego Ameryka (wątek także rozpoczęty już przez Sienkiewicza) to kraj bez historii, bez ogłady, bez prawdziwej kultury, którą (w późniejszej korespondencji inteligenckiej) zastępuje mu idiotyczna popkultura.

W ten sposób ukształtował się paradoksalny wątek naszej miłości do Ameryki. Czytając inteligenckie listy z USA, czujemy się lepsi od Amerykanów, którzy, choć tak bogaci, nie znają nawet nazwy stolicy Francji, nie odróżniają Słowacji od Słowenii i nie potrafią elegancko jeść widelcem. Stąd zapewne zachwyt, w jaki wprawiło wielu Polaków wspomniane przemówienie Trumpa, sprawnie odczytującego z promptera kolejne daty i fakty z historii naszego kraju.

Dziś wyrazem wyższościowego stosunku może być chociażby niezwykle popularny w internecie film z ulicznej ankiety, w której Amerykanie udowadniają swoją nieznajomość historii i geografii. Jest to oczywiście obraz karykaturalny. Aż boję się, jak by wyglądała Polska opisywana w ten sposób. Ciekawe, jak też by wypadli Polacy w ulicznej ankiecie dotyczącej stanów i ich stolic albo historii Ameryki...

Spojrzenie znad pługa

Historię korespondencyjnej miłości z USA buduje jeszcze drugi korpus listów. Chodzi o listy chłopskich imigrantów, których spojrzenie na Amerykę było zupełnie inne. Pierwszy raz ten niezwykły fenomen zwrócił uwagę badaczy przy okazji stanowiącej klasykę socjologii książki Williama Thomasa i Floriana Znanieckiego „Chłop polski w Europie i Ameryce" (choć Znaniecki i Thomas skupiają się głównie na listach pisanych z Polski do krewnych za granicą). Wiele fascynujących listów znamy też dzięki rewelacyjnemu zbiorowi „Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych" (red. Witold Kula i in.).

W oczach chłopskich, a potem robotniczych imigrantów wyłania się obraz Ameryki jako kraju bogatego. „Co w kraju pan zje w niedziele to w Ameryce prosty chłop zje w sobote" – czytamy w jednym z chłopskich listów sprzed ponad stulecia. Nie jest to jednak cudowna kraina, lecz jedynie ziemia nieco większych możliwości. Za oceanem również obowiązuje nakaz ciężkiej pracy, także i tu – wbrew mitologii *American dream* – bogactwo ma swoje ograniczenia.

Jak nieszczęśliwy kochanek **nieustannie przeglądamy się w oczach Ameryki,** niepomni, że te oczy rzadko w ogóle dostrzegają nasze istnienie.

GRZEGORZ KOZAKIEWICZ / FORUM

Szczawnica, 2010 r.

Niejaka Faustyna Wiśniewska pisze z Nowego Jorku: „To jest nie złoty, ale nowy kraj, zarosły w krzewiny, zasypany górami, chrapami, i tu w ludzi orzą jak w żydów za Faraona 12 godzin dziennie. A ludzie myślą, że tu złota w fartuch nagarnie i lecą na oślep. Ach wiele tu nędzy, jęków wydają ludzie boć podobno cała Europa wyludni się, zgromadzając się bandami do Ameryki. Ja bowiem mieszkam 9 miesięcy, nie widzę tu dla siebie wielkich bogactw".

Podczas lektury chłopskiej korespondencji uderza brak ciekawskiej postawy, która kształtowała spojrzenie goszczących w Ameryce inteligentów. Adresaci z Polski cytowani przez Znanieckiego i Thomasa nigdy w zasadzie nie zapytują o obyczaje czy widoki, które ich krewni napotkali w obcych stronach. Zapewne dlatego można podejrzewać, że żadna radykalna inność nie leżała w zasięgu ich wyobraźni. Chłopi, którzy wyemigrowali do Ameryki, są z kolei bardziej zainteresowani wieściami z rodzinnej wsi (do której nigdy już nie zamierzają powrócić) niż opowiadaniem o dziwach zza oceanu.

Choć oczywiście zdarzają się obserwacje dotyczące różnic między dwoma krajami. Co ciekawe – zwykle dotyczą one w ten lub inny sposób sfery religijnej. „Totesz byłem zupełnie pomniedzy temy czarnemy ludzmy co szie nazywajo nygry – pisze Julian Krzeszewski z Nanticoke w Pensylwanii do Kazimierza Sakoskiego w Płońsku (10 lutego 1891 r.) – nigdzi nie było katolyków, ani Kościoła i dopieru w dzień Nowego Roku byłem pierwszy rasz w kościele polsko katolyckem. Boć Ameryka jest bardzo wielka, a nie wszędzie są nasi bracia katolycy. I są tu mnejsca bardzo dobre i bardzo lyche, a kto trafni w lyche to nieprentko sie moze wydostać. Bo tu nigdzi nik nie może chodzić pieszo, tylko wszendzie kolejo, a ta bardzo droga. Ja przez 4 dni przejezdził 70 rubli niż [nim] sie wydostałem od tych czarnych nygrów".

„Prawda, że jest dobsze w Ameryce – wtóruje mu Marek Kroneski – ale na tamtem świecie to będzie bida, bo my jeden drugiego ni możem zbawić. Książa su polske u nas ale po polsku nic nie umiu, tilko po niamiecku muwiu kazanie i spowiedzi słuchaju, msza świanta to się tak odprawia jak u nas. Biada tamu kto zachoruje z nas bidnich Palakuw bo ludzi dużo choruje i umira bes księdza. Su polske kościoły i polske książa w Najorku [New Jorku] w inich miastach, ale tam ni ma co do roboty, bo tam płacu na dzień 75 centuw". Katarzyna Baskiewicka z Nowego Jorku donosi z kolei: „Kochana Ciocią w Ameryce ciałowi to jest dobrze ale duszi to niekoniecznie dobrze. Ciało to może pić i gulać, ale dusze to przez to można utracić".

W ten sposób dotarł do Polski obraz małych imigranckich ojczyzn. Związki z tą Ameryką, często prowincjonalną, mniej zamożną, lecz oglądaną z bliska, podtrzymywane były dekadami przez środowiska polonijne, przesyłane dolary i wizyty na pogrzebach i ślubach. One także kształtowały naszą korespondencyjną miłość i obraz USA jako nowej ojczyzny setek tysięcy Polaków. ↦

Testament Kościuszki

Wróćmy na koniec do Kościuszki i Jeffersona. O przyjaźni tych dwóch historycznych postaci skontrapunktowanej figurą czarnoskórego Agrippy Hulla przeczytać można w książce „Przyjaciele wolności. Tadeusz Kościuszko, Thomas Jefferson, Agrippa Hull" autorstwa Gary'ego B. Nasha i Grahama Russela Gao Hodgesa. Amerykańscy badacze nie wahają się w tym kontekście użyć mocnych słów. Kościuszko mógł zmienić bieg dziejów Ameryki.

Ostatni list, jaki polski bohater napisał do amerykańskiego (15 września 1817 r.), to fascynująca lektura. Zdradza zażyłość między mężczyznami, lecz także pozycję Kościuszki, który – jak gdyby nigdy nic – każe Jeffersonowi pozdrowić „waszego nowego prezydenta Monroe'a". W liście pojawia się też zagadkowe przypomnienie Jeffersonowi o „niezmiennym przeznaczeniu" kapitału Kościuszki po jego śmierci.

Cóż to za kapitał i jakie było jego przeznaczenie? Ponieważ bezpośrednio po wojnie budżet młodego państwa amerykańskiego był w opłakanym stanie, Kościuszko na zaległy żołd musiał czekać wiele lat. W 1798 r. dowiedział się, że jest zamożnym człowiekiem. Zamiast jednak cieszyć się zdobytymi bogactwami, zlecił przeznaczyć znaczną część funduszy na uwolnienie i edukację czarnoskórych niewolników, których dramatyczny los poruszył go podczas pobytu za oceanem. Był to gest analogiczny do tego, który Kościuszko wykonał wobec polskich chłopów. Ich los uznawał za nieludzki, a zmianę tragicznego położenia wskazywał jako jeden z warunków utrzymania czy odzyskania przez Polskę niepodległości. Amerykańscy historycy od razu dostrzegli tę analogię, która jednak – co warto podkreślić – nie spodobała się polskim recenzentom „Przyjaciół wolności...", oskarżającym nieznających realiów obcokrajowców o upraszczanie obrazu (no bo jak to: los polskich chłopów porównywać do niewolnictwa?!).

Jakże inaczej mogłaby się potoczyć historia Ameryki, gdyby gest Kościuszki rozpoczął reakcję łańcuchową, w ramach której wyzwoleni niewolnicy za zarobione pieniądze wykupywaliby kolejnych! Wykonanie swej woli Kościuszko powierzył jednak amerykańskiemu przyjacielowi. Któż bowiem lepiej nadawał się do tego niż autor słów „wszyscy ludzie rodzą się równi"? Niestety, Jefferson sam był właścicielem niemałego majątku w Monticello (Virginia).

W uroczej rezydencji zaprojektowanej przez samego autora Deklaracji Niepodległości (Jefferson był zdolnym architektem) do dziś dnia można podziwiać portret gospodarza autorstwa Kościuszki (z kolei zdolnego rysownika). W muzeum Jeffersona można też przeczytać o tym, jak całe życie mierzył się on ze sprzecznością między głoszonymi demokratycznymi poglądami a utrzymywaniem majątku opartego na wyzysku niewolników.

Testament Kościuszki nigdy nie został zrealizowany. Fundacja Kościuszkowska, założona w 1925 r., udziela stypendiów polskim naukowcom i znana jest głównie w Polsce. A nazwa ta mogła być zarezerwowana od końca XVIII wieku i oznaczać instytucję, która zmieniła dzieje USA. Z kolei my, Polacy, w większości znamy Kościuszkę jedynie jako przysięgającego na krakowskim Rynku powstańca. Amerykański rozdział jego biografii pozostaje u nas niemal zapomniany. O Jeffersonie wiemy jeszcze mniej.

Baśniowa królowa

Dziś poprzez kapitalizm i popkulturę wszyscy żyjemy trochę w Ameryce. Amerykańskie seriale i programy rozrywkowe oglądamy tego samego dnia, co mieszkańcy Los Angeles i Nowego Jorku. Jemy w McDonaldzie takie same hamburgery, śledzimy wybory prezydenckie i rozdania Oscarów, a ostatnio nawet Super Bowl.

A jednak Ameryka naszych wyobrażeń, przedmiot naszej nieodwzajemnionej miłości, to wciąż nierzeczywisty kraj ze swoją historią i współczesnością, ze wszystkimi fascynującymi powiązaniami i trudnymi analogiami z Polską. Zamiast tego zakochani jesteśmy w kraju-symbolu, którego baśniowe dzieje i zmyślone problemy znacznie więcej mówią nam o życiu nad Wisłą niż o rozległych połaciach między Atlantykiem i Pacyfikiem.

Może więc tak naprawdę zakochani jesteśmy w sobie?

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Kłopotliwy sojusznik

MARIUSZ ZAWADZKI

Jak po czasach romantycznych wzlotów relacje z USA wracały do normalności – i dokąd zaszły.

NAPADAJĄ NA NAS NIEPRZYJACIELE, DZWONIMY do sojuszników po pomoc, ale nikt nie odbiera telefonu – to czarny scenariusz, śniony przez Polaków w koszmarach, który przećwiczyliśmy we wrześniu 1939 r. I dlatego staramy się przez nim na różne sposoby zabezpieczyć. Stąd parcie do NATO po odzyskaniu wolności; stąd po części nawet Unia Europejska; stąd zabiegi, żeby ściągnąć na nasze terytorium żołnierzy, bazę, tarczę antyrakietową – cokolwiek amerykańskiego. Dopiero wtedy będziemy mogli spać spokojnie, że w razie czego podniosą słuchawkę i nie zostawią nas w potrzebie.

Naturalnie jeśli chcemy, by sojusznicy odbierali nasze telefony, to sami powinniśmy odbierać je od nich. Tym dziwniejsze jest to, co zdarzyło się podobno – pierwsza napisała o tym „Rzeczpospolita" – kilka tygodni temu.

Sekretarz stanu USA Rex Tillerson dzwonił do prezydenta Andrzeja Dudy, ale oznajmiono mu, że jest za niski rangą, aby rozmawiać

ANDRZEJ BOGACZ / FORUM

z głową państwa polskiego; niezgodne byłoby to z protokołem dyplomatycznym.

– Zwykle powinno to wyglądać tak, że Tillerson dzwoni do polskiego ministra spraw zagranicznych i mówi, o co chodzi. Potem MSZ przekazuje treść rozmowy premierowi czy prezydentowi – wyjaśnia Włodzimierz Cimoszewicz, który w swojej karierze był premierem, marszałkiem Sejmu i ministrem spraw zagranicznych. – Jeśli jednak sprawa jest pilna i ważna, to oczywiście sekretarz stanu mógł zadzwonić do głowy państwa.

– Nie znamy szczegółów – ciągnie wywód Cimoszewicz. – Ale domyślam się, że najpierw ambasador USA w Warszawie zadzwonił do szefa Kancelarii Prezydenta i uprzedził go o zamiarze Tillersona, prawdopodobnie wyjaśniając, dlaczego zależy mu na bezpośredniej rozmowie. Jeśli tak było, to zachowanie Dudy jest nie do obrony...

Prezydent Duda nie odebrał, bo Tillerson chciał rozmawiać o nowelizacji ustawy o IPN. Temat niewygodny – szczególnie w rozmowach z Amerykanami, którzy są bardzo przywiązani do absolutnej wolności słowa (zapisanej w pierwszej poprawce do ich konstytucji).

Z drugiej strony teksańczyk Tillerson przez wiele lat był szefem koncernu Exxon i sprawia wrażenie człowieka kulturalnego oraz obliczalnego. Zapewne „wyraziłby zaniepokojenie", „wezwał do zawetowania ustawy" itp. Duda odpowiedziałby, że bierze pod uwagę rady sojuszników, ale Polska jest suwerenna i niech rozstrzygnie Trybunał Konstytucyjny. I po bólu!

Znacznie gorzej byłoby, gdyby – zgodnie z protokołem dyplomatycznym – dzwonił osobiście Trump. Wprawdzie prezydent USA niedawno zapewniał na Twitterze, że jest „bardzo stabilnym geniuszem", ale niewielu obserwatorów podziela tę opinię. Np. latem Tillerson nazwał swojego szefa „kretynem", czemu potem, dopytywany przez dziennikarzy, nie zaprzeczył. Nie można wykluczyć, że „bardzo stabilny geniusz" – któremu obecnie depczą po piętach gwiazda porno i prokurator specjalny Robert Mueller – miałby akurat gorszy dzień i zrugałby Dudę. Co wtedy miałby odpowiedzieć prezydent RP? Nie bardzo wiadomo.

Choćby z tego powodu lepiej już było telefon od Tillersona odebrać.

Znośni jak Arabia

Na co liczył PiS, wystawiając na szwank relacje z najważniejszym sojusznikiem? Zapewne na to, że Waszyngton – pogrążony w trumpowym chaosie – szybko puści w niepamięć awanturę polsko-żydowską; że nasze transgresje najzwyczajniej utoną w powodzi dziwacznych i szokujących informacji napływających z Białego Domu.

Rzeczywiście, takie rachuby wydają się racjonalne. Tillerson, jeśli nawet poczuł się urażony nieodebranym telefonem, już przestał się liczyć. Spadł z coraz szybciej kręcącej się karuzeli stanowisk w trumpowej administracji. O swoim zwolnieniu dowiedział się z prezydenckiego Twittera.

Co więcej, kupujemy – za 4,75 mld dolarów – amerykański system antyrakietowy Patriot. To dopiero dwie pierwsze baterie, docelowo chcemy mieć osiem, więc amerykański przemysł zbrojeniowy może liczyć na długofalowe polskie wsparcie. Trump, który ciągle powtarza: „*America First*", na pewno to doceni. Dlatego do pewnego stopnia faktycznie możemy liczyć na wyrozumiałość. Podobnie jak Arabia Saudyjska, która dyskryminuje kobiety, ścina głowy, toleruje radykalne szkoły islamu, popiera nie tych co trzeba rebeliantów w Syrii i bombarduje cywilów w Jemenie, ale w zeszłym roku podpisała z USA kolejny kontrakt zbrojeniowy, tym razem na 110 mld dolarów. I naturalnie wciąż jest „strategicznym sojusznikiem".

Pozostaje tylko pytanie: czy naprawdę chcemy, żeby nasz związek z Ameryką opierał się na tych samych zasadach, co jej sojusz z Arabią Saudyjską?

Tarcza zamiast wiz

Historię polsko-amerykańską po 1989 r. można podzielić, podobnie jak dzieje ludzkości w mitologii greckiej, na cztery ery: złotą, srebrną, brązową i żelazną.

Era złota przypadła na lata 90., a jej najbardziej pamiętnym wydarzeniem jest słynne, owacyjnie przyjęte przemówienie Lecha Wałęsy w amerykańskim Kongresie z listopada 1989 r.

– Na nasze szczęście nie skończyło się wtedy jedynie na przyjaznych gestach – wspomina Cimoszewicz, który był w tych latach wicepremierem w rządzie PSL-SLD, a potem premierem. – Waszyngton poparł nasze starania o redukcję zadłużenia za granicą. To była ogromna, realna pomoc ułatwiająca nam przeprowadzenie reform ekonomicznych. Stworzono wtedy też miliardowy fundusz stabilizacyjny dla osłony działań stabilizujących nasz pieniądz i system bankowy.

Wkrótce zaczęliśmy marsz ku NATO, którego ekspresowe tempo zawdzięczamy ówczesnemu prezydentowi Stanów, Billowi Clintonowi. – Wtedy naprawdę mieliśmy poczucie, że polsko-amerykański sojusz jest „specjalny", oparty na czymś więcej niż tylko wspólne interesy – mówi Cimoszewicz. – Czuło się to również w wymiarze ludzkim, relacji osobistych. Pamiętam bardzo serdeczne, pozytywne, przyjacielskie spotkanie z Billem Clintonem u Kwaśniewskich w 1997 r. (była to druga wizyta Clintona w Warszawie).

Era srebrna nastała po zamachach 11 września 2001 r. Wbrew „starym" członkom NATO (przede wszystkim Francji i Niemcom) poparliśmy inwazję na Irak i wysłaliśmy tam polskich żołnierzy, podobnie jak wcześniej do Afganistanu. Polska odgrywała bardzo aktywną rolę wśród sojuszników Ameryki. Marek Belka był nawet wiceszefem międzynarodowej administracji w Iraku.

Niestety pojawiły się pierwsze rysy w polsko-amerykańskiej przyjaźni. Wojna w Iraku okazała się fiaskiem, zdestabilizowała region i doprowadziła do rozkwitu terroryzmu. Co gorsza, wbrew temu, co twierdzili Amerykanie, Saddam Husajn ↦

Instalacja Piotra Uklańskiego na 74. Paradzie Pułaskiego, 5. Avenue w Nowym Jorku, 2 października 2011 r.

↦ nie miał broni masowego rażenia ani nie wspierał Al-Kaidy, więc inwazja była bezsensowna.

Sojusznicy, w tym Polska, mieli prawo czuć się oszukani. Polska z wyjątkową gorliwością wspierała niefortunną „wojnę z terrorem", której skutkiem był rozkwit terroryzmu. W Kiejkutach na Mazurach powstało tajne więzienie CIA – podejrzani o terroryzm byli podtapiani, straszeni inscenizowanymi egzekucjami, itd.

Dziś na pytanie, czy popełniliśmy błąd zbytnio ufając Amerykanom i gorliwie ich wspierając, Cimoszewicz – szef MSZ w rządzie Leszka Millera, za którego czasów działało to więzienie, argumentuje, że w Waszyngtonie i części Europy toczyła się gra, która mogła zagrozić naszemu bezpieczeństwu. Neokonserwatyści dominujący w polityce USA lansowali tezę o braku konieczności udziału w stałych sojuszach, z kolei prezydent Francji i kanclerz Niemiec zaczęli organizować grupę sprzeciwu wobec polityki USA.

– Pojawiło się ryzyko, że w Waszyngtonie cała Europa zostanie uznana za nielojalnego sojusznika. Dlatego, gdy premier Wielkiej Brytanii wystąpił z inicjatywą wysłania do USA pozytywnego sygnału, poparliśmy to – tłumaczy Cimoszewicz. – Zostaliśmy postawieni w sytuacji trudnego wyboru strategicznego sojuszu. Było oczywiste, że z tego punktu widzenia USA były ważniejsze od Francji i Niemiec. Ponieważ byliśmy jeszcze przed podpisaniem traktatu akcesyjnego z UE, nie mogłem mówić o tym tak otwarcie jak teraz, żeby nie wzmacniać problemów w relacjach z niektórymi partnerami w Europie. Operacja w Iraku skończyła się fatalnie, chociaż nie dla nas bezpośrednio. Popełniono wszystkie możliwe błędy po sukcesie wojskowym. Ale to wszystko wydarzyło się już później. Nadal uważam, że nasz wybór był optymalny w tamtych okolicznościach – zapewnia.

Tymczasem w narodzie polskim budziła się niecierpliwość i pierwsze rozczarowanie: jakże to, tak się poświęcamy, a Amerykanie ciągle nie znoszą wiz? I w ogóle tak niewiele robią, żeby poprawić nasze bezpieczeństwo?

Nagrodą za lojalność nie miało być zniesienie wiz, tylko tarcza antyrakietowa. Wyrzutnie antyrakietowe w Polsce (i radar w Czechach) zaplanowano jako kluczową część amerykańskiego systemu obrony przed atakiem nuklearnym z Iranu lub innego państwa zbójeckiego.

Projekt wywołał protesty Rosjan, którzy twierdzili, że antyrakiety będą tak naprawdę wymierzone przeciwko ich rakietom. Do dziś wyśmiewają wyjaśnienia Amerykanów. – Wyobraźmy sobie, że Rosja zaczyna budować wyrzutnie antyrakietowe gdzieś przy granicach Ameryki, np. na Kubie albo w Meksyku. I zapewnia, że to nie przeciwko Stanom. Jak reagowaliby w Waszyngtonie? – szydził Putin w wywiadzie dla telewizji NBC dwa tygodnie temu.

Dla Polaków nie miało oczywiście żadnego znaczenia, przeciwko komu naprawdę miały być antyrakiety. Chodziło tylko o to, żeby w Polsce znalazły się „bardzo ważne amerykańskie instalacje wojskowe". Takie, których Ameryka musiałaby bronić w przypadku wojny z Rosją.

George W. Bush, który obiecał nam tarczę antyrakietową, był w Warszawie dwa razy – tak samo jak Clinton. Pod koniec drugiej kadencji był pozytywnie oceniany tylko w dwóch krajach świata: Izraelu i Polsce. Wraz z jego odejściem z Białego Domu kończy się era srebrna.

Reset, czyli zdrada

Era brązowa nadeszła z Barackiem Obamą, który szybko anulował bushową tarczę. Z punktu widzenia Ameryki decyzja była racjonalna: antyrakiety nie są technologicznie dopracowane, Iran nie miał (do dziś nie ma) rakiet dalekiego zasięgu ani głowic atomowych, które mógłby na nich zamontować.

Rezygnacja z tarczy nie była zatem dla Waszyngtonu wielkim wyrzeczeniem, ale posłużyła jako znaczący gest dobrej woli. Obama postanowił wyciągnąć do Rosjan przyjazną dłoń. Prezydentem był wtedy Dmitrij Miedwiediew; Amerykanie postawili na to, że nie jest w stu procentach figurantem Putina i warto spróbować „zresetować" relacje z Moskwą.

W zamian Obama otrzymał zapewnienie, że Rosja zajmie neutralne stanowisko w pogłębiającym się konflikcie Iranu z Zachodem (wcześniej nieostentacyjnie, ale wyraźnie wspierała ajatollahów). Rosjanie otworzyli też Amerykanom drogę tranzytową do Afganistanu, gdzie nasilała się właśnie wojna z talibami.

W Polsce odebrano reset z Rosją niemal jako zdradę. Co gorsza, anulowanie tarczy administracja Obamy ogłosiła 17 września 2009 r., czyli dokładnie w 70. rocznicę rosyjskiej inwazji na Polskę. Niewielkim pocieszeniem były plany nowej, mniejszej, bardziej praktycznej tarczy antyrakietowej w Redzikowie – opartej na sprawdzonej technologii antyrakiet wystrzeliwanych z okrętów AEGIS (ale zamontowanych w tym przypadku w bazie lądowej).

„Tarczowe" rozczarowanie było zapowiedzią kolejnych. Obama wychodził z założenia, że dla Stanów już w niedalekiej przyszłości ważniejszy od Europy stanie się region Pacyfiku. Tak się składa, że Pacyfik znał i rozumiał dużo lepiej niż Europę. Dzieciństwo bowiem spędził na Hawajach – z przerwą na czteroletni pobyt w Indonezji, gdzie jego matka prowadziła badania antropologiczne.

I znowu: diagnoza Obamy jest racjonalna i najpewniej słuszna. Ale ranga sojuszu polsko-amerykańskiego ucierpiała. Czy polska dyplomacja mogła temu zapobiec? – Nie mogliście nic zrobić. Po prostu taka jest obiektywna sytuacja międzynarodowa; wasze relacje z USA zostały z romantycznych wzlotów lat 80. i 90. sprowadzone do normalności – mówi mi Amerykanin, który od wielu lat zajmuje się relacjami polsko-amerykańskimi (ale nie zgodził się wypowiedzieć pod nazwiskiem).

Niestety, oprócz nieuniknionego powrotu do „normalności", była jeszcze duża wpadka. W 2012 r. Obama, wręczając pośmiertnie Medal Wolności Janowi Karskiemu, użył frazy „polskie obozy śmierci", czym jeszcze bardziej zraził Polaków. Przeprosiny w liście do prezydenta Komorowskiego niewiele pomogły. W efekcie w sondażach popularności Obama miał najlepsze notowania na zachodzie Europy, a najgorsze – w Polsce. Badania opinii publicznej pokazywały też alarmujący trend: Polacy coraz bardziej wątpili w NATO.

– Panie gubernatorze Romney, czasy zimnej wojny dzwonią panu w głowie! – szydził Obama w 2012 r. podczas debaty kandydatów na prezydenta, kiedy Republikanin stwierdził, że Rosja jest największym przeciwnikiem Ameryki na świecie.

Dwa lata później okazało się, że to Obama był naiwny, a nie Romney. Europa Środkowa i Wschodnia znowu stały się ważne, podobnie jak relacje polsko-amerykańskie. Trzeba przyznać Obamie, że w godzinie próby nie zawiódł. Kiedy putinowskie ludziki zajęły Krym, kiedy Rosja bezczelnie popierała i zbroiła separatystów w Donbasie, amerykański prezydent mówił na placu Zamkowym w Warszawie: „Wiem, że w przeszłości zdarzało się,

że Polacy byli porzucani przez przyjaciół w godzinie próby. Przybywam w imieniu Stanów Zjednoczonych, w imieniu NATO, aby potwierdzić nasze niezmienne zaangażowanie w bezpieczeństwo Polski. Artykuł 5 jest jasny: atak na jednego jest atakiem na wszystkich. Stoimy ramię w ramię, teraz i zawsze, za wolność waszą i naszą. Polska nigdy nie będzie już samotna. To nie są puste słowa. To są zobowiązania wykute w granicie".

Za słowami poszły konkrety. Zdecydowano, że w Polsce będą stacjonować rotacyjnie amerykańscy lotnicy i brygada pancerna, zaczęto budować siły natychmiastowego reagowania NATO.

Sąd to świętość

Zmiana, która rozpoczęła się w Polsce po zwycięskich dla PiS-u wyborach prezydenckich i parlamentarnych 2015 r., dla relacji polsko-amerykańskich nie jest dobra.

Reformę Trybunału Konstytucyjnego, zatwierdzaną przez Sejm i Senat na kuriozalnych nocnych posiedzeniach, odbierano w Waszyngtonie jako szokujący zamach na demokrację. Taka percepcja wynika z roli, jaką w amerykańskim systemie politycznym ma Sąd Najwyższy. Jego niezawisłość jest święta, a decyzje – niepodważalne (dla porównania: decyzje prezydenta USA może podważyć Kongres lub właśnie Sąd Najwyższy, a decyzje Kongresu może zawetować prezydent).

Dziewięcioro członków Sądu Najwyższego pozostaje w centrum uwagi mediów. Nie tylko ich opinie i poglądy, ale nawet osobowości oraz słabostki są drobiazgowo analizowane, powszechnie komentowane i dyskutowane.

Oczywiście w Polsce Trybunał Konstytucyjny nigdy nie miał – i nie będzie miał – takiej pozycji. Ale Amerykanie nie zdają sobie z tego sprawy; patrzą na świat przez pryzmat swoich doświadczeń. Gdyby ktoś majstrował przy ich Sądzie Najwyższym, to byłby koniec amerykańskiej demokracji. Skoro zatem ktoś majstruje przy polskim Trybunale, to niektórzy w Waszyngtonie widzą w tym koniec polskiej demokracji.

Rozczarowanie i zaskoczenie było tym większe, że przecież do tej pory polska transformacja od komunizmu do „proamerykańskiej demokracji" była wręcz wzorowa. Z „normalnego" sojusznika zamieniliśmy się w „nieco problematycznego sojusznika".

Na co liczył PiS, wystawiając na szwank relacje z USA? Zapewne na to, że nasze transgresje szybko utoną w powodzi dziwacznych i szokujących informacji z Białego Domu.

RAFAŁ OLEKSIEWICZ / REPORTER

Prezydenci Donald Trump i Andrzej Duda, Warszawa, 6 lipca 2017 r.

Tym sposobem w relacjach polsko-amerykańskich rozpoczęła się era żelazna, potwierdzona jeszcze niepotrzebną, wywołaną na własne życzenie wojną z organizacjami żydowskimi i proizraelskimi, które w USA mają ogromne wpływy.

Również nowela ustawy o IPN jest odbierana w USA jako gorsza, niż jest w rzeczywistości. Po pierwsze, Amerykanie nie zdają sobie sprawy, że podobnie idiotyczne prawa ograniczające wolność słowa w Polsce od dawna istnieją – np. za obrażanie prezydenta RP grozi do trzech lat więzienia. Stąd mylne wrażenie, że Polska próbuje kneblować wolność wypowiedzi jedynie, wyjątkowo i specjalnie w kwestii Holokaustu i roli Polaków w II wojnie światowej.

Po drugie, Amerykanie są przyzwyczajeni do tego, że prawo jest egzekwowane. A jeśli literalnie odczytać nowelę ustawy o IPN, to więzienie grozi np. kowbojowi, który w barze w Wyoming pochopnie obwinia naród polski o Holokaust.

PiS liczy zapewne, że reakcja amerykańskiej dyplomacji jest nieco na pokaz, obliczona na ukontentowanie środowisk żydowskich w USA. A w praktyce nikogo w Białym Domu nie obchodzi, jakie ustawy nowelizuje się w dalekiej Polsce. Zaś szef dyplomacji USA może się za Trumpa zmienić jeszcze kilka razy. Problem jednak w tym, że długofalowa polityka zagraniczna USA nie jest tworzona w Białym Domu, a nawet nie decyduje o niej sekretarz stanu. Ustalają ją urzędnicy i dyplomaci średniego i wysokiego szczebla, którzy w departamentach stanu i obrony zajmują się Europą Środkową. Oni nie znikną po zwolnieniu Tillersona, ani nawet po odejściu Trumpa. I oni nie zapominają, bo w odróżnieniu od swoich szefów, pochodzących z nominacji wyborczych czy politycznych, są poważnymi, znającymi się na rzeczy ludźmi.

– Tego robi się po prostu za dużo. Najpierw podważanie niezawisłości sądów, kary dla opozycyjnych mediów (nawet jeśli anulowane); konflikty Polski z Brukselą czy choćby zła atmosfera w relacjach z Unią; nastroje antyniemieckie w prawicowych, kojarzonych z PiS-em, mediach; konflikt z Żydami o Holokaust i ograniczenie wolności słowa. No i antysemickie wybryki w telewizji publicznej... Wszystkie te rzeczy osobno są z punktu widzenia Waszyngtonu nie najwyższej wagi. Ale razem sprawiają, że Polska staje się coraz bardziej kłopotliwym sojusznikiem – wylicza amerykański ekspert. – Oczywiście nie jesteście jeszcze tak kłopotliwi jak np. dzisiejsza Turcja, ale weszliście na złą drogę, którą Turcja przeszła w zaledwie kilka lat...

A co z najbardziej aktualnym problemem, czyli nowelizacją ustawy o IPN?

– Nadzieja, że krytyka płynąca z Waszyngtonu jest teatralna i wraz z zakupami amerykańskiej broni przeminie, jest naiwna – uważa Cimoszewicz. – Zgadzam się, administracja jest zwykle bardziej skłonna do oportunizmu i być może gotowa byłaby odsunąć te kwestie na dalszy plan. Ale z Kongresem tak łatwo nie pójdzie. Są tam niezwykle wpływowi kongresmeni żydowskiego pochodzenia albo tacy, którzy muszą się liczyć ze środowiskami żydowskimi we własnych okręgach wyborczych, wreszcie lobbing organizacji żydowskich w Waszyngtonie da znać o sobie. Bez rzeczywistych i poważnych zmian w ustawie o IPN nie ma co liczyć na zagłaskanie konfliktu.

© MARIUSZ ZAWADZKI

▪ O zmieniających się Stanach Zjednoczonych piszą w tym numerze także Jan Smoleński w dziale „Świat" oraz Paweł Potoroczyn w dziale „Zmysły".

PAWEŁ

Śpiewak:
Proroctwo niezwykłe

Trzy proroctwa towarzyszą rozpadowi zjednoczonego królestwa. O pierwszym już pisałem w ubiegłym tygodniu, a dotyczyło króla Salomona, który na starość nakłonił swe serce do obcych bogów. Bóg mu wtedy powiedział: „Ponieważ się tego dopuścił, nie strzegąc przymierza mego, ani wyroków moich, którem ci przykazał, pewnie oderwę królestwo od ciebie, a dam je słudze twojemu" (1 Krl 11, 11).

Na wielką postać wyrósł Jeroboam, syn Nefata z rodu Efraima. Prorok Achyjasz oznajmił mu, że będzie władał dziesięcioma pokoleniami. To było pewne. Warunkowa była opieka JHWH, który oznajmił, że wesprze królestwo Izraela, jeśli monarcha będzie czynił dobro i „słuchał wszystkiego, coć przykażę" (1 Krl 11, 38).

Ale dla króla ważniejsza była siła i niezależność jego państwa. Zrobił wszystko, by lud nie chodził do Jeruzalem, żeby sprawować kult – bo mogłoby to doprowadzić do buntu poddanych i przyjęcia władzy króla judzkiego (w świątyni Salomona nie było miejsca dla arcykapłana, kult sprawował król). Jeroboam uznał, że musi zbudować własne świątynie i wyznaczyć swoich kapłanów. Postawił dwa cielce, dwie kaplice i wyznaczył „kapłany niektóre z pospólstwa, którzy nie byli z synów Lewiego. Nadto ustanowił Jeroboam święta uroczyste... na kształt święta, które obchodzono w Judzie... i przystąpił do ołtarza, aby kadził" (1 Krl 12, 32-33).

Najbardziej niezwykłe jest proroctwo osoby nazwanej „mężem Bożym". Przybył do Betel, tam stanął przy ołtarzu i oznajmił, że domowi Dawida narodzi się syn imieniem Jozjasz (Jozyjasz), „który będzie ofiarował na tobie kapłany wyżyn, kadząc na tobie, i kości ludzkie popalą na tobie" (1 Krl 13, 2). Dowiadujemy się od niego, że trzy stulecia po śmierci Jeroboama narodzi się król i on stanie w VII w. na czele całego szczepu Jakubowego. To tak, jakby Janowi III wyprorokowano, że narodzi się Józef Piłsudski i będzie marszałkiem.

Ewidentnie autor Księgi tak układał słowa, by król Judy, który przeszedł do historii jako największy reformator i kodyfikator religii monoteistycznej, ten, który przy remoncie Świątyni odnalazł rzekomo zagubione księgi Tory, wyrósł ponad Izrael i Judę. Wiemy, że Jozjasz zniszczył ołtarz w Betel, więc śmiało mógł zostać przywołany. Ale owo proroctwo jest też argumentem za tezą, że Księgi Królewskie zostały napisane właśnie w VII w., gdy ślad po królestwie Izraela znikł, a zachowało się tylko królestwo Judy.

Kult w Betel, położonym nie tak daleko od Jerozolimy, nawet w VII w. był poważną konkurencją dla Świątyni Salomona. Stanowił wyzwanie dla Judejczyków i dla idei centralizacji kultu. A że historię spisywali skrybowie z Jerozolimy, obraz północnego królestwa zniszczonego stulecie wcześniej przez Asyryjczyków mieli bardzo jednostronny i w zasadzie negatywny.

W tym byli – jak dzisiaj możemy sądzić – wyjątkowo niesprawiedliwi. Ale to już temat na całkiem inną opowieść. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Klęczący Bóg

„Bóg naszych przodków, Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba wywyższył swego Sługę, Jezusa. Wy natomiast wydaliście Go i wyparliście się przed Piłatem, gdy usiłował Go uwolnić. Odrzuciliście świętego i sprawiedliwego, a wyprosiliście uwolnienie dla zabójcy. Zabiliście Dawcę życia, ale Bóg Go wskrzesił. My właśnie o tym świadczymy". Bóg naszych przodków! Ale czy naszymi przodkami są jedynie wyżej wymienieni, skoro do Kaplicy Sykstyńskiej Michał Anioł wprowadził Sybille, a Rafael Santi do Pałacu Apostolskiego zaprosił „Szkołę Ateńską" na czele z Arystotelesem i Platonem? To oni wskazują nam drogę. Arystoteles wskazuje palcem na niebo, a Platon na ziemię. Czy to znaczy, że te dwie drogi z konieczności muszą na zawsze biec obok siebie? Niekoniecznie. Znamy przecież takie miejsce, gdzie ponadczasowe staje się czasowym i odwrotnie. Mówi o tym Biblia, dobrze ilustruje to ewangeliczne opowiadanie o pośmiertnym spotkaniu Jezusa z apostołami owego „pierwszego dnia tygodnia". Ewangelista Łukasz opowiada: „Lecz gdy oni z radości jeszcze nie wierzyli i byli pełni zdumienia, zapytał ich: »Macie tu coś do jedzenia?«. Oni podali Mu kawałek pieczonej ryby. A On wziął i przy nich zjadł". Jak to możliwe, żeby Jezus, który przez śmierć uległ całkowitej przemianie, mógł nadal spożywać pokarm jak każdy śmiertelnik?

W Biblii czytamy, że Jezus, jako Syn Boży-mieszkaniec nieba, stał się ciałem i zamieszkał pośród nas. To znaczy, chyba można tak powiedzieć, zmaterializował się w łonie Matki i nie zdematerializował się w grobie. Przeciwnie, skoro jest z nami, to znaczy, że jeszcze bardziej stał się ciałem, mówiąc po dzisiejszemu, jeszcze bardziej stał się materialny. Świadczy o tym Eucharystia. Dlatego czegokolwiek i kogokolwiek byśmy na tym świecie nie dotknęli, zawsze dotkniemy Boga. Między ziemią a niebem nie zionie przepaść, i nie da się przeciwstawić *sacrum* i *profanum*, jeśli w ogóle taki podział ma sens. Cały wszechświat stał się reprezentantem Boga. Dlatego Jezus, znikając apostołom sprzed oczu, odrywa ich wzrok od nieba, tego mitycznego, w górze, i skierowuje na niebo, które jest w nich i wokół nich. Ta zjedzona przez Jezusa ryba jest obrazem przenikania się nieba z ziemią.

W Wielki Czwartek papież Franciszek, w czasie obmycia nóg więźniom, powiedział: „Jestem grzesznikiem, jak wy, ale dzisiaj reprezentuję Jezusa, jestem ambasadorem Jezusa (...) Kiedy uklęknę przed wami, pomyślcie o Jezusie, który zaryzykował", żeby w takim „człowieku, grzeszniku" przyjść do każdego z was i powiedzieć, że każdego z was kocha. „Taki jest Jezus. On nigdy nas nie porzuci", skoro klęka przed nami grzesznikami. Świat klęczy przed Bogiem, a Bóg przed światem. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: *Godzina Miłosierdzia*

Jestem pochodnią, gdy na mnie patrzysz. Jestem zwierciadłem, gdy mnie rozumiesz. Jestem ci bramą, gdy we mnie pukasz. Jestem twą drogą, kiedy wędrujesz.

HYMN CHRYSTUSA TAŃCZĄCEGO

To, czego szukasz, jest niewyczerpane, choć ludziom zdaje się, że ma kres. To, czego szukasz, jest niezmierzone, choć ludziom zdaje się, że ma swoją miarę.

ZHUANGZI

Wybrał PIOTR SIKORA

Myślę, że jeśli zapytać przeciętnego wierzącego w Polsce: z jaką osobą powiąże się objawienie Godziny Miłosierdzia? – odpowie niemal bez wahania: ze św. Faustyną. I słusznie.

Słusznie również w tym wymiarze, iż objawienia „prywatne" nie przynoszą w sobie żadnych nowych treści, lecz aktualizują, akcentują, w szczególny sposób podkreślają treści zawarte w Objawieniu publicznym.

Godzina Miłosierdzia została przypomniana niedawno przez liturgię w pierwszym czytaniu mszalnym z Dziejów Apostolskich. Oto Piotr i Jan wchodzą do świątyni na modlitwę (Dz 3, 1-26). Przy bramie zwanej Piękną spotykają człowieka „chromego od urodzenia", który prosi ich o jałmużnę. Zanim usłyszymy odpowiedź Piotra i zobaczymy wszystkie jej kolejne następstwa, otrzymujemy od św. Łukasza klucz do zrozumienia całego wydarzenia, a mianowicie informację, że była „godzina dziewiąta", a więc wedle naszej rachuby piętnasta.

To o tej właśnie godzinie zaczyna się owo spotkanie, a wszystko, co się dokona – dokona się mocą tej godziny. Godziny Jezusowej śmierci na Krzyżu, a nie mocą szczególnych uzdolnień czy kompetencji Apostołów.

Co się dokona?

Prawdziwie „łaska po łasce". Prawdziwa „lawina łaski" uruchomiona prośbą potrzebującego człowieka.

A więc najpierw: Piotr „ująwszy go za prawą rękę, podniósł go. A on natychmiast odzyskał władzę w nogach i stopach. Zerwał się i stanął na nogach, i chodził, i wszedł z nimi do świątyni, chodząc, skacząc i wielbiąc Boga" (w. 79).

Jego zachowanie przyciągnęło tłum ludzi i zrodziło pytanie: co się stało?

Pytanie otworzyło drogę do przepowiadania. Piotr wypowiada z mocą kerygmat o Jezusie Chrystusie – Ukrzyżowanym i Zmartwychwstałym (Dz 3, 12-26).

Kerygmat to nie jest kazanie jak każde inne. To Wydarzenie. Wydarzenie obecności Pana – żyjącego, dotykającego serce słuchacza, posyłającego Ducha, który prowadzi ku pokucie i nawróceniu. Kerygmat to SłowoWydarzenie stwórcze, pełne mocy. Owocujące.

Owoc odnotowany jest przez Łukasza na początku kolejnego rozdziału: „wielu z tych, którzy słyszeli naukę, uwierzyło. Liczba mężczyzn dosięgała około pięciu tysięcy" (Dz 4, 4).

Pięć tysięcy. Po drugim przemówieniu – gotowi jesteśmy zaśpiewać: „To by już nam wystarczyło!". Ale to nie koniec.

Apostołowie zostają zatrzymani przez zaniepokojony Sanhedryn. Następnego dnia zostają przed nim postawieni. I...

...bez żadnej niechęci czy pretensji – przeciwnie: z szacunkiem i otwartością – ogłaszają ponownie kerygmat, tym razem „przełożonym i starszym".

Nie owocuje on od razu wiarą, ale przynajmniej zdumieniem dla ich męstwa i wiedzy – przy całej ich prostocie i braku wykształcenia. Punktem dojścia jest modlitwa Kościoła, dotkniętego pierwszy raz prześladowaniem. Odpowiedzią ze strony Pana jest tzw. małe zesłanie Ducha Świętego – wszyscy zostają Nim na nowo napełnieni i w Nim tworzą Kościół „jednego serca" i „jednego ducha", w którym nikt „nie cierpi niedostatku" (Dz 4, 32-37).

Oto Łukaszowa Godzina Miłosierdzia – lawinowego, wzbierającego, niepowstrzymanego, zagarniającego wszystkich i każdego. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (15 – 22 IV)

3. Niedziela Wielkanocna: Dz 3, 13-15. 17-19; Ps 4; 1J 2, 1-5a; Łk 24, 35-48;
Poniedziałek: Dz 6, 8-15; Ps 119; J 6, 22-29;
Wtorek: Dz 7, 51-59. 8, 1; Ps 31; J 6, 30-35;
Środa: Dz 8, 1b-8; Ps 66; J 6, 35-40;
Czwartek: Dz 8, 26-40; Ps 66; J 6, 44-51;
Piątek: Dz 9, 1-20; Ps 117; J 6, 52-59;
Sobota: Dz 9, 31-42; Ps 116; J 6, 55. 60-69;
4. Niedziela Wielkanocna: Dz 4, 8-12; Ps 118; 1J 3, 1-2; J 10, 11-18.

FRUSTRACJA, FORMALIZM I FROMM

Dlaczego polskie państwo prawa uległo tak łatwo atakowi? Oto trzy źródła kryzysu praworządności.

MARCIN MATCZAK

NURPHOTO

Dwa lata temu w Polsce zdarzyła się rzecz bez precedensu. Premier polskiego rządu zachowała się jak przywódca republiki bananowej: odmówiła publikacji wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Ten moment był symboliczny – był jak wypowiedzenie posłuszeństwa polskiej Konstytucji przez reprezentantów polskiego narodu. Co prawda, ostatnio PiS zapowiedział, w ramach ustępstw czynionych w sporze o praworządność z Brukselą, publikację trzech wyroków. Niezależnie od tego w tę smutną rocznicę warto się zastanowić, dlaczego do tego wypowiedzenia posłuszeństwa doszło.

Można przedstawić trzy wyjaśnienia polskiego kryzysu konstytucyjnego. Pierwsze historyczne, związane z łagodnym charakterem polskiego przejścia od komunizmu do demokracji. Pozwala ono zrozumieć, dlaczego polskie państwo prawa zostało zaatakowane. Drugie wyjaśnienie pozwala zrozumieć, dlaczego zaatakowane państwo prawa nie zostało obronione, i jest związane z charakterem polskiej kultury prawnej, w szczególności z jej formalizmem. Kultura ta uznaje za legalne działania władzy, jeśli są one zgodne z literą prawa, nawet jeśli demolują jego ducha. Trzecie wyjaśnienie ma charakter socjologiczny: pozwala zrozumieć, dlaczego zdemolowanie polskiej praworządności odbyło się przy wsparciu części Polaków.

Zasady czy preteksty?

Aby zrozumieć obecny kryzys, trzeba cofnąć się do roku 1989. To był rok nadziei dla wszystkich, którzy cierpieli pod komunistycznym jarzmem, w szczególności dla ludzi tworzących obecne kierownictwo PiS oraz ich wyborców. Wierzyli oni, że upadek komunizmu pozwoli na pociągnięcie do odpowiedzialności funkcjonariuszy znienawidzonego systemu. Polska transformacja poszła jednak inną drogą – drogą grubej kreski przeprowadzonej między polską teraźniejszością a polską przeszłością. Jej konsekwencją było łagodne przejście od totalitaryzmu do demokracji, przejście oparte na rozliczeniu, ale nie na zemście.

Dla wielu takie podejście było jednoznaczne ze zdradą, a negocjacje z odchodzącą władzą, w tym te prowadzone przy Okrągłym Stole, równały się kolaboracji. Wielu nigdy nie porzuciło tej percepcji, a potrzeba odpłaty, którą czuli i czują, pozostała niespełniona. Szansa na jej realizację pojawiła się w roku 1992, w czasie słynnej nocy teczek, kiedy Antoni Macierewicz próbował przeprowadzić dziką lustrację. Nie udało się, a obecni ludzie PiS nie weszli do nowego polskiego parlamentu, który jakby na złość uchwalił cztery lata później Konstytucję. Ten konstytucyjny sztandar III Rzeczypospolitej został zatknięty na gruzach komunizmu bez ich udziału.

Z tych historycznych powodów PiS i jego twardy elektorat postrzegają obecną Konstytucję jako pozbawioną legitymacji, promującą obce im liberalne i lewicowe wartości. To przekonanie pogłębiło się, kiedy partia doszła do władzy w 2005 r. i kiedy kolejna próba lustracji została uniemożliwiona przez Trybunał Konstytucyjny. W 2006 r. zakwestionował on ustawę lustracyjną m.in. ze względu na jej niezgodność z zasadą demokratycznego państwa prawa – tą samą, która w 2015 r. została przez PiS brutalnie zaatakowana. Powołanie się na tę zasadę zostało odebrane przez PiS jako pretekst, by nie pociągnąć kolaborantów do odpowiedzialności. Z punktu widzenia PiS promowanie przez Konstytucję wartości takich, jak ochrona praw nabytych oraz gwarancje sprawiedliwości proceduralnej, dowodzi, że została ona przyjęta w złej wierze: jej rzeczywistym celem była ochrona beneficjentów komunizmu i zabezpieczenie postkomunistycznego *status quo*.

Krótko po tym Jarosław Kaczyński stworzył pojęcie imposybilizmu prawnego: sytuacji, w której gwarancje sprawiedliwości proceduralnej (np. prawo do sprawiedliwego procesu) są postrzegane jak kruczki prawne, blokujące urzeczywistnienie prawdziwej, materialnej sprawiedliwości. W tym ujęciu Konstytucja nie jest emanacją wspólnych wartości, ale narzędziem ochrony postkomunistycz-

Protest przeciwko łamaniu Konstytucji, Warszawa, lipiec 2017 r.

nych elit: blokadą dla odebrania im niesłusznie nabytych praw, pozbawienia ich nienależnych przywilejów i redystrybucji ich złodziejskich zysków.

Taka wizja Konstytucji przypomina postmodernistyczną koncepcję metanarracji: komunikowanych publicznie, pozornie wartościowych idei, których prawdziwym celem jest manipulowanie społeczeństwem. Tak jak patriotyzm dla pacyfistów sprzeciwiających się wojnie w Wietnamie był metanarracją, używaną przez rząd USA do zamieniania świadomych obywateli w posłuszne armatnie mięso, tak Konstytucja i rządy prawa stały się według PiS zasłoną dymną dla realizacji szemranych interesów, a nie narzędziem promocji wzniosłych ideałów.

W taki oto sposób wykształciła się historyczna frustracja liderów PiS i ich elektoratu, dotycząca wydarzeń przez wielu postrzeganych jako wielki polski sukces, mianowicie łagodnej transformacji z komunizmu do państwa prawa. Ta frustracja popchnęła ich do ataku na praworządność. To, że atak ten w jakimś sensie się powiódł, było jednak nie tylko efektem jego siły, ale także słabości mechanizmów, które państwo prawa przed tego rodzaju atakami mają bronić.

Prawna maskarada

Obecny polski kryzys może się wydawać kolejną odsłoną dobrze znanych z historii konfliktów polityki i praworządności. W takich konfliktach aktualne potrzeby polityczne przeważają nad funkcją gwarancyjną prawa, a praworządność zostaje odsunięta w kąt. Konflikty takie były charakterystyczne dla dwudziestowiecznych reżimów totalitarnych, które palącymi potrzebami politycznymi uzasadniały atak na formalne wartości prawa. Typowy przykład takiego ataku „starego typu" można odnaleźć w pismach Lenina z 1917 r.: „Powiemy ludowi, że jego interes jest ważniejszy niż interes demokratycznych instytucji. Nie ma potrzeby wracać do starych przesądów, które podporządkowywały interes ludu formalnemu demokratyzmowi".

Podobne twierdzenia padły niemal sto lat później w Polsce, w kraju głęboko dotkniętym totalitarną traumą. W listopadzie 2015 r. Kornel Morawiecki powiedział: „Prawo jest ważną rzeczą, ale prawo to nie świętość. (...) nad prawem jest dobro narodu! Jeśli prawo to dobro zaburza, to nie wolno nam uważać to za coś, czego nie możemy naruszyć i zmienić. To mówię – prawo ma służyć nam! Prawo, które nie służy narodowi, to jest bezprawie!".

Te słowa mogą sugerować, że atak PiS na praworządność jest przykładem ataków starego typu, znanych z historii Republiki Weimarskiej czy komunistycznej Rosji, a polegających na ustaleniu jasnej hierarchii, w której prawo podlega polityce. Atak PiS na praworządność ma jednak nieco inny charakter. Nawet jeśli w chwilach uniesienia politycy wyraźnie wskazują, że polityka powinna zatriumfować ↦

nad prawem, kiedy przechodzą do realizacji swoich planów, udają, że szanują prawo.

Jest to zrozumiałe – praworządność jest dobrze ugruntowaną wartością w europejskich społeczeństwach, a pamięć o totalitaryzmach jeszcze całkiem w Polsce nie wyblakła. Dlatego politycy, którzy chcą osiągnąć niekonstytucyjne cele, takie jak przejęcie kontroli nad sądownictwem, muszą używać bardziej wyrafinowanych technik niż otwarta pogarda dla rządów prawa. Muszą przekonać opinię publiczną, że działają w zgodzie z prawem, a więc że ich polityka jest podległa prawu. Stwarzają wrażenie, że narzędzia, których używają, są legalne, chociaż skutki ich działań w sposób oczywisty są nielegalne.

Ta maskarada praworządności pozwala politykom PiS ukryć prawdziwą naturę ich ataków na niezależność sądownictwa. Pozbawiona specjalistycznej wiedzy prawniczej opinia publiczna może nawet nie zauważyć, że taki atak ma miejsce, a w efekcie nie ma motywacji, aby się przed nim bronić. Co gorsza, pozorna legalność ataku utrudnia także sędziom ujawnienie jego prawdziwej natury.

Wszystko przez to, że nowy typ ataku na praworządność jest publicznie prezentowany jako zgodny z literą prawa, nawet jeśli jego konsekwencje są oczywiście niezgodne z duchem prawa, wyrażonym przez konstytucyjne zasady. Najlepszym przykładem w tym zakresie był pomysł usunięcia sędziów Sądu Najwyższego na podstawie postanowienia Konstytucji pozwalającego na przeniesienie sędziego w stan spoczynku w wyjątkowych przypadkach reorganizacji sądu czy też przejścia na emeryturę ze względu na utratę sił bądź chorobę. Taki pomysł wydaje się zgodny z wyrwanym z kontekstu przepisem Konstytucji, choć narusza w rażący sposób najważniejsze wyrażone w Konstytucji zasady, takie jak podział i równowaga władz, niezależność sądownictwa czy proporcjonalność.

Nielegalność ataków nowego typu może zostać wykazana jedynie przez nieformalistyczną argumentację prawniczą, a więc taką, która opiera się na stosowaniu zasad oraz uwzględnia rzeczywiste skutki działań podejmowanych przez polityków. Jak jednak pokazują liczne badania, prawnicy w Europie Środkowo-Wschodniej trwają w tradycji prawniczego formalizmu, zgodnie z którym powierzchowna zgodność działania z literą prawa wystarczy, aby uznać to działanie za legalne. Aby odeprzeć atak na praworządność, prawnicy musieliby sięgnąć poza literę prawa i argumentować z jego ducha. Jest to jednak krok, którego formaliści nie są w stanie wykonać.

Społeczeństwa wychodzące z totalitaryzmu są jak pacjenci, którzy zwalczyli raka – nawet jeśli wydają się zdrowi, potrzebują ciągłego monitorowania.

Nasz kryzys praworządności spowodowany został zatem nie tylko siłą politycznego ataku, ale także słabością prawniczej obrony, której główną przyczyną była niedojrzałość polskiej kultury prawnej. Niedojrzałość ta widoczna była w akceptacji dla powierzchownych uzasadnień prawniczych, przedstawianych przez polityków, oraz w niezdolności do przeprowadzania wyrafinowanych rozumowań prawniczych, opartych na zasadach konstytucyjnych i rzeczywistych skutkach działań władzy.

Powrót postawy autorytarnej

Żaden kryzys konstytucyjny nie jest wyłącznie kryzysem prawnym. To, co stało się w Polsce, ma głębokie przyczyny psychologiczne i społeczne, a fakt ten powinien być częściej brany pod uwagę przez osoby, które chcą obecny kryzys zażegnać i odwrócić jego skutki. Podstawowym elementem tła społecznego tego kryzysu jest fakt, że duża część polskiego społeczeństwa nie ma czasu na konstytucyjne rozważania. Ludzie chcą reformy, która poradzi sobie z ich problemami, nawet jeśli niektóre z nich są wyimaginowane.

Narracja PiS prezentuje demontaż polskiego państwa prawa jako lekarstwo na liczne społeczne problemy, w tym historyczną niesprawiedliwość oraz niebezpieczeństwa niesione przez globalizację. Ci, którzy w dobrej wierze sprzeciwiają się tej niekonstytucyjnej kuracji, są postrzegani jako zwalczający leczenie, a nie chorobę. Z tego powodu obrońcy państwa prawa muszą zrozumieć społeczny aspekt kryzysu, jeśli chcą mu przeciwdziałać.

Badania przeprowadzone przez zespół Macieja Gduli (znane dzięki raportowi „Dobra zmiana w Miastku") rzucają nieco światła na społeczne tło polskiego kryzysu. Wskazują na pojawienie się wśród polskiego społeczeństwa syndromu neoautorytarnego, którego nowym elementem jest głęboka demokratyczność: polscy obywatele przyznają partii wygrywającej wybory niemal absolutne prawo do zmiany reguł gry, w tym reguł konstytucyjnych, nawet jeśli nie ma ona formalnej legitymacji, by to zrobić. Abstrakcyjny porządek prawny ma ustąpić woli ludu: w ten sposób demokracja pokonuje konstytucjonalizm.

Neoautorytaryzm ma cechy typowego autorytaryzmu. Cechują go: fascynacja dominacją nad słabymi i obcymi, w tym mniejszościami etnicznymi, seksualnymi, uchodźcami i kimkolwiek, kto może być postrzegany jako wróg; preferencja dla zdecydowanego i prostego rozwiązywania społecznych problemów; oraz potrzeba przynależności do wspólnoty narodowej. Wszystkie te elementy pokrywają się z opisaną przez Ericha Fromma „osobowością autorytarną", wykorzystaną dla opisu zachowań Niemców wspierających nazizm, a stanowiącą – niestety – dobre narzędzie diagnozowania współczesnego polskiego społeczeństwa.

Osobowość autorytarna uruchamia się w czasach społecznych niepokojów, które w naszym przypadku mają postać zagrożenia terroryzmem i kryzysu uchodźczego. Niepewność i strach stają się powszechne, a rządy umiejętnie te uczucia podsycają. Sprzyja to wzmocnieniu masochistycznego składnika osobowości autorytarnej: pragnienia zatopienia się w czymś większym niż jednostka – w idei narodu albo w wielkim planie przedstawionym przez charyzmatycznego lidera. Ten plan wprowadza w życie ludzi porządek i spokój. Precyzyjnie definiując ich świat, wyjaśniając, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem, ten plan przywraca ludziom złudne poczucie kontroli nad ich własnym losem.

Paradoksalnie, agresywna krytyka pod adresem lidera lub jego wyznawców tylko zwiększa poczucie powszechnego zagrożenia. Potwierdza ona, że wrogowie naprawdę istnieją, i zwiększa zaufanie do lidera, który tych wrogów zwalcza. Ten mechanizm wyjaśnia potwierdzone badaniami zjawisko: każda interwencja Unii Europejskiej w obronie polskiej praworządności powodowała wzrost poparcia dla polskiego rządu.

Neoautorytaryzm jest atrakcyjny dla ludzi młodych, którzy z różnych powodów są bardziej zainteresowani „wolnością do" niż „wolnością od", aby użyć słynnego rozróżnienia Isaiaha Berlina. W przeciwieństwie do swoich rodziców i dziadków, nasza młodzież nigdy nie musiała walczyć o wolność od przymusu. Uwolniona od tego obowiązku, mogła zorganizować swoje życie tak, jak chce. Problem w tym, że nie bardzo wie, czego chce, i zamiast cieszyć się ogromem wolności, ucieka od niej, dokładnie tak, jak przewidział to Fromm. Drogi ucieczki od wolności są chętnie wskazywane przez historyczny patriotyzm czy nacjonalizm, wyznaczające proste ścieżki dla myślenia i działania. Dlatego patriotyzm proponowany przez liderów PiS jest atrakcyjny dla naszej młodzieży mimo tego, że jest to patriotyzm porażki, poświęcenia i nienawiści, nie zaś patriotyzm zwycięstwa, triumfu rozumu i otwartości na innych.

Przykładem takiego źle pojętego patriotyzmu była ostatnio głośna ustawa o IPN. Pozwoliła zjednoczyć część Polaków w bezprecedensowej obronie narodowego honoru przed zakusami całego świata. Dokładnie takiego poczucia zjednoczenia osobowość autorytarna pragnie, a obecny polski rząd z przyjemnością takiego poczucia dostarcza, nie bacząc na koszty.

Kryzys rządów prawa to kryzys liberalizmu. W przeciwieństwie do nacjonalizmu, liberalizm ze swoim naciskiem na „wolność od" jest doktryną dobrą dla ludzi, którzy dokładnie wiedzą, jak chcą przeżyć swoje życie.

Stworzenie państwa prawa wymaga czegoś więcej niż zmiany ustaw i Konstytucji. Zmianie musi ulec także prawo w działaniu.

Wielu nie wie i ci czują ulgę, kiedy nieliberalne ideologie dostarczają im gotowe rozwiązania. W tym zakresie liberalizm nie ma im nic do zaoferowania: kreowanie planów na czyjeś życie byłoby anomalią w liberalnym DNA, ponieważ wykluczałoby ludzką wolność. Liberalizm z definicji przegrywa więc z konkurentami w tworzeniu atrakcyjnych narracji dla ludzi, którzy nie chcą ich wytworzyć dla siebie. Przegrywa ze skutecznymi ideologicznymi maszynami narracyjnej organizacji cudzego losu, które są zawsze gotowe dostarczyć ludziom jasne i całościowe pomysły na życie.

Nic na zawsze

Jaką naukę możemy wyciągnąć z polskiego kryzysu? Trzy wyjaśnienia kryzysu oferują trzy lekcje. Wyjaśnienie historyczne pokazuje, że nie istnieje coś takiego jak zakończona posttotalitarna transformacja. Posttotalitarne społeczeństwa są jak pacjenci, którzy zwalczyli raka – nawet jeśli wydają się zdrowi, potrzebują ciągłego monitorowania. Społecznych frustracji nie można zostawić samym sobie, zwłaszcza jeśli sposób transformacji nie pozwolił na ich adekwatne wyrażenie.

Wyjaśnienie prawne pokazuje, że stworzenie państwa prawa wymaga czegoś więcej niż zmiany prawa w księgach: ustawach i Konstytucji. Zmianie musi ulec także prawo w działaniu, a więc sposób, w jaki jest ono stosowane przez sądy, i sposób, w jaki rozumują prawnicy. Promowanie praworządności musi polegać na zachęcaniu sędziów, aby przyjęli bardziej holistyczne stosowanie prawa, oparte na zasadach i ocenie rzeczywistych skutków. Powierzchowne rozumienie praworządności jako zgodności z literą prawa może bowiem wspierać zamach na rządy prawa.

Wreszcie wyjaśnienie socjologiczne wskazuje, że wolność nigdy nie jest dana na zawsze. Nawet jeśli moje pokolenie pamięta czasy, kiedy, jak głosi Konstytucja, „podstawowe wolności i prawa człowieka były w naszej Ojczyźnie łamane", nasze dzieci tych czasów nie pamiętają. Zagwarantowanie podstawowych wolności tym, którzy z historycznych powodów nie boją się, że je stracą, wymaga wyrażenia liberalnego ideału w języku, który do nich trafi. Nie jest to, niestety, łatwe zadanie.

© MARCIN MATCZAK

Autor jest prawnikiem, profesorem UW. Artykuł stanowi podsumowanie wykładu wygłoszonego 8 marca 2018 r. w Wolfson College na Uniwersytecie Oksfordzkim.

REKLAMA

pah
Polska Akcja Humanitarna

Wpłać na działania Polskiej Akcji Humanitarnej!

online: www.pah.org.pl/wplac
na konto: Alior Bank
02 2490 0005 0000 4600 8316 8772
dopisek UKRAINA

Ustawa inna niż wszystkie

RAFAŁ ZYCHAL

Sztandarowy projekt Jarosława Gowina, który ma zreformować szkolnictwo wyższe, przechodzi niemal niezauważony. Ustawa ma poparcie sporej części środowiska akademickiego, nie wiadomo tylko, czy w Sejmie poprze ją PiS.

Konstytucja dla Nauki – już nazwa podpowiada, że to oczko w głowie wicepremiera. Prace nad nią trwały niemal dwa lata i są na finiszu. To pierwsza tak duża reforma szkolnictwa wyższego od ponad dekady. Ma zastąpić aż cztery ustawy. Cel – pchnąć uczelnie na nowe tory.

Aby to zrobić, Gowin chce dużych zmian. Więcej władzy dla rektora, nowe „ciało wspierające" w postaci rady uczelni i zniesienie obowiązku habilitacji – to filary projektu. Ale zmian jest więcej. „Reforma inna niż wszystkie!" – chwali się resort. I obiecuje nawet pokaźny zastrzyk finansowy dla nauki, choć akurat te perspektywy wyglądają dziś mgliście. Zdecydowana większość środowiska akademickiego mówi reformie „tak". To jednak nie oznacza, że jej los jest przesądzony.

„Brudny deal Gowina z rektorami" – tak propozycję zmian ocenił w październiku 2017 r. Aleksander Temkin, lider Komitetu Kryzysowego Humanistyki Polskiej, środowiska, które najgłośniej mówi „nie". Zresztą nie pierwszy raz, bo protestowało też przeciw reformie forsowanej wcześniej przez rząd PO. – Ustawa idzie w fatalną stronę. Jest niebezpieczna, jej skutki mogą być nienaprawialne – ostrzega Temkin.

Jak przekonuje, reforma utrwali autorytarne relacje na uniwersytetach. – To sposób myślenia, który wywodzi się z tzw. polskiej szkoły zarządzania, czyli musi być mocny szef, a pracownicy nie powinni być włączani w proces decyzyjny – wyjaśnia. – I to nie jest tylko moja teza. Współpracownicy ministra mówią wprost, że problemem uczelni jest nadmierna demokratyzacja. Kłopotem okazuje się więc to, co Solidarność i NZS wywalczyły dla wolnej Polski – mówi dalej Temkin.

Teza o „brudnym dealu" nie mogła pozostać bez echa. To obrzydliwe – ripostował w liście do Temkina rektor Uniwersytetu Warszawskiego prof. Marcin Pałys. Rozpętała się burza, która przeniosła się też na posiedzenie sejmowej podkomisji. Tam doszło do kolejnej słownej potyczki.

Wypowiedziami członków KKHP zajął się nawet Senat UW. Podczas posiedzenia padły słowa ostrej krytyki pod ich adresem, a nawet wezwania do zdyscyplinowania młodych naukowców. Sam rektor Pałys zaapelował do pracowników uniwersytetu o wycofanie się ze współpracy z Komitetem. Spór o to, co się wtedy naprawdę wydarzyło, trwa do dziś. Dlaczego? Młodzi naukowcy odebrali to jako próbę zamknięcia im ust.

– To coś bezprecedensowego i wykraczającego poza spór między nami a rektorem. On nie powinien takich rzeczy mówić – przekonuje Aleksander Temkin. Jak dodaje, spór sprowadza się do istotnej kwestii. – Na ile może sobie pozwolić władza rektorska? Czy może zamykać usta krytykom odwołując się do lojalności? I czy oznacza ona konieczność uzyskania zgody rektora na wypowiedzi publiczne? No i czy może wypraszać niepasujące mu organizacje z uczelni? – pyta.

Rzecznik Uniwersytetu Warszawskiego uspokaja: nie ma żadnego postępowania dyscyplinarnego przeciw osobom z KKHP. Nie ma i nie było takich planów.

Prorektor ds. naukowych dodaje, że osoby związane z Komitetem, które pracują na UW, w ostatnim roku kilkukrotnie otrzymały nagrody od rektora: – Dostali je, bo zdobyli granty na prowadzenie badań naukowych lub opublikowali ważne artykuły, a nie dlatego, że są członkami takiej czy innej organizacji. Teza, że rektor czy inne grono chce im zrobić krzywdę za ich poglądy, jest na granicy absurdu – mówi dr hab. Maciej Duszczyk.

Łagodniejszą formę krytyki wybrała grupa ponad 150 naukowców. W liście otwartym jednak wprost ostrzegają przed „przewrotem", który może uruchomić lawinę niekontrolowanych zmian. Nie godzą się na wprowadzenie rad, których połowa członków będzie spoza uczelni. Nie chcą też zwiększenia roli rektora i krytykują porzucenie habilitacji.

„Rewolucja, którą przygotowali twórcy tzw. Konstytucji dla Nauki, grozi nieobliczalnymi konsekwencjami. Nie skorzysta na niej ani środowisko naukowe, ani obecnie rządzący. Obyśmy nie utracili szansy, jaką jest możliwość wypracowania rzeczywistej, odważnej i rozważnej reformy" – apelują. Wśród sygnatariuszy nie brakuje znanych osób bliskich PiS z najważniejszych uczelni w Polsce, jak choćby prof. Andrzej Nowak, prof. Jacek Bartyzel. Ale jest i prof. Maria Szyszkowska.

Kto jest za

Jarosław Gowin uważa, że „ustawa jest krytykowana przez dwie skrajnie różne grupy – przez taką skrajną prawicę i skrajną lewicę". Z osobami z KKHP spotkać się nie chciał, choć robili to jego urzędnicy. Nie ma też takich planów na przyszłość. Okazją do dalszych dyskusji będą prace parlamentarne. W czasie konsultacji przyjęto zresztą wiele uwag, a część z nich pokrywała się z postula-

MICHAŁ DYJUK / FORUM

Wicepremier Jarosław Gowin podczas prezentacji projektu ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce, Warszawa, 22 stycznia 2018 r.

tami Komitetu. A co z listem naukowców? Z nimi minister chce się spotkać i przekonywać do zmian.

Wcześniej do swoich racji wicepremier przekonał m.in. Konferencję Rektorów Akademickich Szkół Polskich, prezesa PAN, Parlament Studentów RP czy NZS. W obronę projekt wziął też prof. Jarosław Górniak, przewodniczący Rady Narodowego Kongresu Nauki. Jego zdaniem rady uczelni to inny punkt widzenia spraw uczelnianych, a habilitację niejako unieważniło samo środowisko akademickie, dopuszczając do obniżenia wymagań.

Ale krytycy ustawy podnoszą jeszcze jeden problem – w radach uczelni zasiądą politycy. – Oczywiście, nie można tego wykluczyć, ale zdecydowanie musiałby to być polityk w stanie spoczynku, z unikatową wiedzą na temat szkolnictwa wyższego – mówi Maciej Duszczyk. – Senat, proponując kandydatów, będzie się kierować własnym rozsądkiem. Sugestie, że „brudny deal" polega na tym, iż wybierzemy polityków czy pseudobiznesmenów, jest czymś, z czym nie możemy się zgodzić – dodaje.

Bo w rzeczywistości – jak kwituje prorektor UW – nie ma żadnego „dealu" z ministrem. – To nie jest ustawa idealna, wielu postulatów nie uwzględnia, ale w swoim jądrze zawiera dobre pomysły.

Członkowie Komitetu Kryzysowego Humanistyki Polskiej broni jednak nie składają. – Ministerstwo wypycha nas z debaty, dlatego musieliśmy zaostrzyć przekaz. Udało nam się doprowadzić do tego, że debata naprawdę się zaczęła – przekonuje Aleksander Temkin.

– Patrząc na działania zarządu KKHP myślę, że byłoby mu łatwiej zyskać akceptację środowiska, gdyby zrezygnował z radykalnego języka, a często też po prostu z pomówień wobec osób i instytucji – mówi Anna Korzekwa-Józefowicz, rzecznik UW, zastrzegając, że to jej osobista opinia. Autorzy listu otwartego wciąż swojego zdania nie zmienili.

Prezes daje nadzieję

Ale to nie z krytyką płynącą ze środowiska naukowego wicepremier będzie miał największy kłopot. Jego projekt zbiera lepsze oceny u opozycji niż wśród wpływowych posłów PiS. – W takiej formie ustawa nie przejdzie – mówi twardo szef klubu parlamentarnego Ryszard Terlecki. Nie jest tajemnicą, że między nim a Gowinem chemii brak. Równie mocno wypowiada się inny poseł z Krakowa, Włodzimierz Bernacki, który w PiS odpowiadał za program zmian w szkolnictwie wyższym.

Jakie mają zarzuty? „Dyktatura" rektorów, „ciało obce" w postaci rady uczelni, chaos w tytułach naukowych oraz marginalizacja lokalnych szkół wyższych. O niezbędnej korekcie mówi nawet premier. A może to próba odegrania się na Jarosławie Gowinie za jego poparcie dla prezydenckiego weta? „To byłoby szkodzenie państwu" – odpowiada sam wicepremier i zapewnia, że ustawa wejdzie w życie 1 października.

Rząd już ją przyjął. Jarosław Gowin liczy na to, że Sejm zajmie się nią w maju. Wciąż też negocjuje z PiS. Ostatnią deską ratunku było niedawne spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim. Prezes PiS dał Gowinowi iskierkę nadziei. Obaj pojawili się na konferencji prasowej, a Kaczyński powiedział reformie „tak". „Uczynię wszystko, żeby ta ustawa przeszła" – zapewnił. Ale jednocześnie przyznał, że w jego partii trwa spór co do kształtu tej ustawy i można oczekiwać korekt. Jakich? Na razie nie wiadomo.

Po tej zapowiedzi Gowin manifestuje pewność co do losów ustawy. Mówi o jej „kategorycznym poparciu" przez Kaczyńskiego. A przy okazji wbija szpilkę Ryszardowi Terleckiemu i przypomina o dyscyplinie głosowań w klubie PiS, którego szefem jest właśnie Terlecki. Ale czy rzeczywiście Gowin powinien czuć się tak pewnie?

Kciuk w górę czy w dół?

W polityce warto patrzeć na drobne gesty, często niezauważone. I takim gestem była nieobecność Ryszarda Terleckiego na wspomnianej konferencji. Czy to oznacza, że prezes PiS podjął ostateczną decyzję, a Terlecki się jej podporządkuje? A może to kolejna gra z wicepremierem?

Jak widać, poparcie środowiska akademickiego to za mało, ważniejszy będzie bój o głosy w Sejmie. Prezes dał Gowinowi wsparcie, ale to jeszcze nie przesądza o tym, że prace w parlamencie będą ciągiem formalności. Warto pamiętać, że politycy PiS nie zawsze bezwzględnie słuchają wytycznych szefa. Głośno było o niedawnym buncie senatorów, którzy mimo jasnego polecenia nie zgodzili się na uchylenie immunitetu swojemu klubowemu koledze Stanisławowi Kogutowi. Na mniejszą skalę podobne przykłady nieposłuszeństwa można było zaobserwować w trakcie prac nad innymi ustawami, choćby prawem łowieckim.

Ale przeciwnicy tej reformy nie muszą od razu iść na konfrontację z szefem. Mogą wybrać też sprawdzony od lat sposób, czyli prace w komisjach. Mechanizm jest banalnie prosty – jedna wersja ustawy do komisji wpływa, zupełnie inna z niej wychodzi. A oponenci Gowina łatwo nie odpuszczą. Świadczy o tym choćby apel Włodzimierza Bernackiego, który prosi wszystkich zainteresowanych o wysyłanie mu wszelkich uwag do projektu.

Czy zatem z projektu Gowina zostanie tylko nazwa, a o jej ostatecznym kształcie zdecyduje duet Terlecki–Bernacki? To kwestia wciąż otwarta. Z pewnością wicepremier nie może ich uwag ignorować. Bo część z tych obaw, jak choćby widmo marginalizacji mniejszych ośrodków akademickich, to cios w fundamenty programu partii. Te ośrodki to przecież nierzadko jej bastiony. Czy PiS może sobie pozwolić na to, by – jak ostrzega Bernacki – odebrać marzenia uczelniom w Tarnowie czy Jarosławiu? Gowin niezmiennie zapewnia, że koalicja rządowa nie rozbije się o głosowanie nad tą reformą. Czy wtedy znów będzie gotów podnieść rękę, ale się nie cieszyć, jak przy ustawach sądowych latem ubiegłego roku? ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".

Mięso rośnie w lesie

ANDRZEJ KRUSZEWICZ, DYREKTOR WARSZAWSKIEGO ZOO:

Osiołek nie zakładał związku zawodowego, nie miał roszczeń płacowych. Wystarczyło trochę siana i wody, by dwanaście godzin zasuwał w kieracie.

ADAM ROBIŃSKI: Po Panu wszyscy spodziewają się książek o zwierzętach. Nowa książka nosi tytuł „Hipokryzja". Kto jest hipokrytą?

ANDRZEJ KRUSZEWICZ: W relacjach ze zwierzętami wszyscy wykazujemy się hipokryzją. Z różnych powodów i na różne sposoby. Bo jeśli ktoś deklaruje szlachetną postawę wobec zwierząt, jak wegetarianizm, ale nie sprawdza, skąd bierze się mleko, które pije, to jest nie w porządku. Podobnie z kupowaniem produktów na oleju palmowym. Albo śliwek w środku zimy, które pochodzą z Paragwaju. Ta książka nie daje recept. Zostawiam czytelnika z danymi, faktami, myślami. Każdy musi sam sobie to wszystko poukładać, podjąć własne decyzje. Jeśli ktoś nie wyobraża sobie życia bez dużych ilości mięsa, to niech chociaż weźmie pod uwagę, skąd to mięso bierze. Pomysł jedzenia śliwek w środku zimy minie, jeśli dowiemy się, co po drodze działo się z owocami.

Co jest źródłem tej hipokryzji? Dieta? Urbanizacja? Dobrobyt?

Dobrobyt psychiczny. Świadomie zamiatamy pewne sprawy pod dywan, żeby ich nie widzieć. Proszę zwrócić uwagę, jak pakowane jest mięso w supermarkecie. Ono nie może przypominać zwierzęcia.

Kilka lat temu wybuchła afera, gdy jedna z sieci sprzedawała w całości zafoliowane prosiaki.

Całą świnkę sprzedawali, no skandal. A gdyby nie miała główki, albo wcześniej podzielono ją na pół, to byłoby w porządku? To jest ta hipokryzja. Jemy mięso, ale celowo unikamy stwierdzania, że to jest zwierzę, które trzeba zabić. I ktoś to musi zrobić. Przecież my zabijamy je również usługowo. Dla muzułmanów, dla żydów, dla tych, którzy noszą futra. Co innego zabić zwierzę na własne potrzeby, co innego na handel. Ja od dziecka lubię zbierać monety. Dawno temu dostałem od mamy książkę o historii pieniądza. Na jej początku jest taka sentencja: „Pieniądz jest dobrym sługą, ale złym panem". A nami, proszę pana, rządzi pieniądz. Nikt już nie

LESZEK KOTARBA / EAST NEWS

hoduje krówki czy świnki po to, żeby wykarmić rodzinę. Robi się to dla pieniędzy, rodzina jest przy okazji. A czym innym karmi się taką świnkę wtedy, kiedy ma się ją zjeść samemu, czym innym, jeśli jest na sprzedaż.

Ale sam Pan pisze, że przeciętny człowiek nie chce wiedzieć, co dzieje się w rzeźniach, i słusznie. Więc może to mechanizm obronny? Nikt nie chce być mordercą, a mając świadomość tych procesów, można po prostu oszaleć.

Oczywiście, ta ignorancja chroni nasze zdrowie psychiczne. Na studiach weterynaryjnych musiałem bywać w rzeźniach. Po każdej takiej wizycie przeżywałem depresję. Ludzi trzeba przed tym chronić. Dlatego rzeźnie są niedostępne, otoczone wysokim murem, nikomu się ich nie pokazuje.

A myśliwi, niestety, sami się w internecie chwalą swoją głupotą. Tak nie powinno być. Zabicie zwierzęcia jest zawsze aktem przemocy, którym się chwalić nie należy. Natomiast z całą pewnością zabicie zwierzęcia dzikiego w jego naturalnym środowisku jest łagodniejszą formą zdobycia pożywienia niż hodowanie go poprzez dręczenie, a potem wożenie do rzeźni na ubój, gdzie czeka w kolejce na śmierć.

Czyli nie unikniemy roli morderców zwierząt.

Ludzie mają często silną potrzebę czucia się lepszymi od innych. Ruch wegetariański czy wegański jest bardzo młody. Dzisiejsi weganie wychowali się na ogół na mięsie, ich rodzice jedzą mięso, jest ono wszechobecne. A taki weganin czy wegetarianin często próbuje dziś zaglądać innym do garnka, ferować wyroki. Nie je i poucza innych. Nie jesz mięsa, w porządku, to twoja decyzja. Kojarzy pan na pewno smak umami, niedawno opisany.

Słynny piąty smak.

Jest związany z mięsem, to właściwie smak mięsa. 3,5 proc. ludzkości go nie odczuwa, mięso jest dla nich bez smaku. Jeśli ktoś taki zostaje wegetarianinem – to zrozumiałe. Ale jeśli ta sama osoba poucza innych w kwestii mięsa, to tak jakby eunuch zalecał wszystkim wstrzemięźliwość seksualną.

Ale ta postawa jest wówczas uwarunkowana biologią, tymczasem wegetarianizm to często potrzeba wynikająca z przekonań czy emocji.

Odgórny zakaz jedzenia mięsa spotkałby się z buntem. Możemy natomiast pokazywać, jak niezdrowe jest przejadanie się mięsem. Mówić, że wystarczy 100 g dziennie, lub nawet 100 g dwa razy w tygodniu. Zresztą w pewnych sytuacjach mięsa nie unikniemy. Jeśli ktoś ma psa i karmi go pokarmem wegetariańskim, to jest to dręczenie zwierzęcia.

Ale czy na końcu tej drogi powinien być jednak zbiorowy wegetarianizm?

To jedyna szansa dla planety. Na razie Ziemia funkcjonuje tylko dlatego, że oprócz stref dobrobytu są też strefy głodu i nędzy, głównie w Afryce.

Myślę, że ludzkość może w pewnym momencie zatoczyć koło. Dawno temu porzuciliśmy koczowniczo-zbieracki tryb życia, bo potrzebowaliśmy mieć proso, żeby pić piwo. Wcześniej ludzi było mało, więc można było eksploatować zasoby, a potem porzucać ziemię i iść dalej. Ziemia się regenerowała.

A potem pojawiły się stałe osady, miasta... udomowienie każdego ze zwierząt dawało nam gigantyczny skok cywilizacyjny. Taki osiołek nie zakładał związku zawodowego, nie miał roszczeń płacowych. Wystarczyło trochę siana i wody, by zasuwał po dwanaście godzin w kieracie. Gdyby nie konie, nie byłoby najazdów tatarskich, a przecież wszyscy na tej szerokości geograficznej mamy dziś w żyłach krew wojowników Czyngis-chana. Ile wtedy roślin sprowadzono w nasze strony!

I teraz mamy porzucić miasta i znów żyć jak koczownicy?

Nie, ale być może odejdziemy od masowej uprawy w hydroponikach na rzecz jakiejś formy zbieractwa? Będziemy szanować ziemię, a ona odpłaci się nam zasobami?

To musiałaby się zdarzyć jakaś katastrofa. Żeby takie funkcjonowanie miało rację bytu, musiałoby nas być o wiele mniej.

Pewne mechanizmy już mają miejsce. W Japonii sprzedaje się więcej pieluchomajtek dla dorosłych niż pieluch dla niemowlaków. Prowadzę w gminie Hanna na Polesiu gospodarstwo ekologiczne, to rodzaj eksperymentu. Ma raptem 13 ha. Za parę lat przejdę na emeryturę, pewnie poświęcę mu się w całości. Mam tam las, rzekę na granicy działki, pasące się konie, które dają nawóz.

Zastanawiam się, czy będę w stanie doprowadzić do tego, by to gospodarstwo w całości wykarmiło mi rodzinę. Warzywa, owoce, zioła. Trudniej o mięso, bo nie ma wśród nas nikogo, kto by zabił kozę czy owcę.

Ale są sąsiedzi. Znajoma miała kiedyś lamę, ale kompletnie nie radziła sobie z jej pielęgnacją. Wziąłem ją od niej i dokupiłem jej dwa barany, dla towarzystwa. Ale nijak się nie dogadywały, lama musiała pójść do innych lam. A ja zostałem z dwoma baranami. W końcu oddałem je sąsiadom, którzy już mieli owce, a oni mi odpłacili trzema jagniątkami. Gotowymi do pieczenia, oprawionymi. Smaczne były. Barany ciągle u nich żyją, rozmnażają się.

Od innego sąsiada wziąłem kiedyś ćwierć świniaka. Wychowanego u nich, karmionego resztkami ze stołu, wyczochranego, pasącego się w ich ogródku. To był zupełnie inny smak niż ze sklepu. Zabito go w miejscu, gdzie się wychował. Nie poznał stresu transportu, zapachu rzeźni.

Ale takiego mięsa nie wystarczy dla wszystkich. I będzie dużo droższe.

Niech będzie droższe! Jak to możliwe, że szynka w dyskoncie kosztuje 9,99 zł? Albo że mleko w skupie jest tańsze od wody mineralnej? Polska sprzedaje za granicę po dumpingowych cenach mleko w proszku! Produkujemy za dużo, kosztem środowiska. Obciążamy świat, a potem wyprodukowane mleko sprzedajemy światu za bezcen. Gdzie tu sens? Niech mleko czy mięso będzie droższe, a krowy szczęśliwsze. Niech będzie ich mniej, ale życie niech spędzą na łące, a nie w oborze.

Mówił Pan już o łowiectwie. Mam wrażenie, że pisząc tę książkę wszedł Pan w rolę rzecznika myśliwych. Na ile świadomie?

Wydawca zajmuje się na co dzień m.in. prasą łowiecką. To mój stary znajomy, który wprowadził mnie w środowisko myśliwych, leśników, przyrodników. W tych grupach książka jest zresztą najlepiej odbierana. Wyszła w lipcu, od razu zszedł pierwszy nakład, właśnie kończy się drugi. Co ciekawe, ktoś inny zaproponował mi jej napisanie. Mówiłem, że to będzie kontrowersyjna książka, ale słyszałem, że to dobrze, bo na kontrowersji ↦

↦ oprze się marketing. A potem wydawca się wycofał. Z pobudek, które rozumiem, bo właścicielka wydawnictwa jest wegetarianką. Może poczuła się dotknięta? Chociaż ja przecież nie krytykuję idei wegetarianizmu. Zresztą jak się tę książkę przeczyta, to rysuje się trochę inny obraz łowiectwa. Uznaję wyłącznie polowanie dla mięsa.

Polski Związek Łowiecki Oddział w Łomży na swojej stronie internetowej przy okazji jakiejś konferencji przedstawia Pana tak: „myśliwy, przyrodnik, zwolennik łowiectwa i głos zdrowego rozsądku". W tej kolejności. Podoba się Panu taka wizytówka?

W sensie formalnym jestem myśliwym.

Poluje Pan?

Nie, bo nie mam ani siły, ani czasu. Poza tym przeraża mnie huk wystrzału. Lubię strzelnicę, jest zresztą obowiązek co najmniej raz w roku się na niej pojawić, ale tam zakładam słuchawki. Jakiś czas temu pojechałem z synem, ale słuchawek zapomniałem. Od pół roku mi dzwoni w uszach. A samo polowanie to duży wysiłek fizyczny, który nawet lubię, ale nie mam na to czasu.

Jak Pan został myśliwym?

Jako dziecko kochałem historie o Indianach, Winnetou, polowaniach. Potem raz robiłem za naganiacza, ale mnie to zniechęciło. Z czasem trafiłem do Puszczy Knyszyńskiej, tam mieszka mój szkolny kolega. W środowisku jego znajomych nauczyłem się wędkować. Na poważnie. Karpie, szczupaki. Poza tym zbieranie grzybów w ilościach wręcz przemysłowych. Ci ludzie jeździli też na polowania. A ja z nimi. Zostawiali mnie na ambonie, sami szli na zwierzynę, a ja siedziałem w ciemności i nasłuchiwałem. Niesamowite obserwacje! Słychać cały las! Obracając się wśród tych ludzi poznałem też smak dziczyzny, bo przecież nikt, kto mieszka w leśniczówce, nie jeździ po mięso do supermarketu. A potem zostałem dyrektorem warszawskiego zoo i poprzednicy zostawili mi trzy sztuki broni.

Na wypadek, gdyby coś uciekło?

Po roku zadzwoniłem na komendę policji z pytaniem, co z tym zrobić. Oni na to: „Dobrze, że pan dzwoni, bo się już do pana wybieraliśmy". Był rok 2010, okazało się, że od dziesięciu lat nie istniało pojęcie broni zakładowej. A te trzy sztucery z 1936 r. były przypisane właśnie do zoo. Pewnie jeszcze Żabiński [dyrektor zoo przed i w czasie wojny – red.] je kupił.

Sprawne?

Tak, ale od lat nieużywane. I dobrze, bo gdyby ktoś z nich strzelił, zrobiłaby się afera, w końcu po 2000 r. stały się nielegalne. Pojechałem na komendę, pokazałem papiery i broń. Kazali mi ją zostawić w rusznikarni na Grenadierów. Powiedzieli, że pomyślą, co z tym fantem zrobić. Zdałem więc broń, a oni główkowali. Po roku odezwali się, że nie ma innej drogi, muszę przejść pełną procedurę związaną ze wstąpieniem do PZŁ. Zrobiłem szkolenia, odbyłem staż, zdałem egzamin, a teraz sam wykładam biologię zwierząt dla przyszłych kandydatów na myśliwych. Lubię łazić po lesie, również z myśliwymi, czuję się w środowisku łowieckim swobodnie i mam wrażenie, że ci, którzy je krytykują, tak naprawdę boją się przyrody. Lasu nocą, kleszczy, dzikich zwierząt.

Pan pisze o polowaniu dla mięsa, ale łowiectwo to cała masa patologii. Jedzie Pan w Polskę i widzi np. rząd paśników, lizawek i ambon przyklejony do granicy rezerwatu.

Znam taki rezerwat Rabinówka na Lubelszczyźnie, który przebudowywano pod kątem cietrzewia. Polskie Towarzystwo Ochrony Ptaków dogadało się tam z PZŁ, by myśliwi postawili dookoła ambony i strzelali jenoty, norki, lisy i dziki. Drapieżniki tego cietrzewia. W zależności co chcemy osiągnąć, łowiectwo może być akceptowane w otulinie rezerwatu czy parku narodowego. Ale oczywiście jeśli mamy ptasi rezerwat, a na granicy stoją myśliwi i strzelają do gęsi, to jest to wstrętne.

No to inna sprawa: myśliwi dokarmiają na potęgę zwierzynę, a potem w Bieszczadach niedźwiedzie nie idą spać, bo mają co jeść.

Jeśli traktujemy las jako miejsce, którym gospodaruje człowiek, mając na myśli zasoby drewna, grzybów, jagód, ziół i dziczyzny, to powinno nam zależeć na skuteczności. Jeśli trzeba zabić, to szybko i sprawnie. Grzybiarzom nie każemy przecież chodzić na bosaka. Dokarmianie jest jednym z elementów zimowego nęcenia dzików. Z tego samego powodu do byków strzela się w trakcie rykowiska, to jedyna szansa, by podszedł blisko, bo jest zaślepiony rują.

Strzelanie do byków w czasie rykowiska to postawa wątpliwa etycznie.

Owszem, sam często na ten temat dyskutuję. Ale ustrzelenie jelenia bez sztuczki z rykowiskiem i wabieniem graniczy z cudem. To są bardzo ostrożne zwierzęta. Podobnie dziki – jeśli chcemy trzymać je w szachu, to musimy je dokarmiać. Ważne, żeby nie dokarmiać byle czym, bo przecież chcemy potem sami je zjadać.

Dlaczego środowisko łowieckie nie walczy z trawiącymi je patologiami?

Walczy.

U byłego ministra znajduje się trofeum chronionego gatunku i nic się nie dzieje.

Tego rysia Szyszko na pewno nie strzelił w Polsce. Ale kult trofeów łowieckich to ślepy zaułek. Wymyślili go naziści. Uczciwe polowanie to to na wsi, gdy chodzi o mięso. Nie że niedzielny myśliwy przyjedzie z Warszawy, strzeli, a potem powiesi w domu trofeum. PZŁ walczy z patologiami, ale problemem jest to, że dziś dubeltówka kosztuje 300 zł.

Chińska?

Nie, dobry niemiecki sprzęt. Rynek jest zasypywany bronią, bo odchodzi stara gwardia. Ci dawni funkcjonariusze milicji, wojskowi. To pokolenie się wykrusza. Tak jak mówiłem, wykładam biologię zwierząt kandydatom na myśliwych. To są młodzi ludzie, często białe kołnierzyki. Pytam, czego szukają w łowiectwie, i słyszę, że chodzi im o prawdziwy kontakt z przyrodą. To są ludzie, którzy pracują zawodowo, ale chcą móc przyjechać na dwa tygodnie urlopu w głuszę, żeby polować. Też bym tak chciał. Wyrwać się z miasta na dłużej, poznać swoje łowisko na wylot, w dzień i w nocy. Ale realia są takie, że w swoim gospodarstwie na Polesiu znam wszystkie sarny z imienia i nazwiska. Nie mam czasu polować, więc obserwuję je przez lornetkę.

Co Pan sądzi o procedowanych zmianach w prawie łowieckim?

Uważam, że w dzisiejszych czasach nie zmusi się młodego człowieka do pójścia na polowanie, jeśli nie będzie tego chciał.

Zabrałby Pan dziecko na polowanie?

Ja mam dorosłe dzieci, to inna sytuacja. Kilka lat temu wziąłem syna. Poszliśmy do lasu, siedliśmy na skraju łąki, obserwowaliśmy jakiegoś zająca, kozła. Podobało mu się, że mamy ze sobą broń. Ale nie był przy żadnym strzale, ani tym bardziej przy patroszeniu. Wracając do pytania, 18-latka na polowanie bym zabrał, kazał stanąć gdzieś z tyłu. A jak to powinno wyglądać prawnie? Może 16 lat to dobry wiek? Jeśli nie karzemy 16-latków za seks, to czemu zabraniać im udziału w polowaniach? Ale jak widzę np. ośmioletnie dziecko, które z ciekawości idzie z tatusiem na polowanie, to sytuacja jest po prostu niebezpieczna.

A wymóg badań raz na pięć lat?
W porządku. To się powinno dziać.

Koniec z karaniem za przeszkadzanie w polowaniach?
Tu bym dyskutował. Działalność PZŁ jest legalna. Jakaś forma karania za utrudnianie polowania powinna być dostępna. Dlaczego przeszkadzać w czymś, co jest legalne?

Bo to forma obywatelskiego nieposłuszeństwa.
Zwierzyna należy do państwa. Myśliwi dokonują gospodarki własnością państwa, mają do tego uprawnienia. Jeśli ktoś w tym przeszkadza i robi to bezkarnie, to sytuacja nie jest normalna. Obecność ludzi na linii strzału jest po prostu niebezpieczna. Ale znam przypadki takich zdarzeń, gdy grupa ludzi przyjeżdżała z kamerą na polowanie, blokowała je, a myśliwi widząc ich upór odpuszczali, a potem zapraszali do wspólnego ogniska na bigos. Szkoda, że PZŁ nie potrafi wykorzystać PR-owo takich obrazków.

Czyli jednak chce Pan być rzecznikiem łowiectwa.
Nie, ale mam kilka pomysłów na to, jak poprawić jego wizerunek. Weźmy taką łyskę lub cyraneczkę. Co to jest za zdobycz? Jak się je strzeli, zostają pierze i kości. Wycofajmy je z polowań, zamiast tego poprośmy o prawo do polowania na berniklę kanadyjską, gatunek obcy, inwazyjny.

Można by też zakazać strzelania ołowiem, który truje środowisko.
To się oczywiście musi stać, ale wymaga czasu, bo obecne na rynku dubeltówki nie są przystosowane do amunicji stalowej. Ale prędzej czy później Unia Europejska zakaże produkcji amunicji ołowianej. Na pewno trzeba ją wycofać z polowań na ptactwo, choć tak naprawdę śrucina w ptaku jest mało szkodliwa. Bardzo szkodliwa jest, gdy dostanie się do środowiska lub gdy zostanie połknięta przez ptaka i rozpuści się w żołądku. Nie powinno się strzelać ołowiem na torfowiskach, tam, gdzie mokro.

Jemy mięso, ale celowo unikamy stwierdzania, że to jest zwierzę, które trzeba zabić. **I ktoś to musi zrobić.** Przecież my zabijamy je również usługowo. Dla muzułmanów, dla żydów, dla tych, którzy noszą futra.

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

ANDRZEJ KRUSZEWICZ (ur. 1959) jest lekarzem weterynarii i ornitologiem. Założyciel Azylu dla Ptaków w warszawskim zoo, którego jest dyrektorem. Założyciel i honorowy członek Stołecznego Towarzystwa Ochrony Ptaków. Autor wielu książek przyrodniczych, w tym najnowszej „Hipokryzja. Nasze relacje ze zwierzętami" (Oikos 2017).

Wróćmy jeszcze do książki. Jakie są Pana relacje ze zwierzętami? Dyrektor zoo to specyficzna perspektywa.
Ludzie coraz częściej nie rozumieją funkcji ogrodów zoologicznych. Nie zdają sobie sprawy, że to planowa, międzynarodowa ochrona gatunków zagrożonych wyginięciem.

Wciąż patrzą na zoo przez pryzmat XIX wieku, zamykania zwierząt w klatkach i pokazywania ich za pieniądze.

Tymczasem edukacja, nauka, rekreacja są przy okazji. My przede wszystkim hodujemy zwierzęta zagrożonych gatunków. Nie ma u nas ani piwa, ani waty cukrowej. A moja funkcja jest administracyjna. Przychodzę do pracy i na dzień dobry mam 80 maili w czterech językach. Potem budzi się Ameryka i dosyła kolejne. Projekty, kontakty, wymiana zwierząt, transport, informacje, co gdzie się urodziło. Na szczęście Ratusz nie naciska na nas, byśmy się bardziej skomercjalizowali.

A nie naciska na to, żeby zabrać niedźwiedzie z wybiegu przy ruchliwej alei Solidarności?
One raz na jakiś czas wzbudzają emocje. Na tym wybiegu żyje Tatra, rocznik 1981. Ma 37 lat. To jedna z najstarszych niedźwiedzic w Europie.

Z kolei Małą i Sabinę przygarnęliśmy z klatek ze szkoły cyrkowej w Julinku. Bały się wtedy wszystkiego, nawet motyli. Jak wpuściliśmy im do wody karasie, to nie chciały do niej wchodzić. Teraz mają się świetnie. Doszliśmy z radą naukową do wniosku, że ruszanie tych starowinek nie ma sensu. Niech umrą tu w spokoju, a potem ustawimy w ich miejscu rzeźbę z brązu, bo warszawiacy polubili spotkania przy misiach.

Kolejnych niedźwiedzi przy ulicy nie będzie?
Nie, tylko pomnik niedźwiedzia. Może Wojtka z armii gen. Andersa?

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

ANNA

Dziewit-Meller: *Wiedza o społeczeństwie*

Jednym z elementów życia pisarza/pisarki w Polsce są spotkania autorskie. Pomijając oczywisty aspekt zarobkowy tego działania (z samego pisania książek moglibyśmy nie przeżyć, nie każdy wszak jest bogaty z domu, nie każdy ma zdolność rozpoznawania ziół, korzonków i owadów zdatnych do spożycia), koniecznie trzeba zwrócić uwagę na aspekt społeczny, czy może raczej obywatelski. Ośmielę się nawet zaryzykować tezę, że spośród wielu przedstawicieli świata kultury to właśnie pisarze będący nieustająco w jakiejś trasie po wojewódzkich, powiatowych i gminnych bibliotekach publicznych mają największy wgląd w to, jak naprawdę wygląda owa Polska, tzw. „ten kraj". I może dlatego film „Twarz" jest filmem właśnie, a nie książką, pisarz, który bywa częściej niż raz do roku poza swoją bańką informacyjną, nie mógłby napisać takiej książki o Polsce – nie wszystko, co się świeci, jest udaną satyrą, nawet jeśli to takie po naszemu prawilne, postępowe światło.

No więc jeździmy – między Długołęką, Płońskiem, Jarocinem, Ostródą – i spotykamy ludzi, którzy przychodzą na te wieczory autorskie w salach bibliotecznych albo domach kultury. Ponieważ niedawno wydałam cieszącą się zainteresowaniem książkę dla dzieci, weszłam w dodatkową orbitę – na mojej trasie zaczęły wyrastać szkoły podstawowe i licea, do których zajeżdżam przed wieczornymi spotkaniami z dorosłą publicznością. Jako że właśnie dziś rano odbyłam kolejne z takich spotkań – w jednej z podwarszawskich miejscowości – mam ogromną potrzebę, by się podzielić refleksją nad tym, co tak doskonale ujął w swoim tekście dla „New York Timesa" reporter Timothy Egan. Napisał: „W gruncie rzeczy da się naprawić głupotę", wyraźnie będąc pod wrażeniem aktywności młodych Amerykanów, którzy po strzelaninie w Parkland na Florydzie zorganizowali „Marsz dla naszego życia".

Najbardziej wyrazistą twarzą tego buntu młodych stała się 18-letnia Emma González – ogolona na łyso dziewczyna, która przeżyła masakrę w szkole i w słyszalnym na całym świecie przemówieniu w Fort Lauderdale wykrzyczała w stronę polityków: „Jesteśmy dzieciakami, o których po latach będziecie czytać w podręcznikach, nie jako o ofiarach kolejnej masowej strzelaniny, ale jako o tych, którzy byli ofiarami ostatniej". Reporter „NYT" pisze o przebudzeniu społeczeństwa obywatelskiego. O paradoksalnej sytuacji, gdy najmniej sprzyjający wolnościom obywatelskim prezydent staje się mimowolnie iskrą, od której Ameryka może zapłonąć i nigdy już nie być taka jak do tej pory.

Co to ma wspólnego z objazdami pisarzy po gminnych podstawówkach? Szalenie dużo! Bo naprawdę da się naprawić głupotę, wystarczy zacząć nad tym pracować. Jak czyni to na przykład Sonia Sotomayor – sędzia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych (*nota bene* pierwsza w historii sędzia o latynoskich korzeniach, trzecia kobieta w historii tej instytucji) – która postawiła sobie za cel wyedukować amerykańskie społeczeństwo w zakresie demokracji. Jeździ zatem od stanu do stanu i spotyka się z młodymi ludźmi, by ich uczyć, czym są ich prawa obywatelskie i jak z nich korzystać. A doprawdy ma nad czym pracować. Amerykanie są – wbrew wszelkim pozorom – jednym z najmniej aktywnych obywatelsko społeczeństw spośród tzw. krajów wysoko rozwiniętych, które bardzo niechętnie bierze udział w wyborach. Skutki znamy.

Nie będąc niestety sędzią Sotomayor, mając jednakowoż możliwość kontaktu z młodym pokoleniem, korzystam ile wlezie z tych okazji, by powtarzać dzieciom, że nasze prawa są ważne, że trzeba z nich korzystać, by nie okazało się za jakiś czas, że już się z nich korzystać nie da. Moment dziejowy mamy w pewnym sensie podobny – odkąd żyję, nie pamiętam, aby zaangażowanie w życie społeczne i obywatelskie przejawiały takie rzesze ludzi. Polityka i przyszłość Polski zaczęły zaprzątać głowę nawet tym, którzy jeszcze do niedawna sami siebie o to nie podejrzewali. Czyż więc nie należy kuć tego żelaza, póki gorące?

Dlaczego wyposażając nasze dzieci w te wszystkie narzędzia, które mają uczynić ich życie znośniejszym w przyszłości, inwestując w lekcje szermierki, pływania, chińskiego i baletu, nie czujemy potrzeby, by nauczyć je funkcjonowania w ramach demokracji? Przecież ona od nikogo innego jak od nas nie zależy. Potrzebna jest im instrukcja „jak być obywatelem", coś jak elementarz Falskiego z demokracji, jak nauka znaków drogowych na kursach prawa jazdy – bez tego *nie razbierosz* życia we wspólnocie. Amerykanie kazali dzieciom ze szkoły na Florydzie nosić przezroczyste plecaki. Młodzi już zareagowali, że to pogwałcenie prywatności i że chyba nie do końca o to chodzi w ograniczeniu prawa do broni. Pierwsze lekcje korzystania ze swoich praw wyraźnie już zostały tam odrobione.

Gdyby ktoś chciał pisać taki program – służę doświadczeniem wykuwanym w boju, w salach gimnastycznych i aulach pełnych dzieci, które kiedyś będą pracować na nasze emerytury i urządzać nam „ten kraj". ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

Nagroda im. Wiesława Kazaneckiego przyznana

Już od prawie trzech dziesięcioleci Nagroda Literacka Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego kształtuje przestrzeń polskiego życia literackiego oraz ma dla niego ogromne znaczenie, gdyż wskazuje na niezwykłe talenty literackie, jednocześnie otwierając przed nimi drogę do dalszej kariery i wyróżnień.

Po raz pierwszy Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego przyznano w 1992 r. Od 27 lat otrzymują ją pisarki i pisarze uprawiający wszystkie rodzaje i gatunki literackie. Wymóg formalny, kształtujący specyfikę Nagrody, jest jeden: autorka bądź autor musi być związany z Białymstokiem (lub regionem) – pochodzeniem, tematyką swojej twórczości bądź miejscem wydania. Nagroda przyznawana jest za książki wydane pomiędzy 1 stycznia a 31 grudnia roku kalendarzowego poprzedzającego rok przyznania nagrody, także w formie elektronicznej (e-booka).

Wśród dotychczasowych laureatów znajdują się m.in. Edward Redliński, Ignacy Karpowicz, Szymon Hołownia, Piotr Nesterowicz, Michał Książek i Aneta Prymaka-Oniszk.

W tym roku laureatkami zostały: ANNA KAMIŃSKA za książkę „Białowieża szeptem. Historie z Puszczy Białowieskiej" oraz MIRA ŁUKSZA za całokształt twórczości, a szczególnie za tomik wierszy „Rodosłów". Oprócz nich do Nagrody nominowani byli: EWA WŁODARSKA (za książkę „Licencja na pierwszy śnieg"), IGNACY KARPOWICZ (za książkę „Miłość") i KRZYSZTOF PUŁAWSKI (za książkę „Martwiątka").

UM BIAŁYSTOK / DAWID GROMADZKI

Anna Kamińska i Mira Łuksza – laureatki tegorocznej edycji Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego

Anna Kamińska **BIAŁOWIEŻA SZEPTEM** *Wydawnictwo Literackie*

Mira Łuksza **RODOSŁÓW** *Wydawnictwo Książkowe IBiS*

Najlepsza książka 2017 roku

„Białowieża szeptem. Historie z Puszczy Białowieskiej" ANNY KAMIŃSKIEJ, czyli opowieść o najgłośniejszym – nie tylko teraz – lesie w Europie, została uznana za najlepszą książkę 27. edycji Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego. Za całokształt twórczości nagrodzono także MIRĘ ŁUKSZĘ.

– Dla mnie przygodą jest wysłuchiwanie ludzkich opowieści, ja jestem ich opowiadaczem. Praca nad tą książką to była właśnie taka praca reporterska. Chodziłam po Białowieży w upale i mrozie, słońcu i deszczu i nagrywałam te historie – wspomina Anna Kamińska. Taką właśnie opowieścią o zdarzeniach i postaciach związanych z Puszczą Białowieską jest ta książka. Jak mówiła Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, przewodnicząca kapituły przyznającej Nagrodę im. Wiesława Kazaneckiego, laureatka patrzy na Białowieżę świeżym, zauroczonym, choć nie bezkrytycznym okiem, a jej reportaż to przede wszystkim zbiór fascynujących biografii. Anna Kamińska, absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim, już kiedyś zauroczyła czytelników puszczańskimi klimatami, opowiadając historię Simony Kossak, która większość swego życia związała właśnie z Białowieżą („Simona. Opowieść o niezwyczajnym życiu Simony Kossak"; książka ta była nominowana do Nagrody im. Wiesława Kazaneckiego za rok 2015). O tym, że jak mało kto potrafi kreślić ludzkie portrety, przekonała w książce o Wandzie Rutkiewicz („Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci. Historia Wandy Rutkiewicz"). Teraz opisując zdarzenia i postacie – tak ekologów, jak i drwali – związane z Puszczą Białowieską, chociażby historie ostatniego leśnego bartnika Filimona Waszkiewicza; późniejszego hodowcy żubrów Jana Potoki, który przetrwał dziesięć lat łagru dzięki nadziei, że jeszcze kiedyś wróci do Puszczy, pokazuje, że pokochała swoich puszczańskich bohaterów. – Atmosfera szacunku dla drugiego człowieka, emanacja ziemi i przyroda to jest dla mnie Białowieża – mówi Anna Kamińska. Nagrodę za całokształt twórczości, ze szczególnym uwzględnieniem książki „Rodosłów", otrzymała natomiast Mira Łuksza. Ta książka to dwujęzyczny, polsko-białoruski tom, który zawiera przekrój jej twórczości lirycznej. Łuksza to poetka, pisarka, tłumaczka, pisze w języku polskim i białoruskim. Ma na koncie kilkanaście książek: prozy i tomików poezji.

MATERIAŁ PROMOCYJNY MIASTA BIAŁYSTOK

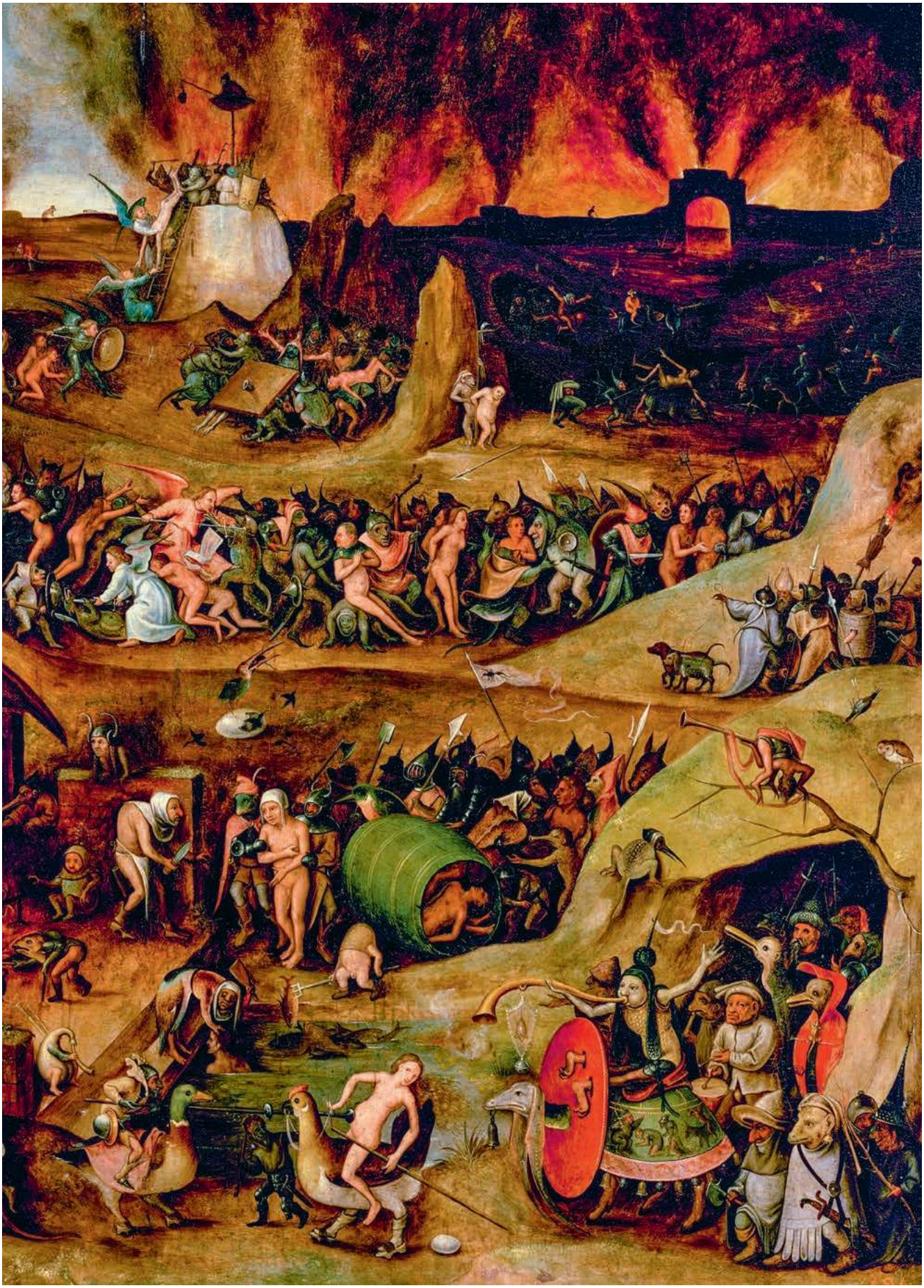

UIG / GETTY IMAGES

WIARA

PALĄCY PROBLEM Z PIEKŁEM

Zamiast o wiecznym potępieniu, pomyślmy o możliwości pośmiertnego dojrzewania do nieba – taki jest obecnie kierunek nauczania Kościoła.

MACIEJ MÜLLER I ARTUR SPORNIAK

Papież twierdzi, że piekło nie istnieje, Bóg morduje zatwardziałe dusze, a grzesznicy mogą grzeszyć do woli za życia, mają bowiem możliwość nawrócenia się po śmierci – takie rewelacje pojawiły się ostatnio w internecie. Ich katalizatorem stała się rzekoma wypowiedź Franciszka, zacytowana przez byłego naczelnego włoskiej gazety „La Repubblica" Eugenia Scalfariego. Papież w niedawnej prywatnej rozmowie z 94-letnim nestorem włoskich dziennikarzy miał powiedzieć: „Ci, którzy okażą skruchę, otrzymają wybaczenie i zajmą miejsce pośród kontemplujących Boga. Natomiast ci, którzy nie wyrażą żalu, nie będą mogli otrzymać przebaczenia – znikną. Piekło nie istnieje, istnieje unicestwienie grzesznych dusz".

Cytat ten oburzył m.in. wziętego polskiego vlogera, który doszukał się w nim trzech wymienionych wyżej herezji. Niezależnie jednak od wątpliwej zdolności owego vlogera do kontrolowania stopnia absurdu we własnych komentarzach, pytania o to, co naprawdę sądzi Franciszek o piekle i czego o nim naucza Kościół, są same w sobie warte rozważenia.

Papież o piekle

Odpowiedź na pierwsze pytanie nie jest trudna: motyw realnie istniejącego piekła często przewija się w katechezach Franciszka. Na przykład w marcu 2015 r., spotykając się z rodzinami ofiar włoskiej mafii, papież apelował do jej członków: „Władza, pieniądze, które macie dzisiaj z tylu brudnych interesów, tylu mafijnych zbrodni, to pieniądze zbrukane krwią, to władza splamiona krwią. Czeka was piekło, jeśli dalej pójdziecie tą drogą". Z kolei w orędziu na Wielki Post w 2016 r. Franciszek przestrzegał ludzi o zatwardziałym sercu: „Coraz szczelniej zamykając się na Chrystusa, który w ubogich i potrzebujących wciąż puka do drzwi ich serc, pyszni, możni i bogaci skażą sami siebie na tę wieczną otchłań samotności, którą jest piekło".

Równie często Franciszek mówi o diable. „Wierzę, że diabeł istnieje. W osobistym doświadczeniu czuję się wciąż kuszony, aby zrobić coś innego niż to, o co prosi mnie Bóg" – wyznał jeszcze jako arcybiskup Buenos Aires w książce rozmów z rabinem Abrahamem Skórką z 2010 r.

Z tych i wielu innych wypowiedzi nie wynika, by papież chciał zmienić dotychczasowe nauczanie Kościoła. Jak zatem należy rozumieć cytat Scalfariego?

Przedstawiający się jako niewierzący, założyciel lewicowego dziennika „La Repubblica" przyzwyczaił już media, że – wykorzystując znajomość z Franciszkiem – regularnie kontaktuje się z nim, a potem publikuje sprawozdania z tych kontaktów, zastrzegając, że nie nagrywa swoich rozmów, tylko odtwarza je z pamięci. Skutkuje to tym, iż kilkakrotnie już ogłaszał rewelacje, które rzekomo miał powiedzieć papież, np. że grzech nie istnieje, albo że wszyscy rozwodnicy żyjący w nowych związkach, którzy będą tego chcieli, otrzymają dostęp do komunii. Te tezy stoją w sprzeczności z nauczaniem papieża. Jak było tym razem?

Najprawdopodobniej Scalfari i Franciszek rozmawiali o hipotezie utożsamiającej stan potępienia z niebytem, która od dawna obecna jest w teologii. Głośno stało się o niej w 1996 r., kiedy to Synod Generalny Kościoła anglikańskiego przyjął ją za swoje oficjalne nauczanie. Choć brzmi ona zaskakująco, ma silne uzasadnienie metafizyczne. Jeśli w Bogu dostrzegamy źródło życia i istnienia, ostateczne odwrócenie się od Niego musi skutkować także zanikiem istnienia. „»Piekło nie jest wieczną męką« – pisał na tych łamach ks. Wacław Hryniewicz, cytując przyjęty przez anglikanów raport. – To przede wszystkim ostateczny i nieodwołalny wybór tego, co »sprzeciwia się Bogu tak całkowicie i tak absolutnie, że jedynym końcem jest całkowity niebyt«" („TP" nr 38/96).

Paradoks miłości

Takie podejście unika czynienia z Boga sadystycznego monstrum, które się mści, nakładając okrutne i wiecznie trwające kary. „Kwestią, która dziś sprawia najwięcej trudności sumieniu chrześcijańskiemu, jest niewątpliwie wieczny charakter kar piekła" – zauważa Luis Ladaria (obecnie ↦

Pieter Huys, Piekło, 1570 r.

↦ arcybiskup i prefekt Kongregacji Nauki Wiary) w drugim tomie „Historii dogmatów". Z innych teologicznych hipotez, próbujących rozwiązać ten problem, wymienić można hipotezę czasowości kar piekielnych (tylko Bóg jest wieczny) oraz nadzieję powszechnego zbawienia (piekło istnieje, ale może się okazać, że jest puste). Gorącym propagatorem takiej nadziei jest u nas ks. Wacław Hryniewicz.

Piekło jest paradoksalną konsekwencją miłości rozumianej jako ostateczny wybór. Miłość zakłada wolność, bez wolności nie ma miłości. Ostateczne powiedzenie Bogu „tak", by mogło być miłością, zakłada możliwość ostatecznego powiedzenia „nie". A to jest właśnie piekło.

Sposobem na złagodzenie tego paradoksu jest położenie akcentu na możliwość piekła, która apeluje do naszej odpowiedzialności, a nie na jego straszną rzeczywistość, która wzbudza lęk (paraliżujący z kolei miłość). Niestety, traktująca o rzeczach ostatecznych eschatologia była w Kościele przez wieki wykorzystywana bardziej do inżynierii społecznej i utrzymywania strachem w ryzach elementarnej moralności ciemnych mas społeczeństwa feudalnego niż do przepowiadania Ewangelii. Miejscami staczała się wręcz w sadyzm.

Jęzory ognia

Autor najwcześniejszych tekstów Nowego Testamentu, św. Paweł, niespecjalnie interesował się tematem piekła. W Liście do Rzymian pisze wprawdzie o Bogu, który „odda każdemu według uczynków jego", ale o losie nieprawych dowiemy się tyle, że spadnie na nich „gniew i oburzenie" albo że „zapłatą za grzech jest śmierć". Ewangelie często wspominają z kolei o Gehennie (czyli dolinie Hinnom, przeklętym miejscu dawnego bałwochwalczego kultu Molocha, w którym płonęły śmieci i zwierzęce zwłoki), o ogniu wiecznym czy nieugaszonym, a Apokalipsa m.in. o jeziorze gorejącej siarki, do którego trafią „tchórze, niewierni, obmierźli, zabójcy, rozpustnicy i guślarze" (Ap 21, 8).

Mało precyzyjny język symboli nie wystarczał pierwszym chrześcijanom. Braki te nadrobiły apokryfy, w których, jak pisał historyk Kościoła, ks. Jan Kracik, „antyczna demonologia ludowa spotkała się z manichejskim dualizmem, infekując w jakiejś mierze chrześcijaństwo". Apokalipsa św. Piotra, która ponad tysiąc lat później zainspiruje Dantego, tak opisywała piekielne kaźnie: „Niektórzy spośród przebywających tam zawieszeni byli za języki: to ci, którzy bluźnili przeciw drodze sprawiedliwej. (...) Kobiety, które dopuściły się cudzołóstwa, powieszone za włosy, wisiały ponad błotem gorejącym. Zaś mężczyźni, którzy z nimi razem splamili się tym grzechem, powieszeni byli za stopy, podczas gdy głowy ich nurzały się w błocie (...). Widziałem inne miejsce ciasne, skąd wydobywał się smród karanych, a wyciekająca z nich ropa tworzyła całe jezioro. A w tej posoce kobiety były zanurzone po szyję. I naprzeciw nich leżało wiele urodzonych przed czasem dzieci, które płakały. Wytryskujące z nich jęzory ognia raziły oczy kobiet. To były matki, które poczęły poza małżeństwem, a dzieci swoje zabiły".

Pierwsi teologowie chrześcijaństwa nie byli zgodni co do istoty i czasu trwania kar piekielnych. Klemens Aleksandryjski czy Orygenes pisali, że mają one sens oczyszczający i leczniczy (a więc nie są wieczne), ale Tertulian uważał, że jedną z łask, jakiej dostąpią zbawieni, będzie oglądanie wiecznej męki grzeszników. Św. Hieronim porównywał liczbę potępionych do strząśniętych z drzewa oliwek, natomiast nieliczne pozostałe na gałęziach owoce obrazowały zbawionych. Niemniej Ojcowie Kościoła byli w większości przekonani o przewadze liczby zbawionych nad potępionymi. Sam Hieronim nie był konsekwentny: proroctwo Izajasza skomentował w duchu Orygenesa, zaznaczając jednak, że nauczanie to nie powinno pójść w lud, któremu do uniknięcia grzechu potrzebny jest lęk.

Sytuację zmienił okres prześladowań: odtąd chrześcijanie coraz chętniej umieszczali swoich oprawców w piekle. Św. Cyprian z Kartaginy, męczennik, pisał: „będziemy o tyle błogosławieni i weseli, i z łaski Bożej uczczeni, o ile pozostaną winnymi i nieszczęśliwymi ci, którzy porzuciwszy Boga lub zbuntowawszy się przeciw Niemu, spełniali wolę diabła". Najmocniejszy fundament pod zachodnio-chrześcijańskie duszpasterstwo strachu, skupiające się raczej na straszeniu piekłem niż na odkupieniu, położył św. Augustyn. Stwierdził, że na karę wiecznego piekła skazani są ludzie nieochrzczeni i zatwardziali grzesznicy. Męczarnie potępionych – zanurzenie w ogniu palącym ciała i dusze, ale nieniszczącym ich – zaczynają się zaraz po śmierci, a wzmagają po Sądzie Ostatecznym.

Katusze potępieńców

W kierunku wyznaczonym przez Augustyna poszło chrześcijańskie średniowiecze. „W centrum tego nauczania słowem, dłutem, a wkrótce i pędzlem, znajduje się ciągle Chrystus, ale bardziej jako Sędzia niż Zbawca. (...) Szerzenie eschatologicznego strachu wydawało się skuteczniejsze od wątłych zachęt" – oceniał ks. Jan Kracik. Zwieńczenie tego procesu to oczywiście „Boska komedia", która „zapożyczy wyobrażenia piekła ludowego, a logikę z piekła teologicznego" i „uporządkuje chaos starych opisów katuszy potępieńców, dostosowując je do rodzaju grzechów".

Prekursorzy Dantego to przede wszystkim mnisi, którzy w mistycznych widze-

Polski wkład w duszpasterstwo strachu

KS. PIOTR SKARGA: Na sądzie tym nie będzie odwłoki, nie będzie żadnego miłosierdzia, nie przeszkodzi łaska, musi miłosierdzie albo milczeć, albo z daleka i próżno płakać; a sprawiedliwość szczera i goła skazować ma. (...)
Pójdzie za Panem jedno czarne wojsko straszliwe katowskie, diabłów i duchów złych, którzy pójdą z okazaniem jadu swego i gniewu na ludzie, i z naczyniami piekielnymi, i łańcuchy, i powrozy, i okowy, do wiązania i karania nieprzyjaciół Chrystusowych. Bo i oni są egzekutorowi rozkazania Jego. (...)
[Kozły na lewicy] usłyszą piorun z ust Chrystusowych: – Odstąpcie ode mnie przeklęci! A oni krzykną: – Izali nas przeklinasz, Twórco i Odkupicielu nasz? Gdzież one wnętrzności miłosierdzia twego? Wspomnij, jakoś dla nas umarł, abyś nas od tej wiecznej śmierci wybawił? A Pan też rzecze: – W czas było miłosierdzia szukać: precz przeklęci! – A gdzież nam każesz? – W ogień! – A długoż? – Na wieki wieków. – Wżdy po stu tysięcy lat nas wyzwól! (...) – Nie. Na wieki wieków nie zmiłuję [się]! – Cóż będziem tam mieć za pany i w czyjej mocy będziemy? – U diabłów, nieprzyjaciół waszych, którym gwoli mnieście nie słuchali. ©

niach – przytoczonych przez Georges'a Minois w „Historii piekła" – odwiedzali zaświaty. Beda Czcigodny (VIII w.) w swoim dziele o historii Anglii przytoczył m.in. opowieść niejakiego Dryethelma z Northumberland: „ujrzałem tłum złych duchów, które śmiejąc się i nie posiadając z radości, ciągnęły za sobą w głąb czeluści pięć wyjących i jęczących dusz ludzkich. Rozpoznałem wśród nich człowieka z tonsurą duchownego, osobę świecką i kobietę. Złe duchy wciągnęły ich do wnętrza gorejącej studni, a kiedy się w niej pogrążali, przestałem już rozróżniać ludzkie lamenty od diabelskiego śmiechu".

Najwybitniejszy teolog średniowiecza św. Tomasz z Akwinu nie miał szacunku do tego typu wizji i w swoich pismach starał się uporządkować nauczanie na temat piekła. Podkreślał raczej duchowy niż cielesny charakter kary, opowiadając się jednak za jej wiecznością, bo „byt skończony nie mógłby nieskończenie intensywnie odczuwać cierpienia, trzeba je zatem zrównoważyć czasem trwania".

Tymczasem w XIII w. nauczanie o potępieniu wiecznym w piekle trafiło do magisterium Kościoła, wyrażone przez papieża Innocentego III i potwierdzone przez późniejsze sobory – przy czym podkreślano jego nieuchronność dla osób nieochrzczonych. A teza, według której potępionych ma być więcej niż zbawionych, mocno zakorzeniła się w kaznodziejstwie. W XIV w. mistyk nadreński Jan Tauler straszył: „pomnij, że wiele tysięcy ludzi trafiło do piekła i że być może nie czynili oni tyle zła, co ty".

Epoka lęku

Nowożytność pobiła średniowiecze na głowę w straszeniu perspektywą piekielną. „Była w rzeczywistości nieustannie nękana poczuciem grzechu, lękiem przed śmiercią, szatanem, Sądem Ostatecznym w obliczu groźnego (wręcz mściwego!) Boga" – oceniał ks. Wacław Hryniewicz. W ikonografii, pismach i kaznodziejstwie dominował „niepodzielnie przerażający motyw gniewu (*dies irae*), surowości i sprawiedliwości Boga oraz okropności mąk piekielnych, (...) szatan i piekło zawładnęły całkowicie wyobraźnią ludzi Zachodu".

Przekonanie o czekającym większość ludzkości potępieniu głosili nawet tacy, kojarzeni dzisiaj raczej z miłosierdziem, święci jak Wincenty à Paulo czy Alfons Liguori. Ignacy Loyola radził medytować na temat piekła, prosząc „o dogłębne uczucie kary, którą cierpią potępieni, aby przynajmniej strach przed karami pomógł mi do uniknięcia grzechu, gdybym kiedy z powodu swych win zapomniał o miłości Pana odwiecznego". Tego typu pobożność szerzyły licznie wydawane po Soborze Trydenckim katechizmy. Jeden z nich, z XVIII już wieku, pouczał, że aby trafić do piekła, wystarczyło nie odpokutować choćby jednego grzechu, a „miejsce to jest strasznym więzieniem, ohydnym lochem, wydrążonym w środku ziemi".

Wiek XIX, czas wielkich rewolucji społecznych i wielkich idei, sprzyjał dalszemu utwierdzaniu się Kościoła w przekonaniu, że wszyscy jego przeciwnicy trafią w czeluście piekielne. Powszechnemu wśród kaznodziejów (w tym u Proboszcza z Ars) i teologów stanowisku, że zbawienie dostępne jest dla garstki wybranych, sprzeciwiały się takie pojedyncze osoby jak św. Teresa z Lisieux. Sposób spojrzenia na duszpasterstwo niewiele się różnił od zaprezentowanego półtora tysiąclecia wcześniej przez Hieronima. W 1901 r. na wątpliwości pewnego księdza co do poświęcania tak wielkiej uwagi potępieniu, redakcja francuskiego pisma „Przyjaciel Duchowieństwa" odpowiedziała: „Należy unikać prezentowania wiernym tak umiarkowanej wersji piekła, by mogli wyobrażać sobie, że w przyszłości da się tam wytrzymać".

Sytuacja taka trwała właściwie do Soboru Watykańskiego II, który radykalnie zmienił akcenty w nauczaniu, skupiając się raczej na zbawczej ofierze Chrystusa niż na losie potępionych. Jak oceniał ks. Kracik, „nagminne i wielowiekowe odwracanie podstawowego przesłania biblijnego – wyrażonego choćby w Pawłowym »gdzie jednak wzmógł się grzech, tam jeszcze obficiej rozlała się łaska« – należy do największych grzechów Kościoła".

W czasach współczesnych

Dzisiaj prawie nikt nie wierzy w piekło – to konsekwencja wielowiekowego nim straszenia. Teolog zajmujący się eschatologią, ks. Eligiusz Piotrowski, w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym" zauważa: – Kościół zmarnował szansę Jubileuszu Roku 2000 na zrobienie teologicznego rachunku sumienia i m.in. skorygowania nauki o piekle. Przemyślenie tematu wiecznego potępienia to zadanie, które wciąż nie jest odrobione.

Warto jednak przyjrzeć się magisterium Kościoła próbującego nauczać o rzeczach ostatecznych w ewidentnie niesprzyjających warunkach. Katechizm Kościoła Katolickiego (z 1992 r.) – którego głównym założeniem było zebranie prawd wiary w jednym kompendium (stąd jego zwięzłość) – surowe tezy dogmatyczne („Nauczanie Kościoła stwierdza istnienie piekła i jego wieczność. Dusze tych, którzy umierają w stanie grzechu śmiertelnego, bezpośrednio po śmierci idą do piekła, gdzie cierpią męki, »ogień wieczny«") stara się złagodzić uwagą duszpasterską („Stwierdzenia Pisma Świętego i nauczanie Kościoła na temat piekła są wezwaniem do odpowiedzialności (...) i do nawrócenia"). Ale już wersja katechizmu dla młodych („Youcat") zauważa: „Czy rzeczywiście ktoś w momencie śmierci potrafi spojrzeć w twarz absolutnej miłości i na zawsze powiedzieć »Nie«, tego nie wiemy".

Poważnej zmiany kierunku nauczania próbował dokonać Benedykt XVI w encyklice o nadziei „*Spe salve*". W rozdziale traktującym o Sądzie Ostatecznym jako miejscu uczenia się nadziei poprzednik Franciszka piekłu poświęca cztery zdania, niebu – jedno, zaś czyśćcowi aż trzy obszerne akapity. Przy czym zauważa, że ani zwyrodnienie zasługujące na piekło, ani czystość gotowa na niebo „nie jest normalnym stanem ludzkiej egzystencji". „Jak możemy przypuszczać, u większości ludzi w najgłębszej sferze ich istoty jest obecne ostateczne wewnętrzne otwarcie na prawdę, na miłość, na Boga. Jednak w konkretnych wyborach życiowych jest ono przesłonięte przez coraz to nowe kompromisy ze złem" – pisze Benedykt XVI.

Powinniśmy zatem głównie myśleć o czyśćcu. Z teologicznego punktu widzenia ma on „zalety" piekła (nie bagatelizuje zła), unikając zarazem jego wad: nie jest wieczny.

©℗ MACIEJ MÜLLER, ARTUR SPORNIAK

REKLAMA
ANTYKWARIAT KWADRYGA
KUPI KSIĄŻKI, STARE POCZTÓWKI, MAPY, GRAFIKI.
DOJEŻDŻAMY.
TEL. 22 622 11 54

WIKIMEDIA COMMONS

Jan van Eyck, Ołtarz Gandawski, detal, 1432, katedra św. Bawona w Gandawie

Maryjny zielnik

MAGDALENA ŁANUSZKA

Kwiaty na licznych obrazach przedstawiających Matkę Bożą nie są tylko dekoracją. Przede wszystkim mają bogate symboliczne znaczenie.

THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART

Martin Schongauer, Madonna z Dzieciątkiem na ławie darniowej, druga połowa XV w.

Początek wiosny zazwyczaj zwiastują pierwsze kwiaty, których wypatrujemy głównie na łąkach i w przydomowych ogródkach, a tymczasem warto również zwrócić uwagę na kwiaty ponadczasowe, niezmiennie i niezależnie od pory roku kwitnące od stuleci w obrazach z dawnych ołtarzy. W sztuce średniowiecznej bardzo często przedstawiano właśnie kwiaty: święci stali na ukwieconych łąkach, a także trzymali w dłoniach rośliny, będące aluzją do ich czystości czy też męczeństwa. Z jednej strony kwiaty stanowiły atrakcyjny element dekoracyjny, z drugiej zaś mogły mieć symboliczne znaczenie, dopełniające treść danego przedstawienia. W sposób szczególny kwiaty wiązane były z postacią najświętszej z kobiet, czyli z Matką Bożą.

Panna w Ogrodzie

W późnośredniowiecznej sztuce niderlandzkiej i niemieckiej rozwinął się motyw ogrodu zamkniętego (łac. *hortus conclusus*): w otoczonym murem lub płotem ogrodzie ukazywano Matkę Bożą, czasem w towarzystwie świętych kobiet. Ów motyw odnosił się do fragmentu Pieśni nad Pieśniami („Ogrodem zamkniętym jesteś, siostro ma, oblubienico, ogrodem zamkniętym, źródłem zapieczętowanym"; Pnp 4, 12). Zarówno „ogród zamknięty", jak i „źródło zapieczętowane" interpretowano jako odniesienia do zamkniętego, zapieczętowanego łona Marii, która po-

THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART

Mistrz E.S., Kochankowie na ławie darniowej, druga połowa XV w.

THE YORCK PROJECT / WIKIMEDIA COMMONS

Mistrz Frankfurckiego Rajskiego Ogrodu, Ogród zamknięty, ok. 1410-20, Städel Museum we Frankfurcie nad Menem

została dziewicą mimo swego macierzyństwa. Oczywiście sama koncepcja symbolicznego ogrodu ma znacznie szersze podstawy, zakorzenione w tradycjach antycznych. Najogólniej można powiedzieć, że ogród odzwierciedlał kosmiczną harmonię, najpełniej zrealizowaną w pierwotnym ogrodzie rajskim.

Jednocześnie odwołanie do Pieśni nad Pieśniami stawiało Marię w roli biblijnej Oblubienicy – jako personifikacja Kościoła (*Ecclesia*) Maria jest bowiem nie tylko Matką, ale także Mistyczną Oblubienicą Chrystusa. Relacja Chrystusa i Kościoła, będąca relacją oblubieńców, przedstawiana była zatem w narracji właściwej dla tekstów romansowych. Również zamknięty ogród wpisuje się w taką miłosną symbolikę. Przykładowo w niezwykle popularnym XIII-wiecznym poemacie „Powieść o Róży" autor Guillaume de Lorris w odniesieniu do miłości dworskiej posłużył się właśnie koncepcją zamkniętego ogrodu przyjemności, gdzie gospodarzem jest Figlarz, a furtianką Panna Płocha. Świeckie przedstawienia ogrodu miłości, gdzie spotykają się kochankowie, stały się popularne w sztuce XV w., zwłaszcza w grafikach i dekoracjach rękopisów; tego typu wizerunki często ukazywały kochanków na tzw. ławie darniowej, czyli siedzisku przypominającym podłużną donicę (był to częsty element późnośredniowiecznych założeń ogrodowych). To rozwiązanie przeszło również do przedstawień Matki Bożej z Dzieciątkiem. Stąd grafiki i obrazy z Madonną na ławie darniowej.

Róża bez cierni

Maria mogła być także ukazana nie tyle w ogrodzie, ile w krzewie różanym lub kwiatowej altanie: w słynnym obrazie Stefana Lochnera (ok. 1440 r., Wallraf-Richartz-Museum w Kolonii) po drewnianej konstrukcji za plecami Madonny pną się róże, u dołu zaś rosną białe lilie. Zarówno róża, jak i lilia były kwiatami, które łączono z Matką Bożą – nie tylko w sztuce, ale także w średniowiecznych tekstach.

Róża to kwiat szczególny, symbolizujący miłość; dotyczy to zwłaszcza róży czerwonej, podczas gdy różę białą interpretowano jako symbol czystości. Dzika róża ma pięć płatków – z tego powodu kwiat ten mógł być też wiązany z symboliką pasyjną, ponieważ odnoszono owe płatki do pięciu ran ukrzyżowanego Chrystusa (na dłoniach, na stopach i w boku). Ponadto róża na podstawie odniesień biblijnych symbolizować może Bożą Mądrość. Jak głosi Mądrość Syracha: „Wyrosłam jak palma w Engaddi, jak krzewy róży w Jerychu" (Syr 24, 14).

W przypadku róży istotny jest nie tylko jej piękny kwiat, ale również to, że gałązka jest pełna kolców. W późnym średniowieczu popularna stała się koncepcja Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, co także mogło być wyrażone za pomocą symbolu róży. Bezgrzeszna Maria wśród grzeszników jest bowiem jak piękny kwiat wśród cierni; zdarzały się też przedstawienia Matki Bożej trzymającej różę pozbawioną kolców, co właśnie miało ją definiować jako niepokalanie poczętą, pozbawioną pierworodnego grzechu. Ponadto różę i jej kolce interpretowano jako przeciwieństwa w zestawieniu pierwszej kobiety Ewy oraz Marii, określanej jako „nowa Ewa". Przez pierwszą na ludzkość spadł grzech, przez drugą przyszło zbawienie. Oczywiście w takiej interpretacji Maria jest kwiatem róży, a Ewa – raniącym kolcem.

Goździk-gwoździk

W przedstawieniach Matki Bożej z Dzieciątkiem w dłoni Madonny może się również znaleźć lilia. XII-wieczny teolog Petrus Cantor pisał, że Marię można przyrównać do lilii, ponieważ kwiat ten słynie z piękna, rozsiewa zapachy, leczy rany i wyrasta na ziemi nieurodzajnej – a to tylko jedno z wielu takich literackich porównań. Lilia symbolizowała czystość, niewinność i dziewictwo; bardzo często lilie w dzbanie pojawiały się w scenach Zwiastowania, a także jako atrybut w rękach licznych świętych dziewic i zakonników. Zdarzały się również obrazy Matki Bożej z Dzieciątkiem i z kwiatem lilii w dłoni, co dobrze ukazuje paradoks jej dziewiczego macierzyństwa. Oto Maria w jednej ręce trzyma symbol czystości, a w drugiej – swoje dziecko. ↦

W średniowiecznej sztuce środkowoeuropejskiej często pojawiały się konwalie – niewykluczone, że traktowano je jako lokalny odpowiednik lilii. Konwalia także symbolizowała czystość, lecz również skromność i pokorę. Łacińska nazwa tego kwiatu, *lilium convallium*, usprawiedliwiała utożsamianie konwalii z lilią, a przy okazji stanowiła kolejne nawiązanie do starotestamentowej Pieśni nad Pieśniami, której drugi rozdział rozpoczyna się wersem „*Ego flos campi et lilium convallium*" („Jam narcyz polny, lilia dolin"; Pnp 2, 1).

Bardzo często przedstawienia Matki Bożej z Dzieciątkiem zawierały aluzje do przyszłej męki Zbawiciela, m.in. poprzez atrybuty trzymane przez Marię lub małego Jezusa. Tak właśnie najczęściej interpretowany jest goździk, szczególnie w wersji czerwonej, gdy jego okrągłe kwiaty mogą przypominać krople krwi. Dla pasyjnej interpretacji tego kwiatu kluczowy był też jego kształt: długa łodyżka i mała, okrągła główka sprawiają, że goździk przypomina gwóźdź, a zatem odnosić się może do narzędzi Męki Pańskiej. Jednocześnie w średniowiecznej kulturze świeckiej goździk wiązany był z miłością, płodnością, zaręczynami i zaślubinami. Wierzono, że chroni od zarazy i demonów, a także był wykorzystywany w magicznych praktykach miłosnych. Madonna z Dzieciątkiem i goździkiem mogła być zatem kolejnym nawiązaniem do oblubieńczego związku Chrystusa z Kościołem, uosobionym przez Marię.

Leczniczy dmuchawiec

Wyjątkowym dziełem jest późnogotycki obraz z Kończyc Małych na Śląsku Cieszyńskim, ponieważ zawiera on przedstawienie Madonny z Dzieciątkiem, w którym Maria wydaje się trzymać w dłoni... dmuchawiec! To bardzo rzadki atrybut, choć sam mniszek lekarski pojawiał się czasem w trawnikach pod stopami Matki Bożej ze średniowiecznych obrazów. Mniszek był w średniowieczu bardzo cenioną rośliną leczniczą, wspominaną w zielnikach i medycznych traktatach; pojawiało się nawet wprost porównanie mniszka do Marii, ze względu na skuteczność w leczeniu wielu dolegliwości. Jednocześnie warto zauważyć, że wykorzystywano go m.in. jako środek pobudzający laktację, zatem przedstawienie Marii z Dzieciątkiem i mniszkiem mogłoby mieć zbliżoną symbolikę do wizerunków Madonny Karmiącej. Swoją drogą, Madonna Karmiąca często była ukazywana w ramach wspomnianych wcześniej przedstawień Ogrodu Zamkniętego.

THE YORCK PROJECT / WIKIMEDIA COMMONS

Stefan Lochner, Madonna w altanie różanej, ok. 1440, Wallraf-Richartz-Museum w Kolonii

WIKIMEDIA COMMONS

Madonna Apokaliptyczna z kwiatem lilii, kościół Matki Bożej Różańcowej w Przydonicy, ok. 1450-60

Z drugiej strony, mniszek miał być wykorzystywany w jednej z potraw spożywanych przez Żydów w czasie Paschy – był to rodzaj sałatki o raczej gorzkim smaku. Z tego względu roślinę tę można było także odnieść do przyszłej męki Chrystusa. Zresztą w ogóle rośliny lecznicze, łagodzące ból czy przyspieszające gojenie ran, miały w sztuce średniowiecznej symbolikę pasyjną. Stąd też w trawnikach na średniowiecznych obrazach ukazujących sceny z Golgoty możemy czasem trafić na liście babki, cenione ze względu na działanie przeciwkrwotoczne.

Kwietne legendy

Symbolika, jaką nadawano kwiatom, wzmacniana była przez legendy, które narastały wokół poszczególnych roślin. Według jednego z podań bratki miały pierwotnie pięknie pachnieć, lecz przez to stawały się przyczyną niszczenia plonów, ponieważ ludzie podążając za zapachem rosnących w zbożu bratków zadeptywali uprawy. Kwiat miał bardzo smucić się z tego powodu i w końcu poprosił Boga w Trójcy Jedynego, aby pozbawił go owej kuszącej woni. Tak też się stało, a w zamian bratek, czyli fiołek trójbarwny, stał się symbolem Trójcy Świętej. Z kolei delikatne kwiatki konwalii miały powstać z łez Matki Bożej, gdy płakała stojąc pod krzyżem Chrystusa.

Warto zauważyć, że to właśnie konwalie, obok lilii, róż i orlików, w niezwykły sposób zdobią koronę na głowie Matki Bożej w słynnym Ołtarzu Gandawskim Jana van Eycka (1432 r., katedra św. Bawona w Gandawie). A ja jeszcze na koniec dodam, że konwalie to moje ulubione kwiaty, ponieważ po staropolsku konwalia zwana była „łanuszką".

© MAGDALENA ŁANUSZKA

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Oławie, w sprawie sygn. akt I Ns 610/17 toczy się postępowanie z wniosku Tamary Konstańczak o stwierdzenie nabycia spadku po Annie Niemiec, c. Pawła Niemca i Anny Just, zm. 31 stycznia 2017 r. w Krzeszowie, ostatnio stale zamieszkałej w Katowicach.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych (spadkobierców), aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Na ścieżkach nadziei

S. MARIA KRYSTYNA ROTTENBERG

Świadectwa, które przytaczam, mówią o przebaczeniu, tyle że dawno temu i daleko stąd. Czy dzisiaj pojednanie jest możliwe?

Na wstępie wspomnienie rodzinne. Mój zmarły w 2014 r. brat Adam w noc sylwestrową 1989 r. napisał: „Zło, dobro, mądrość! Jeśli Bóg mnie będzie sądził, niech spojrzy na tego chłopca, który kochał motyle, który potem na ciernistych ścieżkach matematyki, fizyki, astronomii szukał Boga. I znalazł Go! Ale nigdy nie zrozumiał, dlaczego ma bardziej czcić o. Maksymiliana Kolbego niż doktora Janusza Korczaka czy Gandhiego? Dla mnie wszyscy trzej są godni czci, są świętymi, choć Kościół uznaje tylko tego pierwszego".

Do jego wspomnień „Mój Lwów. Wspomnienia z lat 1939–1944" dodałam trzy aneksy: „Wspomnienia z Syberii. 1940–1946" Jadwigi Regner (naszej kuzynki), „Ze Zbaraża do Uchty" Kazimierza Wyłomańskiego (naszego krewnego) oraz „Jeszcze jedną historię nie rodzinną" mojej przyjaciółki Barbary Jabłońskiej z Poitiers we Francji.

Trzy świadectwa aż gorące od aktualności mówią o przebaczeniu i pojednaniu, tyle że dawno temu i daleko stąd: pierwsze znad Irtyszu (Omska i Tobolska), drugie znad Kołymy w radzieckim obozie śmierci, trzecie zaś z Galicji o ukraińskim antysemityzmie oraz polskich grupach „młodych gniewnych" w Szczecinie, tuż po wojnie, pełnych podziwu dla włoskich i niemieckich faszystów: „W górę serca – naprzód młodzi, / świt nowego jutra wschodzi, / nowa Polska w nas się rodzi, / nowa Polska żyje w nas!".

Czy pojednanie jest możliwe?

Siedmioletnia Jadzia ze swym czteroletnim braciszkiem Władziem urodzonym gdzieś w tzw. Suchej Bezwodnej, to jest w więzieniu, znalazła się (pod koniec ponadsześcioletniego zesłania dziewięcioosobowej rodziny) w Polskim Domu Dziecka Związku Patriotów Polskich w Tobolsku. Jadzia kończy swą opowieść zdaniem: „Było nam bardzo dobrze, mieliśmy choinkę, różne prezenty, uczyliśmy się w szkole po polsku i śpiewaliśmy w chórze. Uczono nas żyć i zachowywać się zgodnie z hasłem powtarzanym przez Pana Kierownika Władysława E.: »jeden za wszystkich, wszyscy za jednego«. Opuściliśmy Syberię 7 czerwca 1946 roku". Oto pierwsza lekcja solidarności dla polskich szkrabów z sierocińca w Tobolsku nad Irtyszem.

Świadectwo Kazika ze Zbaraża o polsko-ukraińskim pojednaniu w celi śmierci: „Przyszedł dzień Bożego Narodzenia. W wieczór wigilijny dostaliśmy przez okienko odrobinę cukru, garnuszek herbaty i kawałek chleba. Wtedy Perun, potężne chłopisko, chyba dwa metry wzrostu, stanął pod drzwiami i głosem, w którym czuło się wzruszenie, powiedział po ukraińsku: Bratia Poliaki, my tepier znajem szto my bratia, bo razem my sidim w tym hrobiwcy. Nyni polska wilia, majim chlib nasz nasusznyj, cukor i czaj, zrobimy z toho opłatok i podilim sia pered smiertiu".

„Tego, co nastąpiło potem, nie umiem opisać – mówi Kazik. – Rzuciliśmy się sobie w ramiona. Polacy i Ukraińcy, obdarowując się wzajemnie pocałunkiem pokoju, pojednania, przebaczenia. W tym grobowcu dwudziestu trzech mężczyzn, żywcem pogrzebanych, stojąc teraz jeden obok drugiego, modliło się słowami modlitwy Ojcze nasz (każdy po swojemu) i wołało cicho: Gdzie jesteś, Boże?".

Nie wiem, czy wszyscy uczestnicy tej Wigilii zginęli. Kazik ocalał. Wrócił do Polski z armią generała Berlinga, był do końca szefem jego ochrony osobistej. Ks. Tadeusz Fedorowicz też wrócił z żołnierzami tej armii, służąc im duchową i ludzką pomocą.

We wstępie do książki Oliviera Clémenta „Sołżenicyn na nowo odczytany" napisałam: „Porażająco głęboki jest u Sołżenicyna symbol macierzy – ojczyzny, owego terytorium, którego człowiek potrzebuje jak zwierzę. Sołżenicyn przywołuje obraz mrowiska, jego terytorium jest ścięty pień drzewa, polano rzucone do ognia. Autor widząc mrówki odsuwa go na bok. Mrówki zaczynają uciekać, ale gdy tylko ochłonęły z pierwszego przerażenia (...) jakaś siła tajemna ciągnie je do tyłu, ku porzuconej ojczyźnie; i wiele z nich wdrapuje się znowu po gorejącym pniu, rozbiegają się na wszystkie strony i giną".

Dzisiaj, kiedy przeżywamy w Polsce bolesne dramaty historii polsko-rosyjskiej, dawnej i współczesnej, może warto posłuchać jeszcze raz tego wielkiego świadka historii XX wieku, spróbować zrozumieć „rosyjski ból", miłość do macierzy – ojczyzny, poczucie wstydu z powodu zła, jakie wyrządziła innym narodom, jego przywiązanie do Rosji „głębokiej", do Cerkwi prawosławnej, która ją ukształtowała, do ojczystego lasu, tego pierwszego sanktuarium, w którym zawiesił ikonę Świętego Oblicza, nieuchwytnego, nie ręką ludzką uczynionego, danego przez Boga, który stał się człowiekiem.

W sztuce „Płomień na wietrze" Aleksander Sołżenicyn wyraża swe nieśmiałe pragnienie włożone w usta Aleksego: „Chciałbym przyczynić się do tego, by drżący płomień naszej duszy dotarł do innego świadka. (...) Najważniejsze jest, aby nie zdmuchnięto go w naszej epoce, epoce stali i atomu, w wieku kosmicznym, energetycznym, cybernetycznym. (...) A potem, w XXI wieku, niech ludzie zrobią z nim, co chcą". Aleksander Sołżenicyn zmarł w 2008 r. Jego francuski przyjaciel Olivier Clément rok później.

Wiem, że było co najmniej dwóch Sołżenicynów. Nie miejsce, by rozwijać ten wątek o jego długim, burzliwym i pełnym sprzeczności życiu. Ks. Henryk Paprocki we wstępie do książki Oliviera Clémenta przywołuje słowa Dymitra Karamazowa z powieści Fiodora Dostojewskiego „Bracia Karamazow": „Tu diabeł z Bogiem się zmaga, a polem bitwy jest serce człowiecze". Człowiek jest zawsze *simul iustus ac peccator* (sprawiedliwy i grzeszny zarazem).

W okresie wielkanocnym nie ma chyba dla nas wszystkich, szczególnie dla chrześcijan, bardziej stosownej chwili, by postawić sobie pytanie: czy potrafię uczciwie – nie na pokaz – wymienić znak pokoju z tymi, którzy są blisko, i z tymi, którzy są daleko? Szalom bliskim i dalekim. ©

S. MARIA KRYSTYNA ROTTENBERG *należy do Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, założonego w 1918 r. przez Różę Czacką i związanego z Zakładem dla Ociemniałych w Laskach.*

Pusta przestrzeń między aniołami

PIOTR SIKORA

Paschalna historia Marii Magdaleny to opowieść o każdej i każdym z nas.

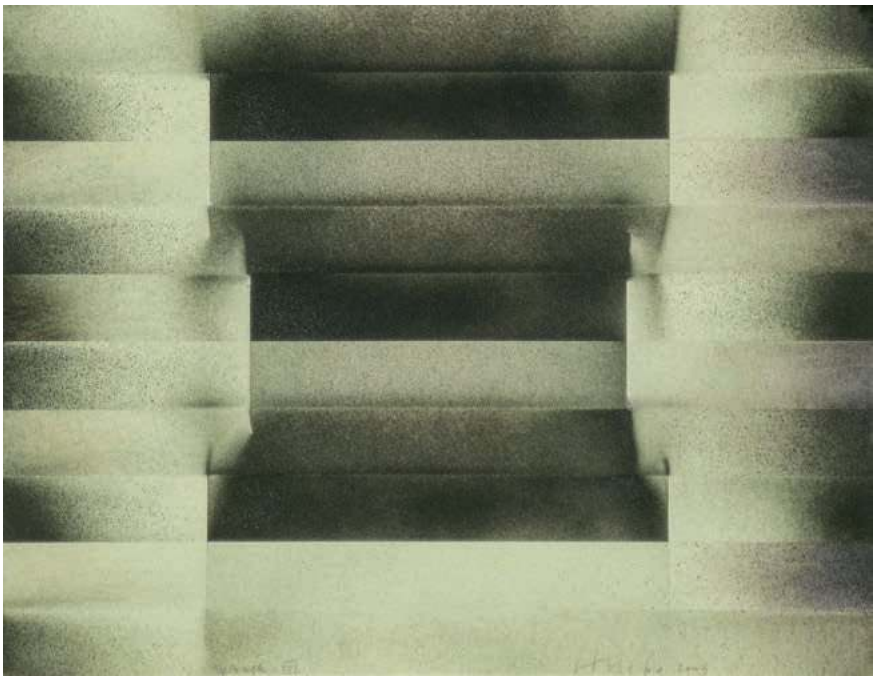

ARCHIWUM ARTYSTY

Ryszard Otręba, Rysunek XVI, 2003 r.

Na drodze zgłębiania Tajemnicy Wielkanocnej warto zapytać, kiedy Maria Magdalena zobaczyła po raz pierwszy zmartwychwstałego Jezusa. Zapewne skłonni bylibyśmy odpowiedzieć, że dojrzała Go – pod postacią ogrodnika – w poranek po szabacie po krótkiej wymianie zdań z aniołami. A jednak widziała Go już – być może nie zdając sobie z tego sprawy – chwilę wcześniej.

W historii „pierwszego dnia po szabacie" jest bowiem moment, gdy Maria Magdalena stała przed grobem płacząc. „A kiedy płakała, nachyliła się do grobu i ujrzała dwóch aniołów w bieli, siedzących tam, gdzie leżało ciało Jezusa – jednego w miejscu głowy, drugiego w miejscu nóg" (J 20, 11-12). Być może nam ten obraz nic nie przypomina, ale pierwsi czytelnicy Ewangelii, dla których podstawowym źródłem skojarzeń była Tora, od razu rozpoznawali ukryte w nim przesłanie. Wiedzieli bowiem, że autor tekstu nieustannie wykorzystuje i przekształca motywy mistycznej teologii świątynnego kultu Izraela. Nosili zaś w sobie z tęsknotą obraz Arki Przymierza, przykrytej płaską podłużną płytą – przebłagalnią – na której końcach umieszczone były dwa cheruby, postacie anielskie. Zgodnie z przekazem Księgi Wyjścia pusta przestrzeń między cherubami była najświętszą przestrzenią wszechświata – Miejscem Obecności JHWH.

Arka Przymierza zaginęła wieki przed narodzeniem Jezusa, ale ewangelista mówi jasno: teraz miejscem Obecności żywego Boga jest pusta przestrzeń między aniołami, których widzi Maria Magdalena – tam, gdzie leżało ciało Jezusa.

Zatrzymując się tylko na tym fragmencie tekstu można jego autora źle zrozumieć – jakoby chodziło mu o fizyczną przestrzeń pustego grobu. Trzeba jednak pamiętać, że dla tego ewangelisty to, co fizyczne, jest zawsze symbolem tego, co duchowe. Po drugie zaś każda z postaci jego historii to tak naprawdę jej czytelnik w jakimś momencie swojej drogi do Boga. W tym przypadku autorowi natchnionemu chodzi, po pierwsze, o pustą przestrzeń między aniołami. Chcesz znaleźć Zmartwychwstałego – pisze – szukaj dwóch cherubów i przestrzeni między nimi. Ponadto właśnie o tym „dniu po szabacie" mówi do uczniów Jezus w Ewangelii Jana, iż jest to dzień, w którym „poznacie, że Ja jestem w Ojcu moim, a wy we Mnie i Ja w was" (J 14, 20). Chcesz znaleźć Zmartwychwstałego, poznać, że jest w tobie – w sobie szukaj i aniołów, i pustej między nimi przestrzeni.

Anioł w tradycji biblijnej to posłaniec Boga, ten, który niesie od Niego przesłanie. Pochodząc ze sfery Ducha, ma duchową naturę – pojawia się raczej w duchowej sferze człowieka aniżeli w fizycznej przestrzeni. Dlatego Biblia opisuje często, że przychodzi we śnie – tylko w świadomości tego, do kogo jest posłany. To Anioła JHWH spotykają ci, którzy mogą jakoś zrozumieć i opisać swoje religijne doświadczenie. Każde przeżycie tego, co Święte, kształtowane przez konkretne symbole, w którym przeżywamy takie, a nie inne emocje, podczas którego rodzą się nam w głowie myśli z pojmowalną dla nas treścią – to właśnie obecni w nas Posłańcy Boży.

Nie są oni jednak Bogiem samym. Otaczają tylko pewną „przestrzeń" i dzięki temu, że są dla nas uchwytni, mogą ukierunkować na tę przestrzeń naszą uwagę; choć jednocześnie – jak cheruby na przebłagalni swoimi skrzydłami – zasłaniają to tajemne Miejsce. Jest to zaś przestrzeń pusta, pozbawiona wszelkich określonych form i treści. Gdy w nią wchodzimy – pobożni ludzie, dla których wiara wiąże się z silnymi przeżyciami – możemy co najwyżej mieć wrażenie braku. Jak Maria Magdalena, gdy oczekiwała widoku ciała Jezusa, a zobaczyła... nic. Lecz właśnie tam, pomiędzy określonymi religijnymi doświadczeniami – i jakby nimi przesłonięte – jest w nas miejsce bożej Obecności. Żadnych tam uczuć, żadnych wyobrażeń, żadnych aktów woli, żadnych myśli. Cisza Zmartwychwstania... ©℗

SZYMON

Hołownia: *Udaremnianie Chrystusa*

Do Kościoła dołączyłem trzy miesiące po urodzeniu, świadomie przeżyłem w nim dobrze ponad trzy dekady. To ciekawe, że nigdy, nawet po najgłupszych kazaniach, największych skandalach, nie miałem pokusy: a może to zostawić? Gdy człowiek doświadczył w tym Kościele tyle dobra od tylu ludzi, naprawdę trudno, by przekreślił to jeden wybryk.

Aż do teraz. Do momentu przeczytania tekstu znakomitego biblisty, ks. dr. Wojciecha Węgrzyniaka, biorącego w obronę swojego profesora, ks. Edwarda Stańka (tekst zamieszczono na stronie pressmania.pl). Wizja Kościoła, sposób czytania, rozumienia Ewangelii, jakie zaproponował (jako właściwy księdzu Stańkowi), odrzuciła mnie do tego stopnia, że pomyślałem: „OK, jeśli tak ma myśleć mój Kościół, nie będę w stanie się w nim odnaleźć, nie ma tu dla mnie miejsca. Emigruję".

Kto chce, sięgnie do źródła. Wydobędę z niego tylko jeden z wątków. Ksiądz Węgrzyniak pisze, że ksiądz Staniek jest jak Rzecki z „Lalki", starej daty romantyk żyjący w czasach pozytywizmu: „Staniek jakby zatrzymał się w Kościele Pierwszych Wieków, widząc w nim ideał Kościoła. I co on czyta o niewierzących i pomaganiu? Czyta, że w Nowym Testamencie chodzi przede wszystkim o głoszenie Chrystusa, a nie o pomaganie biednym. Że chrześcijanie zawsze pomagali ubogim, ale przede wszystkim swoim. Że nie można było dawać na chleb temu, kto nie chciał pracować (tak św. Paweł). I że jałmużna powinna się spocić w rękach dającego, dopóki nie pozna, komu ją daje (tak Didache)".

Dalej ks. Węgrzyniak wyjaśnia, że powszechne w egzegezie (do XVIII w.) było przekonanie, że „jeden z braci moich najmniejszych" to nie biedny i potrzebujący w ogóle, a chrześcijanin, a więc podczas Sądu Ostatecznego (opisanego w Mt 25) Jezus nie mnie pyta, czy dałem spragnionemu pić, ale pyta poganina, niewiernego, czy dał pić mi, chrześcijaninowi! I dalej: „W tej perspektywie, biorąc jeszcze pod uwagę historię Europy, ks. Staniek widzi zaproszenie muzułmanów do parafii jako sprzeczne z Ewangelią i tradycją Kościoła. A przecież nie odmawia im pomocy. Miłosierdzie możemy okazać tym wyznawcom islamu, którzy umierają z głodu lub pragnienia. Drzwi diecezji i parafii mogą być otwarte tylko dla wierzących w Jezusa".

Dalej jest o tym, że ks. Staniek „jako patrolog zna dobrze praktykę pokutną starożytnego Kościoła i nie może się zgodzić na to, że cudzołóstwo, za które pokutowało się kiedyś parę lat, dziś zaczyna nie być przeszkodą do komunii", oraz o tym, że „dla takiego człowieka komunia dla rozwodników to zamach na świętość, a świętość była dla niego zawsze ważniejsza niż człowiek. Bo jak się Boga zdewaluuje, to człowiek i tak nie zyska na wartości".

Nie ma tu miejsca, by przerzucać się z księdzem Wojciechem cytatami wykazującymi, że podane przezeń rozumienie tekstów ewangelicznych nie było w epoce jedynym dostępnym. Zasadnym pozostaje pytanie, czy da się być chrześcijaninem wieku IV w wieku XXI? Przez te kilkanaście wieków nieco się wszak o sobie i o Bożym świecie nauczyliśmy. Kościół to nie tylko organizacja dobroczynna? Jasne. Ale głoszenie Ewangelii bez nakarmienia umierającego z głodu (a wielu takich widziałem) to – moim zdaniem – bluźnierstwo. Inna rzecz: ja na przykład dziś wiem już, że słowa „kto nie chce pracować, niech też nie je" mogą nie mieć zastosowania do tych, którzy mówią, że nie chcą pracować, bo wykluczenie, w którym tkwili, albo inne traumy doprowadziły do takiego upośledzenia ich wolnej woli, że nie są w stanie wybierać właściwie. Co, wiedząc to o nich, zrobi Miłosierny Ojciec? Zagłodzi swoje tak niedomagające dziecko w celach pedagogicznych?

Wyłaniający się z tych rozważań koncept chrześcijaństwa jako ekskluzywnej grupki, o którą świat ma teraz dbać jak o relikwię: karmić, poić, pielęgnować (a jak nie – to pójdzie do piekła), być może rzeczywiście był efektywny w jakimś miejscu i w jakimś momencie (choć nie sądzę, że z takim nastawieniem apostołów udałoby mu się przebić barierę wejścia do świata cywilizacji rzymskiej), nie sprawdzi się jednak w czasach, w których jedynym testem, jaki może dziś przekonać ludzi do prawdziwości Ewangelii, jest radykalizm miłosierdzia. Głosimy „absurd" nierozerwalności małżeństwa? Pięknie! Ale łącznie z nim głosić należy – swoim życiem – „absurd" kompletnej bezinteresowności miłosierdzia, Boga, który wzywa nas do dawania się braciom (wśród których nie wyróżniamy muzułmanów, bo zdaje się, że nie mają innego niż my Ojca, no chyba że wyznajemy funkcjonalny politeizm, uznając, że ktoś wierzący inaczej dzieckiem naszego Boga nie jest), dawania się bez żadnych warunków wstępnych. Do zrezygnowania z logiki stanu posiadania, z własnego komfortu, poczucia bezpieczeństwa, do kenozy, wyniszczenia się takiego, jakiego On dokonał na krzyżu.

Czy naprawdę ktoś chce mi dziś ogłosić Chrystusa, który każe mi przed przyjęciem kogoś do domu parafialnego sprawdzać mu świadectwo chrztu? (A co, jeśli zapuka tam ochrzczony, ale *de facto* nie wierzący Jezusowi? Mam otworzyć czy wołać kościelnego z odsieczą?) Który żałuje (wszak nie ma w tej sytuacji innego wyjścia) sytuacji z Zacheuszem? Który mówi: mniej mnie ruszają łzy muzułmańskich dzieci, karm najpierw katolickie? Boga, który mówi: „Jasne, kocham cię, ale jak nie będziesz święty, to po co ty mi właściwie jesteś, syneczku, potrzebny"?

Nie umiałbym uwierzyć takiemu Bogu. Nie odejdę z Kościoła, bo na szczęście wiem, że Bóg to Bóg, a nie nasz sposób rozumienia jego Ewangelii. Zupełnie inaczej ją odczytujemy, zupełnie inaczej rozumiemy znaki czasów, mamy chyba inaczej ustawiony detektor reagujący na próby szukania ewangelicznych uzasadnień do nieewangelicznych lęków. Będę trwał przy tezie, że choć tradycja to nośnik objawienia, nie jesteśmy jednak muzealnikami Boga, lecz jego apostołami. Z pewnością ksiądz Wojciech (naprawdę bardzo przeze mnie szanowany) to zrozumie, skoro apeluje o to, byśmy w Kościele próbowali się w naszej różnorodności wysłuchać, a nie od razu lać anatemami po głowach. ©

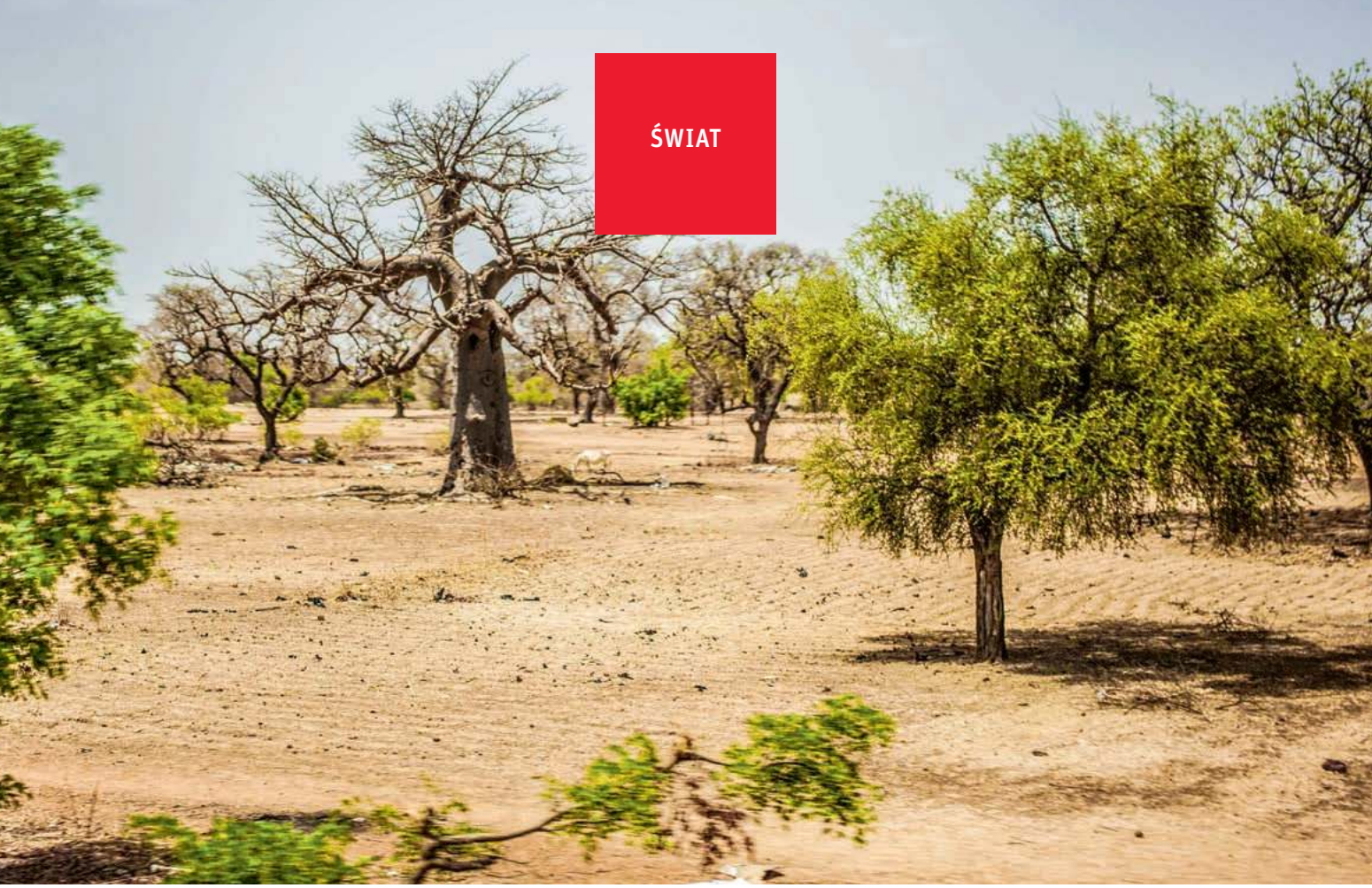

PUSTYNIA, SĄSIAD POTĘŻNY

Philippe czyta wiadomości sprzed roku. Dobrze wie, że zawsze przychodzi moment, gdy stare gazety stają się na powrót aktualne. Zatrzymamy się w jego domu.

TEKST MARCIN ŻYŁA, ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA ZE WSI BOROMO (BURKINA FASO)

PIERWSZY BAOBAB NA ŚWIECIE rósł na brzegu jeziora – tak głosi legenda. Im wyżej się piął, tym baczniej obserwował drzewa w pobliżu. Niektóre zadziwiały go piękną sylwetką, inne – kolorowymi owocami i bujną koroną liści. Któregoś dnia baobab zobaczył w wodzie własne odbicie. Przeraziło go: ujrzał gruby, pomarszczony kikut pnia (skojarzył mu się z niezgrabnymi nogami słoni, które widywał, gdy piły wodę z jeziora), krótkie gałęzie, liche listki, wyblakłe kwiaty...

Drzewo poskarżyło się więc Bogu. „Dlaczego takim mnie stworzyłeś? Czemu nie jestem smukły jak palmy i nie wydaję pięknych owoców, którymi obrastają figowce?" – baobab jęczał tak godzinami. Aż Bóg stracił cierpliwość. Zszedł na ziemię, wyrwał z niej drzewo i posadził jeszcze raz, ale odwrotnie – tak, aby już nigdy nie musiało patrzeć na swoje odbicie.

W ten sposób miało powstać najpiękniejsze drzewo Afryki, które korzeniami sięga nieba.

TAM, GDZIE MIESZKA PHILIPPE, może i lepiej, że baobaby nic nie widzą.

Boromo, sześciotysięczną wieś pośrodku suchej sawanny, zaśmiecają czarne torby foliowe, w które sprzedawcy pakują nawet pojedyncze owoce. Wiatr roznosi je po okolicy, zawiesza na gałęziach, miota nimi po ulicach, na których walają się również wyrzucane z autobusów butelki po wodzie.

Lecz Philippe, jeden z ostatnich francuskich osadników w Burkina Faso – dwudziestomilionowym państwie w Afryce Zachodniej, które do uzyskania niepodległości w 1960 r. było kolonią Francji (i początkowo nazywało się Górna Wolta) – stworzył enklawę: kilometr za wsią wraz z żoną prowadzą mały hotel. Dwa pokoje wychodzą na ogrodzone podwórze; w 40-stopniowym upale glina, z której zbudowano dom, jest tak mocna, że utrzyma i trzeci pokój, na dachu. Wspinać się tam można

po nierównych stopniach wyżłobionych w ścianie. Najprzyjemniej – boso.

Podwórze. Tu korony mangowców kładą się nisko nad długim stołem, przy którym Francuz przegląda „Le Monde Diplomatique", swój ulubiony magazyn. W prasówce na dziś: zbrodnie reżimu na Filipinach, spotkanie prezydenta Trumpa z królem Arabii Saudyjskiej i gospodarcze pomysły Marine Le Pen.

Philippe zamartwia się problemami świata z maja 2017 r. – wtedy dotarł tu ostatni numer magazynu. Ale przecież – jak każdy stoik – wie dobrze, że zawsze przychodzi moment, gdy stare gazety stają się na powrót aktualne.

Zatrzymamy się w tym domu.

„FRANCE IS IN THE AIR" (Francję czuć w powietrzu) – takie hasło widnieje na billboardach z reklamą linii lotniczych Air France, które stoją na ulicach burkińskich miast. Jednak samoloty z Paryża, co wieczór lądujące w stołecznym Wagadugu, przywożą już niewielu turystów.

Kiedy zaczęła się francuska interwencja wojskowa w sąsiednim Mali (2013 r.), zachodnia prasa uderzyła na alarm: nad regionem Sahelu – krajów położonych wzdłuż południowego skraju największej pustyni świata, Sahary – pojawiło się widmo dżihadyzmu. I choć islam w wersji lokalnej bywa w kwestii obyczajów stosunkowo liberalny, to trzy duże zamachy, dokonane w Burkina Faso w ciągu ostatnich dwóch lat przez fundamentalistów, sprawiły, że widok cudzoziemca w Boromo to teraz rzadkość.

To był (i jest nadal) cios dla tej wsi, położonej w pobliżu parku narodowego Deux Balés, znanego z populacji ponad 400 słoni – jednego z największych skupisk tych zwierząt w Afryce Zachodniej. Jeszcze niedawno park był główną atrakcją turystyczną Burkina Faso.

KAŻDEGO DNIA RANO niespełna dziesięcioletnia Medina, wnuczka Philippe'a, idzie ze starszą siostrą, by pod drzewem sprzedawać świeżo zebrane owoce mango. Na motocyklach podjeżdżają sąsiedzi. Philippe, w wytartych dżinsach i koszuli w paski, wychodzi do nich porozmawiać. Z siwymi, lekko kręconymi włosami i w okularach wygląda tak, jakby nigdy nie opuszczał swego atelier w alpejskiej części Francji.

Bo Philippe jest rzeźbiarzem. Pokazuje albumy ze zdjęciami własnych prac. Wykonane z brązu i drewna figury przedstawiają ludzi i zwierzęta – niemal zawsze we wzajemnej relacji. Oto, przykładowo, kobieta-lew albo kobieta spotykająca niedźwiedzia... Dla dodania realizmu tę drugą rzeźbę autor sfotografował na śniegu.

Również tu, w Afryce, Philippe tworzy. Medina przybiegła właśnie z zawiniętymi w skraj sukienki owocami i papierosami, które kupiła dla dziadka. Francuz przysuwa na skraj stołu stylową zapalniczkę w kształcie buta-kowbojki, którą sam wykonał. Dziewczyna droczy się o resztę. Potem przebiegnie przez podwórze, zadziornie, tak żeby wszyscy widzieli, uderzając głową o owoce drzewa. Mohammed, jej najmłodszy brat – pewnie nie ma jeszcze roku – patrzy na to wszystko wielkimi oczami i wciąż się śmieje. Wkrótce czas jedzenia. Kadi, żona Phillipe'a, przyniesie słodką kawę i pieczone warzywa.

Świat, wszystkie zmartwienia i zagrożenia zostaną na tę chwilę schowane za metalową bramą gospodarstwa, na której kiedyś wymalowano, a jakże, dwa słonie.

NA LUDZI Z PUSTYNNEJ PÓŁNOCY od dawna patrzono tu z obawą. Już w XIV w. cztery średniowieczne królestwa Mossi – grupy, która do dziś stanowi połowę ludności Burkina Faso – z sukcesem walczyły z muzułmańskimi imperiami Mali. ↦

Po lewej: baobaby w drodze z Boromo do Bobo Diaulosso. Poniżej: Kadi i Philippe pod mangowcami, Boromo. Marzec 2018 r.

↦ Potęgę Mossich złamali dopiero w drugiej połowie XIX w. Francuzi, ustanawiając na terenach Afryki Zachodniej władzę kolonialną i rujnując kraj na tyle skutecznie, że w 1960 r., kiedy go ostatecznie opuszczali, był właściwie tylko rezerwuarem taniej siły roboczej.

Maurice Yaméogo, pierwszy prezydent niepodległej Republiki Górnej Wolty, którego portrety wiszą wciąż w barach Boromo, przetrwał u władzy tylko sześć lat. Potem przez lat kilkanaście krajem wstrząsały kolejne zamachy stanu i zbiorowe strajki. Aż w sierpniu 1983 r. młody lewicujący kapitan burkińskiej armii Thomas Sankara przeprowadził ostatni – tak mu się w każdym razie wtedy wydawało – zamach stanu, po którym sam objął władzę. Rządził przez cztery lata: pamięta mu się, że zmniejszył analfabetyzm i wprowadził programy szczepień. A przede wszystkim – że nienawidził korupcji. To on zmienił nazwę kraju na Burkina Faso – w języku Mossi znaczy to Kraj Prawych Ludzi.

Ale w 1987 r. jego dawny przyjaciel i kolega z armii Blaise Compaoré stanął na czele junty, która zabiła Sankarę i przejęła rządy. Nowy władca szybko poczuł się na tyle pewnie, że zaczął mieszać się do konfliktów w niedalekich krajach – Sierra Leone, Liberii i Wybrzeżu Kości Słoniowej. Mówiono, że jest potentatem na czarnym rynku diamentów. Ponad ćwierć wieku trwało, zanim – zaledwie trzy i pół roku temu – gniew ulicy i zniecierpliwienie wojskowych dowódców zmusiły Compaorégo do ustąpienia.

Obecny prezydent Roch Marc Christian Kaboré mówi o dwóch zadaniach: walce z dżihadystami i rozwoju energii słonecznej.

DYKTATORZY W LAMPARCICH PŁASZCZACH, zlecający zabójstwa opozycjonistów. Zamachy stanu, będące dziełem zbuntowanych generałów i białych najemników. Czystki etniczne, prowadzące do ludobójstwa. Tak przez dekady wyglądały wojny w Afryce. Lecz Sahel to przykład konfliktu nowego typu – takiego, który wkrótce, w lokalnych odmianach, może rozprzestrzenić się na inne regiony świata.

Wśród sterty „Le Monde Diplomatique" Philippe'a jest numer z analizą sytuacji w Mali. A ściślej: analizą niewiedzy Zachodu na temat wojny w tym kraju. W 2012 r. dżihadyści zajęli m.in. słynne miasto Timbuktu. Tamten podbój zbiegł się w czasie z powstaniem na Bliskim Wschodzie tzw. Państwa Islamskiego – i ludziom na Zachodzie wydawało się, że ekstremiści na Sahelu to kolejna odsłona tej samej historii. Było jednak inaczej: radykalny islam wykorzystał tu lokalne spory o ziemie, np. między pasterzami Fulani a osiadłymi rolnikami.

„Przez lata – czytamy w tekście „Le Monde Diplomatique" – takie starcia miały lokalny charakter i trwały zwykle kilka dni, po których szybko liczono zabitych. Ale począwszy od roku 2010, za sprawą ugrupowań terrorystycznych, przemytu broni na Saharze i skutków zmian klimatycznych, zmieniła się ich skala: przybyło ofiar. Fulani są coraz bardziej zdeterminowani, by bronić swoich interesów. W to wszystko wkraczają lokalne milicje". Konkluzja autora jest pesymistyczna: takie spory, kiedyś lokalne, dziś już regionalne, zagrażają stabilności całej Afryki Zachodniej.

Do granicy z Mali jest z Boromo jakieś 200 kilometrów. To cztery godziny drogi. Miesiąc temu kilka terenówek z bronią dojechało aż do stolicy kraju Wagadugu, zaatakowano sztab wojskowy i ambasadę Francji.

KADI SPISUJE OPOWIEŚCI STARSZYCH z zamiarem przekazania ich dzieciom.

Żona Philippe'a urodziła się w rodzinie pieśniarzy i muzyków. Sama też nagrała płytę. Można powiedzieć – zaangażowaną. Kadi śpiewa o trzech największych utrapieniach wiejskich okolic Boromo: o zmuszaniu młodych do małżeństw, kłusownictwie oraz rabunkowej wycince drzew.

Ta ostatnia jest już w Burkina Faso problemem państwowym. W latach 1990–2010 kraj stracił grubo ponad milion hektarów lasów – niemal jedną piątą ich całej powierzchni. W tym jednym z najuboższych państw świata, tak podają niektóre źródła, jeszcze dekadę temu spalanie drewna odpowiadało za 90 proc. konsumpcji energii. Wylesianie, erozja ziemi i coraz częstsze susze osłabiają burkińską gospodarkę o 9 proc. rocznie.

Dziesięć milionów drzew, które w latach 80. XX w. rozkazał posadzić w kraju Thomas Sankara, nie zatrzymało Sahary – pustynia wciąż przesuwa się na południe. Nie powiódł się też ambitny plan „Wielkiego Zielonego Muru": kilkukilometrowej szerokości pasa lasu, który miał połączyć Senegal z Sudanem i zatrzymać piaski. Pustynia jest najpotężniejszym sąsiadem Burkina Faso. Radio BBC informuje właśnie o „pomarańczowym śniegu" w Rosji. To efekt opadu piaskowego pyłu, który prądy powietrza niosły 3 tys. kilometrów znad Sahary.

SŁONIE PRZYSZŁY O PIERWSZEJ PO POŁUDNIU. Wiadomość przyniosły dzieci. Najpierw: że słonie są nad stawem za wsią. Potem: że łamią gałęzie w jarze nad korytem wyschniętej rzeki, ocierając się o pnie szorstką skórą.

Do skarpy nad wodą dojechaliśmy na motocyklach, a potem kilometr podążaliśmy przez las śladem zwierząt. Były tam. W popołudniowym słońcu, które na tyle przedzierało się przez warstwę harmatanu (piaskowego pyłu przynoszonego tutaj przez wiatr znad Sahary), że wyraźnie podkreślało kontury lasu, ale wciąż pozostawiało rzeczywistość w pastelowych, przygaszonych kolorach – słonie wolno sunęły przez las. Było ich ponad dwadzieścia, niewiele mniej niż nas, bo po drodze ze wsi do poszukiwań zwierząt dołączały kolejne dzieci. Każda okazja jest przecież dobra, aby złamać rutynę upalnego dnia. Dwa korowody – majestatycznych słoni oraz z trudem zachowujących spokój dzieci – zbli-

Po lewej: słoniątko sierota, wychowywane w Boromo. Po prawej: Kadi, żona Philippe'a, rozciera korę kokosową. Marzec 2018 r.

żyły się do siebie na odległość trzydziestu metrów. Blisko – przecież w stadzie wędrujących słoni zawsze jest przynajmniej jeden, który nasłuchuje zagrożenia, odwracając się na wszystkie strony.

I w tym również taki był. Szedł jako ostatni. W końcu się odwrócił i zadął w naszą stronę. Dzieci wrzasnęły – ze strachu, frajdy i podniecenia zarazem – i, wraz ze starszymi, uciekły w kierunku domów.

TRZEBA WRACAĆ. Czy to w ogóle możliwe: chodzić ulicami Boromo i nie wpaść pod motocykl? Że oznaczenia przejść dla pieszych znaczą dla kierowców niewiele, to jeszcze nic. Że po zmroku niektórzy motocykliści jeżdżą bez świateł – do tego również można przywyknąć. Nawet fakt, iż pobocze oznacza po prostu kolejny pas ruchu, po którym w dodatku jeździ się w obie strony, jest ostatecznie do zapamiętania. Gorzej złapać rytm ulicy. Jak wyliczyć, czy skręcający motocykl ominie nas z przodu, czy też z tyłu? Czy promień skrętu tego, który jedzie pod prąd, aby skrócić sobie drogę do skrzyżowania, nie skrzyżuje się z naszym? Jak pokonać strach, ale nie zachować się lekkomyślnie, gdy jadący z naprzeciwka motocyklista wydaje się nas nie zauważać i wciąż tylko przyspiesza?

Pierwszy odruch – skryć się wśród ludzi. Ale tłum też się rozstępuje, w tłumie też jeżdżą motocykle. Nic złego się nie dzieje: jakieś niepisane porozumienie o tym, kto gdzie w danej milisekundzie ma się znaleźć, skutkuje tym, że ostatecznie mijamy się z krawędzią naczepy o centymetr, czujemy na spoconej koszuli powiew przejeżdżającej obok ciężarówki, a motocyklowa riksza zatrzymuje się przed nami w ostatniej chwili. Aby to działało, warunek jest jeden – porozumienie musi obowiązywać wszystkich, wszyscy szybko uczą się tych ruchów, tańca między motocyklami, wśród kurzu, spalin i głębokich betonowych rynsztoków po obu stronach drogi – i już bez bojaźni idą, jadą dalej...

Tyle wrażenie. Statystyki sprowadzają jednak na ziemię. Są w Afryce państwa, w których wypadki drogowe są drugą – po malarii – najczęstszą przyczyną śmierci. W przeliczeniu na liczbę mieszkańców, Burkina Faso zajmuje ósme miejsce na świecie w statystyce śmiertelności w wypadkach drogowych. Szansa, że z wszystkich rodzajów śmierci zginie się pod kołami pojazdu, wynosi tu 1:30. Giną piesi i motocykliści.

Może mając to wszystko na względzie – a może po prostu pragnąc do końca być dobrym gospodarzem – Philippe oszczędził na koniec swoim gościom motocyklowego rajdu z plecakami i zaoferował, że odwiezie ich na dworzec. W ostatniej chwili, już zamykały się drzwi, do auta wskoczyła Medina. Psocić można również tutaj.

SŁOŃ-STRAŻNIK POSTAŁ JESZCZE CHWILĘ, obserwując uciekającą chmarę ludzi. Potem zawrócił i spokojnym chodem, falując uszami, odszedł.

„Słoń ma tylko jeden podstawowy krok: spaceruje. Nigdy nie biega ani nie skacze, jak inne zwierzęta" – notował Richard Despard Estes, biolog, zasłużony badacz afrykańskiej fauny.

I tak słonie odeszły w kierunku kolejnego wodopoju. Gdzie pod wieczór, już bez towarzystwa wścibskich ludzi, znów pewnie przyglądały się baobabom, drzewom z korzeniami w niebie.

©℗ MARCIN ŻYŁA

CHIP SOMODEVILLA / GETTY IMAGES

Siedem tysięcy par butów – reprezentujących dzieci i nastolatki zabite z broni palnej od 2012 r. – przed Kapitolem, siedzibą parlamentu federalnego USA. Waszyngton, 13 marca 2018 r.

Pokolenie masakr

JAN SMOLEŃSKI

Zamiast wejść w tradycyjną rolę załamanych ofiar szkolnej masakry, uczniowie z Florydy zainicjowali ruch, który rozlewa się na całą Amerykę. To być może największy zryw społeczny w USA od czasu protestów przeciw wojnie w Wietnamie.

Gdy 18-letnia Emma González – uczennica liceum w Parkland na Florydzie, która przeżyła masakrę, do której doszło w tej szkole 14 lutego – stanęła w Waszyngtonie przed mikrofonem podczas March for Our Lives [w wolnym przekładzie: Marszu w obronie naszego życia – red.], wszyscy spodziewali się przemówienia równie mocnego, jak to, które wygłosiła trzy dni po tragedii.

„Politykom rozsiadającym się za pieniądze NRA [stowarzyszenia posiadaczy broni palnej – red.] w swych pozłacanych fotelach w Izbie Reprezentantów i w Senacie, którzy mówią nam, że nic nie dało się zrobić, odpowiadamy: gówno prawda!" – mówiła gniewnym głosem Emma González wtedy, 17 lutego, przed budynkiem sądu federalnego na Florydzie.

Ale teraz zaskoczyła wszystkich. „Sześć minut i dwadzieścia sekund. W niewiele ponad sześć minut siedemnaścioro naszych przyjaciół zostało nam odebranych" – zaczęła. Potem wymieniła imiona siedemnaściorga zastrzelonych kolegów i koleżanek – i zamilkła. Patrzyła przed siebie, łzy ciekły jej po policzkach.

Obecni z początku milczeli. Chwilę potem, zapewne z powodu rosnącego napięcia, zaczęli spontanicznie wznosić okrzyki. Ale poczucie dyskomfortu nadal było na tyle nieznośne, że ktoś podszedł do Emmy i objął ją. „Właśnie minęło sześć minut i dwadzieścia sekund od momentu, gdy wyszłam tutaj" – powiedziała, gdy rozległ się dźwięk komórkowego budzika.

Mobilizacja

Emma González jest dziś najszerzej znaną twarzą rodzącego się ruchu społecznego #NeverAgain (Nigdy więcej). Można kupić koszulki z jej podobizną i podpisem „*I stand with Emma*" (Popieram Emmę). Magazyn „Mother Jones" nazwał jej wystąpienie w Waszyngtonie najgłośniejszą ciszą w historii amerykańskich protestów społecznych. A sam March for Our Lives należał do największych demonstracji w historii USA: 24 marca w Waszyngtonie zgromadziło się 800 tys. ludzi.

Szacuje się, że w całym kraju w podobnych demonstracjach wzięło dotąd udział do dwóch milionów osób.

Masakra w Parkland, która była bezpośrednim powodem tych protestów, trafiłaby najpewniej na długą listę podobnych tragedii i szybko zniknęła z pierwszych stron gazet, gdyby nie postawa uczniów, którzy od początku odmówili wejścia w utarte role rozpaczających ofiar.

Obok wspomnianego już protestu przed budynkiem sądu na Florydzie – kiedy to González obiecała, że zrobi wszystko, aby Parkland była ostatnią szkolną masakrą – uczniowie spotykali się z politykami

i publicznie zabierali głos. 14 marca zorganizowali ogólnokrajowy protest polegający na wyjściu ze szkół: uczestniczyło w nim ponad milion uczniów.

Dziennik „Washington Post" już wtedy przewidywał, że protesty uczniów będą największą mobilizacją społeczną od czasu studenckich protestów przeciw wojnie w Wietnamie pół wieku temu. A kolejna demonstracja planowana jest na piątek 20 kwietnia.

Prezenterka idzie na urlop

Uczniowie nie unikają też konfrontacji. Podczas telewizyjnej debaty w CNN Cameron Kasky – również z Parkland i również lider #NeverAgain – zapytał wprost republikańskiego senatora z Florydy Marca Rubia, czy po masakrze wciąż zamierza akceptować dotacje z NRA. Nie dawał za wygraną, gdy polityk kluczył. W końcu przyparty do muru Rubio przyznał, że zamierza – tak jak od każdej innej organizacji, która popiera jego program, w tym sprzeciw wobec ograniczenia dostępu do broni (za który, jak złośliwie przypominają komentatorzy, NRA mogłaby mu wystawić piątkę z plusem).

W odpowiedzi na to uczniowie zaczęli nosić pomarańczowe metki z ceną 1,05 dolara – na tyle ich zdaniem Rubio wycenia ich życie, gdy podzieli się łączną sumę dotacji, którą otrzymał od NRA, przez liczbę wszystkich uczniów na Florydzie.

Z kolei na Twitterze doszło do starcia między prezenterką prawicowej telewizji Fox News Laurą Ingraham (określiła protesty uczniów jako „nic innego niż lewicowe, antytrumpowskie diatryby") a Davidem Hoggiem – ocalałym z Parkland i zaangażowanym w ruch #NeverAgain.

Ingraham napisała, że Hogg „nie dostał się do czterech college'ów i teraz się mazgai z tego powodu". On odpowiedział tweetem z listą 12 największych reklamodawców i wezwaniem do bojkotu stacji. Dzień później Ingraham przeprosiła „za przykrości, jakie jej tweet mógł sprawić". Hogg ich nie przyjął. „Przeprosiny tylko po to, aby utrzymać reklamodawców, to za mało. Przyjmę je tylko wtedy, jeśli pani potępi sposób, w jaki Fox News traktuje moich kolegów i mnie. Czas, by kochać bliźniego swego, a nie obrzucać dzieci błotem" – napisał.

Jest co potępiać. Gwiazda tej stacji Sean Hannity powiedział, że uczniowie z Parkland to zmanipulowane pionki. Inny prezenter Fox News, Tucker Carlson, porównał ich do maoistowskiej Czerwonej Gwardii. A to tylko dwa przykłady z wielu. Jak na razie 11 firm wycofało swoje reklamy z programu Laury Ingraham. Prezenterka wzięła tydzień urlopu (oficjalnie zaplanowanego wcześniej).

Masakra nasza codzienna

Cel uczniów jest jasny: ukrócić przemoc związaną z bronią palną. Żądają konkretów: przeznaczenia federalnych funduszy na badania nad tym problemem, zwiększenia kontroli nad producentami i sprzedawcami broni, wprowadzenia powszechnych testów dla kupujących broń i zakazu sprzedaży magazynków mogących pomieścić dużo nabojów. A także zakazu handlu bronią *de facto* wojskową, przerobioną na „sportową" – taką, jak chętnie używany przez sprawców masakr karabin AR-15.

Żądania mogą się wydać skromne i popiera je ponad połowa Amerykanów. Ale w kontekście amerykańskiego prawa są rewolucyjne. W USA obowiązuje prawny zakaz wykorzystywania funduszy federalnych do badań nad przemocą związaną z bronią, producenci i sprzedawcy nie muszą inwentaryzować asortymentu, a na pokazach broni „spluwę" – również AR-15 – można kupić bez okazywania pozwoleń. Wszystko to dzięki lobbingowi NRA i politykom, głównie z Partii Republikańskiej.

„Jesteśmy pokoleniem, dla którego szkolne masakry to codzienność. Urodziłem się kilka miesięcy po masakrze w Columbine. Mam 17 lat. I przez tych 17 lat uczniowie ginęli w szkołach od kul" – mówił Cameron Kasky.

Przemoc związana z bronią jest dla uczniów w USA doświadczeniem pokoleniowym. A masakra z Parkland była kroplą, która przelała czarę. „Najwyższy czas pojąć, że przemoc związana z bronią to nie tylko problem Chicago czy Parkland. To problem Ameryki. Codzienne strzelaniny są codziennym problemem" – mówił 19-letni Afroamerykanin z Chicago Trevon Bosley podczas March for Our Lives.

Z kolei 17-letnia Edna Chavez, ze znanego z wojen gangów południowego Los Angeles, mówiła podczas marszu, że strzelaniny były częścią jej życia: „Tak normalną, że nauczyłam się chować przed kulami, zanim nauczyłam się czytać".

Z kamieniami na karabin

Nastolatki biorą więc sprawy w swoje ręce. Przesłaniem March for Our Lives było: „Zarejestrujcie się i idźcie na wybory". Mówiła o tym nawet 11-letnia czarnoskóra Naomi Wadler z podstawówki w Wirginii, która w porywającym wystąpieniu przypomniała o kobietach z mniejszości etnicznych jako o zapomnianych ofiarach przemocy. Jej słowa, że za siedem lat ona i jej rówieśnicy też będą mieli prawo głosu, zabrzmiały jak groźba wobec niektórych polityków.

A jest ich z czego rozliczać. Od czasu słynnej masakry w Columbine w 1999 r. – w której zginęło 13 osób (nie licząc dwóch sprawców), i o której Michael Moore nakręcił dokument „Zabawy z bronią" – w dostępie do broni w USA nie zmieniło się w zasadzie nic.

Columbine była pierwszą tego rodzaju strzelaniną i nie ostatnią. W Parkland – tak jak w Columbine czy w Newtown (stan Connecticut), gdzie zginęło dwadzieścioro dzieci (w wieku sześciu-siedmiu lat) – napastnik użył broni półautomatycznej. Za każdym razem dostęp do broni miał łatwy – zabójca z Parkland kupił swoją legalnie.

Absurd tej sytuacji dobrze obrazuje pewna propozycja z Pensylwanii. W hrabstwie Schuykill uczniowie mają bronić przed napastnikiem: w tym celu lokalne władze zaopatrzyły każdą klasę w... kubeł kamieni. Uczniowie mieliby obrzucić nimi strzelca, gdyby chciał wejść do klasy.

Pomysł, jakkolwiek wyśmiany nawet na Fox News, został przedstawiony przez lokalnego kuratora oświaty w dobrej wierze, jako ostatnia deska ratunku. Co tylko pokazuje, że łatwiej sobie wyobrazić uczniów z kamieniami w rękach, stających naprzeciw człowieka z karabinem, niż prawne rozwiązania.

Nauka chowania

Pomysłu z kamieniami nikt nie podchwycił. Ale w niemal całym kraju uczniowie przechodzą tzw. *active-shooter drills* – ćwiczenia na wypadek strzelaniny. Uczą się chować pod ławkami i siedzieć cicho. Podczas ćwiczeń wyznaczani są też ochotnicy, którzy muszą zabarykadować drzwi do klasy i zasłonić okna, bo nauczyciel sam wszystkiego nie zrobi.

Beth Manias, nauczycielka w szkole podstawowej w Seattle, mówiła w rozmowie z magazynem „The Atlantic", że tłumaczy swoim uczniom, iż przygotowują się na wypadek ataku niedźwiedzia. Inni nie słodzą: udający napastnika nauczyciel szarpie za klamki, aby było realistycznie. A przypominanie uczniom, że nawet kaszlnięcie mogłoby zwabić napastnika, ma zmusić ich do wczuwania się w rolę. ↦

↦ *Active-shooter drills* przechodzą nawet trzylatki. Nauczyciele prowadzący te ćwiczenia mówią, że odbijają się one na psychice uczniów: podnoszą poczucie zagrożenia i tworzą przekonanie, że każdy kolega może jutro ich zastrzelić.

Nie są łatwe także dla nauczycieli. Oni, według protokołu, po zaryglowaniu drzwi nie mogą ich już otworzyć, nawet jeśli jakieś dziecko błagałoby, by je wpuścić. I nie jest to teoria. Obeznany z procedurą zabójca z Parkland włączył alarm przeciwpożarowy: zamiast kryć się pod ławkami, uczniowie zaczęli wybiegać na korytarze, a on strzelał. W efekcie nauczyciele musieli decydować, czy wpuszczać biegających po korytarzach uczniów do sal.

Biznes wyczuwa zmianę

Uczniowie mówią, że szkoły coraz bardziej przypominają więzienia. Wykrywacze metalu, zbrojni strażnicy i rozbudowany monitoring to norma. W Parkland po masakrze obowiązkowe stały się przezroczyste plecaki. Ale każdy kolejny taki pomysł, każdy kolejny *shooter drill*, przypominają tylko uczniom o bezczynności polityków.

Tę pokoleniową zmianę szybko zwietrzył biznes, który przez wiele lat był w sojuszu z amerykańską prawicą. Teraz ten sojusz zaczyna się kruszyć. Przekonała się o tym boleśnie Laura Ingraham, której przyszłość jako gwiazdy telewizyjnej stoi pod znakiem zapytania. Ponieważ uszczypliwości wobec Hogga nie były w jej przypadku precedensem, trudno podejrzewać, że reklamodawcy nagle zaczęli okazywać skrupuły. Raczej dokonali kalkulacji i zdecydowali, że – z biznesowego punktu widzenia – kontynuowanie współpracy im się nie opłaca.

Zresztą nie tylko oni. Wiele firm – w tym banki, sklepy, wypożyczalnie aut i linie lotnicze – wycofało swoje programy zniżkowe dla członków NRA. Nie zrobili tego po wcześniejszej masakrze w Newtown czy w Las Vegas (gdy zabójca, strzelający z okna hotelu do publiczności na koncercie country, zastrzelił aż 58 osób i ranił 850), lecz teraz. Po tym, jak uczniowie z Parkland nazwali swego przeciwnika po imieniu: NRA i wspierani przez tę organizację politycy.

Zmianę wyczuwa też amerykańska prawica, czego dowodem są personalne ataki na uczniów z Parkland. Jedna z bardziej oderwanych od rzeczywistości teorii spiskowych mówi, że González, Hogg, Kasky i inni to opłacani aktorzy. Konserwatywny komentator Steven Crowder porównał Hogga do członków Hitlerjugend.

Z kolei González okrzyknięto komunistką (to przez przypinkę z flagą Kuby, skąd pochodzi jej ojciec). Sztab republikańskiego kandydata do Kongresu Steve'a Kinga stwierdził, że to dowód na jej hipokryzję: ojciec uciekł z komunistycznej dyktatury, a ona, tak jak Castro, chce odbierać broń. W internecie można też znaleźć fotomontaż przedstawiający Emmę drącą kopię konstytucji USA (na oryginalnym zdjęciu drze tarczę ze strzelnicy).

A to tylko czubek góry lodowej.

Wyborcy idą po was

Tymczasem NRA nie pozostaje bierna. Organizacja kilkukrotnie zwiększyła wydatki na reklamy w internecie. Rozpowszechnia też filmy, w których przekonuje, że gdyby zgodnie z jej zaleceniami nauczyciele byli uzbrojeni, to do masakry w Parkland nigdy by nie doszło.

Wszystkie te reakcje nie powinny dziwić, bo prognozy dotyczące listopadowych wyborów uzupełniających do Kongresu nie wyglądają dla prawicy dobrze. Prezydent Trump jest niepopularny. Sądy wyrzuciły kilka map okręgów wyborczych do kosza stwierdzając, że tzw. *gerrymandering* (zmienianie granic okręgów tak, by zapewnić sukces jednego kandydata – manipulacja, dzięki której Republikanie w wielu miejscach utrzymywali się przy władzy) był zbyt oczywisty, i nakazując zmiany wyrównujące szanse.

Ponadto kandydaci popierani przez Partię Demokratyczną wygrywają w okręgach, gdzie mało kto się tego spodziewał – ostatnio, ku ogólnemu zaskoczeniu, zdobyli fotel sędziego Sądu Najwyższego w bardzo konserwatywnym Wisconsin. Wyborcze jaskółki sugerują, że polityczne trzęsienie ziemi możliwe jest nawet w tradycyjnie republikańskim Teksasie.

Szacuje się, że tegoroczni maturzyści w USA to aż 3,6 miliona nowych głosujących. Większość z nich uważa kwestię dostępu do broni za istotną. Ryzyko utraty kontroli nad obiema izbami Kongresu jest realne. Sojusznikiem Republikanów w takiej sytuacji byłaby niska frekwencja i mobilizacja wiernych wyborców, ale ruch #NeverAgain może temu zapobiec.

„Albo jesteście z nami, albo uważajcie – mówił podczas March for Our Lives Cameron Kasky. – Wyborcy idą po was".

© JAN SMOLEŃSKI

USA: Protesty nauczycieli

DEMONSTRACJE UCZNIÓW to nie jedyna mobilizacja społeczna w USA. Po ignorowanych przez władze pikietach, w Oklahomie i Kentucky w pierwszy dzień kwietnia strajk zaczęli nauczyciele. W Oklahomie żądają podwyżek i zwiększenia wydatków na edukację. W Kentucky oprotestowują zmiany w emeryturach. Także nauczyciele z Arizony grożą strajkiem.

Wszyscy oni mają powody do niezadowolenia. Wielu nauczycieli w USA musi uciekać się do szukania dodatkowych zajęć, by związać koniec z końcem. Nie bez znaczenia jest fakt, że strajki odbywają się w stanach rządzonych przez Republikanów. Polityka cięć wydatków budżetowych mocno uderzyła w edukację.

W Oklahomie, gdzie sytuacja jest wyjątkowo zła, do strajku dołączyli uczniowie. Oni też mają powody: klasy są przepełnione, niektóre szkoły nie mają pieniędzy na ogrzewanie czy remonty. Pomoce szkolne, które powinna zapewniać szkoła, nauczyciele i uczniowie często muszą opłacać sami. Co prawda pod koniec marca gubernator Oklahomy Mary Fallin podpisała ustawę podnoszącą pensje, ale nauczyciele nie zrezygnowali ze strajku, bo zignorowano ich żądanie wyższych wydatków na edukację.

Nauczyciele w Oklahomie, Kentucky i Arizonie poszli za przykładem pracowników oświaty z Wirginii Zachodniej. Po dziewięciodniowym strajku wywalczyli oni pięcioprocentową podwyżkę. Ich strajk był nielegalny, bez autoryzacji władz związków zawodowych, ale skuteczny: o ile w prywatnej firmie protestujących łatwiej zastąpić łamistrajkami, o tyle zastąpienie kilkudziesięciu tysięcy nauczycieli w całym stanie jest niemożliwe.

Na podobny efekt liczą nauczyciele w innych stanach. I na to, że obecna mobilizacja przełoży się na frekwencję wyborczą podczas listopadowych wyborów uzupełniających do Kongresu. Republikanie mają więc kolejny powód do zmartwień.

© JS

MAREK RABIJ

Mostafa Yassim (w białej czapce) z córką Reshmą w obozie dla Rohingów. Wieś Shamlapur, marzec 2018 r.

Braterstwo się skończyło

MAREK RABIJ Z BANGLADESZU

We wrześniu ubiegłego roku mieszkańcy Shamlapur pierwsi podali pomocną dłoń uciekającym z Birmy Rohingom. Dziś ostrzegają, że współpoczucie dla uchodźców kończy się im wraz z ryżem.

Na obiad będzie dal. Shakira Bhegum przepłukała już ryż na gęstym sicie, żeby po ugotowaniu nie skleił się na papkę. Teraz na dnie dużego rondla rozgrzewa olej, w którym podsmaży zgniecione w moździerzu nasiona kuminu i kolendry. Doda czosnek, cebulę, chilli i kilka świeżych liści curry. Doprawi kurkumą, wrzuci soczewicę. Po chwili wszystko podleje wodą. Pod koniec gotowania do wywaru powinno trafić jeszcze kilka pomidorów. No właśnie.

– Jeszcze wczoraj tam rosły – wzrok Shakiry, siedzącej w kucki przy palenisku przed domem, wędruje w stronę rachitycznego ogródka, gdzie po bambusowym płotku pną się pomidorowe krzewy. – Za rękę nie złapałam, ale domyślam się, kto je zerwał. Dzieciaki Rohinga. Szwendają się wszędzie bez kontroli.

Z sąsiedniego domu, który tylną ścianą przywarł do piaszczystego podwórka Shakiry, również dolatuje intensywna woń przypraw smażonych w oleju. Tu przy palenisku czuwa 21-letnia Azida Bibi. Walczy z sennością, ośmiomiesięcznemu synkowi wyrzynają się zęby.

– Jak zaczął płakać po północy, to już nie zmrużyłam oka, bałam się, że pobudzi wszystkich dookoła – podczas rozmowy Azida nie spuszcza z oczu masali, mieszanki przypraw skwierczącej na dnie rondla. – Starzy mieszkańcy Shamlapur jakby szukali teraz pretekstu do awantury. A jak już do niej dojdzie, to twierdzą, że jesteśmy winni my, Rohingowie – mówi ściszonym głosem.

– Znowu jesteśmy ciężarem – zza pleców żony włącza się do dyskusji Monzo Rahamman, który przed chwilą odsypiał poranny połów ryb. – Kiedy uciekaliśmy z Birmy, miałem nadzieję, że już nikt mi nigdzie nie powie, że nie jestem u siebie.

Kolejka do posiłku

Skoro już mowa o domu, Monzo zaprasza na posiłek. Czym chata bogata, czyli na ryż, który Rohingowie dostają od armii Bangladeszu opiekującej się obozem.

W Shamlapur żyje się łatwiej niż w Kutupalong czy innych dużych skupiskach Rohingów. W pobliżu jest całkiem rybna rzeczka, która dwa kilometry dalej wpada do Zatoki Bengalskiej. Nad ranem Monzo Rahamman złowił kilkanaście drobnych ryb. Ościstych, ale smacznych. Na plaży można schwytać też kraby. Żaden z nich przysmak, ale zawsze mięso. Są nawet jaja żółwi morskich, lecz ich zbierać nie wolno. Wojsko ostrzega, że każdy, kogo ↦

↦ złapie nocą na plaży, zgnije w bangladeskim więzieniu.

Na klepisku ląduje więc syntetyczna mata w biało-niebieskie barwy UNICEF-u. Azida stawia na niej miskę z ryżem, a obok rondel z usmażonymi rybkami, pływającymi w rzadkim, ale aromatycznym żółtawym sosie. Tyle musi wystarczyć na dwa posiłki dla pięcioosobowej rodziny – bo resztki będą na kolację.

W większości domów Rohingów pierwsze jedzą teraz dzieci. Następni posilają się mężczyźni, którzy muszą mieć siły do pracy. Ostatni w kolejce – kobiety i starsi – muszą się zadowolić tym, co zostanie.

Oczywiście – nie tak powinien wyglądać rodzinny, uświęcony tradycją posiłek. Ale na emigracji tradycja cierpi nie mniej niż standard życia. Trudno się ją kultywuje na cudzej ziemi, pod tymczasowym dachem, skleconym z patyków i śmieci.

Kilka zwyczajów przy stole nie uległo jednak zmianie. Nadal jada się rękami, ściślej – prawą ręką (bo na lewą czas przyjdzie później, gdy organizm poradzi sobie z posiłkiem). Każdego, kto na zaproszenie praktykującego muzułmanina trafił pod jego dach, nadal traktuje się tu jak domownika. Nie zaproponować gościowi posiłku, choćby symbolicznego, to *haram*, czyn zakazany przez Koran i tradycję islamskiej wspólnoty.

– *Bismillah* – mówi więc Azida, stawiając przed każdym blaszany talerz. – W imię Boże.

Zjawy o pustych oczach

Droga do wsi Shamlapur biegnie malowniczo wzdłuż Long Beach, najdłuższej piaszczystej plaży świata – przynajmniej według autorów folderów turystycznych, rozdawanych w okolicznych hotelach i pensjonatach. Położonego niedawno asfaltu nie zdążyły popstrzyć wszędobylskie w tym kraju dziury, z oddalonego niecałe 50 km miasta Cox Bazaar podróżuje się więc tak komfortowo i szybko, że łatwo można zapomnieć, iż jest się w Bangladeszu.

Tutejsza komunikacja to darwinizm w czystej formie. Kodeksem drogowym nikt nie zawraca sobie głowy, wychodząc z założenia, że jeśli w każdej sytuacji każdy pojazd zachowuje się jak uprzywilejowany, to pierwszeństwo należy się właścicielowi największego auta.

Nic dziwnego, że zamiast znaków z ograniczeniem prędkości drogę co kilka kilometrów przecinają „leżący policjanci", którzy zwiastują na powierzchni jezdni bliskość kolejnego pogranicznego posterunku policji. Ostatnia budka z nieprzytomnymi od upału funkcjonariuszami stoi tuż przed mostem, którym droga przechodzi nad rzeczką wpadającą do morza kilkaset metrów dalej.

Około 6 km stąd jest już granica. Ze szczytu mostku na drugim planie widać przy dobrej pogodzie wzgórza po birmańskiej stronie.

Pierwszy plan w całości wypełnia Shamlapur, z plątaniną wąskich piaszczystych alejek, odchodzących od głównej drogi, z rozpadającymi się domkami, jeszcze biedniejszymi chlewami i kurnikami, między którymi z rzadka rosną gaiki palm arekowych. Ogrodów czy przydomowych poletek – jak na lekarstwo.

Mostafa Yassim chętnie pokaże, gdzie niedawno było jego pole: niecałe pół hektara, które od 27 lat obsadzał ryżem. Każdy zbiór dawał mu około półtorej tony ziarna. Dostatecznie dużo, by wyżywić siebie i rodzinę, a za pieniądze ze sprzedaży nadwyżki wyposażyć obejście w narzędzia i drobiazgi.

Teraz zamiast ryżu pole Mostafy porasta kilkadziesiąt szałasów, w których mieszkają Rohingowie. Wśród nich – Azida i Monzo. W całej miejscowości, liczącej jeszcze rok temu niecałe 8 tys. mieszkańców, jesienią 2017 r. schroniło się ok. 40 tys. Rohingów uciekających przed prześladowaniami w Birmie.

Mostafa: – Wracaliśmy z połowu na morzu i już z łódki zauważyliśmy, że we wsi dzieje się coś dziwnego. Tego dnia lało jak z cebra, a w miejscu, gdzie cumujemy, zazwyczaj pustym, kłębili się jacyś ludzie. Na moście też tłum. Kiedy wysiedliśmy na brzeg, odebrało mi mowę. W gęstej ulewie ku naszej wsi szli ludzie, z każdej strony. W pierwszej chwili aż się wystraszyłem, bo wyglądali jak deszczowe zjawy. Niektórzy z tobołkami, inni niosący na plecach bliskich. Wszyscy wyczerpani. Najgorsze były ich oczy. Takie same, puste i wytrzeszczone z przerażenia, widziałem jako dzieciak u ludzi rozstrzelanych w egzekucjach.

Sprawiedliwość na własną rękę

Pod koniec sierpnia 2017 r. wojsko birmańskie zaatakowało wioski Rohingów – w operacji, którą władze Birmy określiły jako akcję przeciw partyzantom Armii Wyzwolenia Arakanu (ARSA).

Mostafa Yassim mówi z przekąsem, że ARSA musiała być najliczniejszą partyzantką świata, skoro jej niedobitki, przedarłszy się do Bangladeszu, nadal liczyły setki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci.

Zaskoczona bangladeska armia kierowała przybyszów na północ, w stronę istniejącego już obozu dla Rohingów w Kutupalong, gdzie osiedlono ocalałych z poprzednich pogromów.

Tym razem fala uciekinierów była o wiele większa.

– Jak szeroka może być ta droga? Osiem stóp? – Mostafa podnosi z pobocza patyk i przeciąga nim w poprzek jezdni niczym batutą. – We wrześniu tłum był po horyzont. Kilka lakhów jak nic – lakh to jednostka, która w Indiach i Bangladeszu oznacza sto tysięcy.

– Dosłownie tyle – przekonuje mężczyzna – bo ludzie nie mieścili się na asfalcie, szli poboczem, nawet rowami. Jak poszła plotka, że nasze wojsko zamknie drogę na północ i wszystkich, którzy nie przeszli jeszcze przez punkt kontrolny przy moście, cofnie za granicę, ludzie zaczęli się tratować. Z tydzień płynęła tędy taka rzeka ludzi. To było straszne. Zagubione dzieci, matki szukające rodzin. Koło mojego domu zostawili na chwilę osłabionego staruszka. Jak się zorientowaliśmy, że nie żyje, jego rodzina już się ulotniła.

W Shamlapur nikt nie pamięta, kto wpadł na pomysł, aby pozwolić Rohingom osiedlić się we wsi. Nikt też nie pamięta, aby tamtej jesieni ktoś był temu przeciwny. Np. Mostafa pomagał Rohingom zbierać drewno do budowy szałasów na jego polu, pożyczył narzędzia. Koran nakazuje przecież dzielić się z biedniejszym, a czy jest ktoś biedniejszy od ludzi, których wyrzeka się ich własna ojczyzna?

– Dla nas było oczywiste, że musimy im pomóc – podkreśla Mostafa. – Oni rozumieli, że muszą nam płacić, bo ziemia, którą im oddaliśmy, przestała nas utrzymywać. Początkowo się dogadywaliśmy

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

i od każdego domu dostawaliśmy co miesiąc po 500 taka (ok. 20 zł). Ale w grudniu do wsi przyjechało wojsko i oznajmiło Rohingom, że nie mamy prawa brać od nich ani grosza. Oczywiście przestali płacić. Ale nikt nie wyniósł się do Kutupalong, gdzie obozowanie jest bezpłatne. Mówią, że tu im lepiej.

Mostafa milknie, bo obok przechodzi grupka Rohingek. Odprowadza je niechętnym spojrzeniem.

– No co mam powiedzieć? Braterstwo się skończyło. Nie zdziwię się, że jak w sezonie deszczowym naszym zacznie brakować jedzenia przez tych pasożytów, to niektórzy poszukają sprawiedliwości na własną rękę.

Znów jesteśmy złodziejami

Monzo Rahamman wyciera dłoń po ostatnim kęsie ryżu z rybą, siada na drewnianym podeście służącym za łóżko i ostrożnie przesuwa prawą nogę. Od września nie chodzi, bo prawa stopa, strzaskana przez zbłąkaną kulę, nie utrzymuje ciężaru ciała. Na szczęście nie skończył trzydziestki, porusza się więc całkiem sprawnie, podskakując na jednej nodze. Oczywiście do ciężkich prac nikt go nie weźmie. Ale do chwytania ryb w sieci w pobliskiej rzece się nadaje. W wodzie ciało waży mniej i stopa się na niego – jak mawia Monzo – nie obraża.

– Za to coraz częściej mamy zatargi z miejscowymi – mówi, głaszcząc dłonią blizny w okolicy prawej kostki. – Dzieciaki walą w nas z brzegu kamieniami, gdy idziemy z siecią korytem rzeki. Bandy dorosłych przeganiają nas daleko poza wieś, w górę strumienia, bo ponoć kradniemy im ryby. Do wsi chodzę już tylko po ryż, gdy armia rozdaje jedzenie. Stare kobiety na sam widok Rohinga potrafią się drzeć na pół wsi, że przyszedł złodziej. Bo oni wiedzą, że w Birmie wołali na nas „złodzieje". Nie wiem tylko, czy powtarzają to teraz, żeby nam dokuczyć, czy sami zaczęli w to wierzyć.

Oczywiście, że ten spór nie jest wart 500 taka miesięcznie. Szkopuł w tym, że Rohingów – jak zapewnia Azida, żona Monzo – nikt nie pytał, czy są w stanie tyle płacić.

Azida: – Miejscowi mówią nam, że 500 taka to tylko dwa dni pracy, ale przecież wiedzą, że nam nie wolno pracować poza obozem. A w obozie chętnych do prac porządkowych czy budowlanych jest tylu, że mężczyźni pracują zwykle tylko cztery-pięć dni w miesiącu. Żeby zapłacić ten przeklęty czynsz, musieliśmy czasem po kilkanaście dni jeść sam ryż. A dla nich to był czysty zysk. Dziesięć szałasów to co miesiąc 5 tys. taka!

Mieszkańcy Shamlapur czują się oszukani. Obozowiska dla Rohingów na ich polach miały być rozwiązaniem tymczasowym. Tymczasem uchodźcy się zadomowili. **A władze nie mają dla nich sensownej alternatywy.**

Druga strona też ma swoje rachunki. Sąsiadka Azidy, Shakira Bhegum, swoje straty spowodowane obozowaniem Rohingów w jej ogrodzie szacuje początkowo na 10 tys. taka miesięcznie. Po chwili sama koryguje kwotę na około 4 tys. taka. Ziemniaki, pomidory, bakłażany, chilli i czosnek: wcześniej nie musiała ich kupować, rosły w ogrodzie. Teraz dwie trzecie jego powierzchni zajmuje sześć szałasów Rohingów, a resztki plonów zrywają z krzaków nieznani sprawcy.

Shakira zapewnia, że próbowała dogadać się z nowymi sąsiadami. – Ale oni na wszystko mają jedno wyjaśnienie: jesteśmy prześladowani, wygnano nas z domów za wierność Prorokowi. Pytam się, czy Koran każe im srać w moim ogrodzie i kraść pomidory?

Mezalians polityczny

Lista wzajemnych pretensji wydłuża się z każdym tygodniem.

Ktoś ze wsi widział, jak Rohingowie okradali przy drodze nieprzytomne ofiary wypadku.

Ktoś z obozu nakrył miejscowych, jak nocą cięli sieci rybackie suszące się nad rzeką.

We wsi ktoś okradł domy rolników, przebywających w polu. Kto? W Shamlapur za dnia tylko Rohingowie nie mają nic do roboty.

W obozie gruchnęła plotka, żeby uważać na nastoletnie córki, bo po Kutupalong grasują nocami szajki gwałcicieli złożone ze zdemoralizowanych gówniarzy z tzw. dobrych domów z Cox Bazaar.

Azida i Monzo – podobnie jak ich bangladescy sąsiedzi, Mostafa i Shakira – zgadzają się, że większość z tego nie ma nic wspólnego z rzeczywistością i odzwierciedla najwyżej skalę wzajemnego braku zaufania. Niby kradną, ale jakoś nikt nie został okradziony. Ponoć gwałcą, ale – chwała Najwyższemu – żadnej kobiety we wsi ani w obozie w ten sposób nie skrzywdzono. Nowych sieci też nikt ostatnio nie kupował.

Jednak Mostafa jest przekonany, że problem wykracza poza codzienne spory sąsiedzkie i sprawy finansowe. On i reszta mieszkańców Shamlapur czują się po prostu oszukani.

Obozowiska dla Rohingów na ich polach i w ich ogrodach miały być rozwiązaniem tymczasowym, a nie docelowym. Tymczasem uchodźcy zadomowili się we wsi. Coraz częściej twierdzą, że lepiej trafić nie mogli. A władze nie mają dla nich sensownej alternatywy.

Azida: – Nie chcę wracać do Birmy, nawet gdy ONZ zapewni nam ochronę. Ten kraj nie jest już mój, chciał mnie zabić. Ale nie dam się też przenieść do wielkiego obozu. To są umieralnie, a nie miejsca, gdzie można wychowywać dzieci.

Władze Bangladeszu na razie próbują przynajmniej nie dopuścić, by konflikt miejscowych z przyjezdnymi wyrwał się spod kontroli. Od początku tego roku najbiedniejsi mieszkańcy Shamlapur dostają od armii tyle samo ryżu co uchodźcy. Całą wieś włączono też w system bezpłatnej opieki medycznej, którą Bangladesz zapewnia – wraz z organizacjami pozarządowymi – we wszystkich obozach.

Jednocześnie na terenach sąsiadujących ze skupiskami Rohingów wprowadzono zakaz zakładania rodzin mieszanych z uchodźcami, pod surową karą aż siedmiu lat więzienia. Władze najwidoczniej obawiają się tego samego, co starzy mieszkańcy Shamlapur. Zdecydowanie różnią się za to w doborze środków.

Tym razem do swojego domu zaprasza Mostafa. To niedaleko, z drugiej strony drogi, a chce kogoś przedstawić: – To moja najmłodsza córka Reshma, ma 17 lat. Śliczna jest. Mogę sobie wyobrazić, że niebawem rozkocha w sobie jakiegoś przystojnego uchodźcę. Jestem prosty człowiek i nie miałbym nic przeciw temu, o ile będę pewny, że chłopaka stąd nie wyrzucą ani nie zakażą mu pracy. A jeśli władza nie chce, żeby do tego doszło, niech po prostu zabierze stąd wszystkich Rohingów.

©℗ MAREK RABIJ

TO NIE FACEBOOK, TO MY

Cambridge Analytica to tylko ekstremalny przypadek mechanizmu, któremu podlegamy na co dzień. Toczymy zaciekłe boje odcięci od innych punktów widzenia i niepomni, że wyboru tematu i grona dyskutantów dokonano za nas.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Tym razem Elon Musk trafił na czołówki mediów nie dlatego, że wysłał w kosmos elektryczny kabriolet na pokładzie rakiety wielorazowego użytku. 23 marca miliarder-wizjoner polecił skasować polubione przez 2,6 mln ludzi profile facebookowe swoich firm SpaceX i Tesla.

O fakcie, że jego firmy takowe profile posiadają, miał się jakoby dowiedzieć dopiero co. Uświadomili go użytkownicy Twittera na fali akcji pod hasłem #deletefacebook. Twitter zaroił się od zrzutów ekranu z potwierdzeniem usunięcia facebookowego konta czy – jak w przypadku piosenkarki Cher – emocjonalnych wpisów o pożegnaniu z tym największym serwisem społecznościowym świata, gdzie przeciętny użytkownik spędza 50 minut dziennie. Jak podaje „New York Times", przez zaledwie pierwsze dwie godziny, odkąd 21 marca hasztag akcji pojawił się na Twitterze, użyto go 10 tysięcy razy. Relacjonujące sprawę media publikowały poradniki usuwania konta.

1 Ów wylew goryczy na Facebooka to rzecz jasna efekt skandalu, który ujawniły „New York Times" i „Guardian". Firma konsultingowa Cambridge Analytica wykorzystała dane nawet 87 mln użytkowników portalu, żeby zbudować niebywale trafne profile psychometryczne, przewidujące ich preferencje i potencjalne zachowania. Działała na rzecz sztabu wyborczego Donalda Trumpa i dzięki takiej wiedzy mogła adresować kampanijne treści z precyzją sięgającą poszczególnego odbiorcy. Innymi słowy: przyrządzając kiełbasę wyborczą według osobistych, najskrytszych gustów i upodobań.

Portal już od dłuższego czasu mierzył się z lawiną zarzutów, że rozpowszechniana za jego pomocą dezinformacja wpłynęła na wynik wyborów w USA. Choć z początku jego twórca i prezes Mark Zuckerberg uznał takie zarzuty za „całkiem szalony pomysł", już wkrótce zaczął przepraszać. W lutym ubiegłego roku wyraził zmartwienie rolą, jaką jego dzieło spełniło w rozsiewaniu fake newsów, wzmacnianiu sensacjonizmu i społecznej polaryzacji. Na fali przesłuchań przed Senatem USA portal ujawnił, że 3 tys. wykupionych przez Rosjan reklam wyborczych obejrzało 10 mln ludzi, a treści ze 120 fałszywych kont, które powiązano z Rosjanami, dotarły do 126 mln Amerykanów, co – jak zauważył „Guardian" – odpowiada połowie uprawnionych do głosowania.

Ale żeby przelać czarę goryczy, trzeba było dopiero wiadomości, że lajki, komentarze, zdjęcia i lokalizacje użytkowników Facebooka pozwalają z laboratoryjną trafnością określić ich preferencje polityczne i seksualne, iloraz inteligencji, poziom ugodowości czy fascynacje (bronią, czarną magią bądź grillowaniem), rozpracować osobowość, pobudzić skryte lęki, manipulować emocjami i osądami, a nawet sprawić, żeby zagłosowali na Trumpa.

Inna sprawa, że #deletefacebook przypomina pozywanie do sądu sieci fast foodów, w której jadało się codziennie, za swoją otyłość i chorobę wieńcową. I chwalenie się tym przy burgerze u konkurencji.

2 Akcję spopularyzował 21 marca Brian Acton, twórca WhatsAppa. Ten komunikator miał zapewniać bezpieczną wymianę treści, bo za sprawą szyfrowania nie miał do nich dostępu nawet właściciel aplikacji. W 2014 r. Acton za 19 mld dolarów sprzedał WhatsAppa Facebookowi, a następnie zainwestował 50 mld dolarów w nowy komunikator Signal: wiarygodniejszy, bo nie tylko szyfrowany, ale też rozwijany społecznościowo, a nie przez korporację. Jakby paradoksów było mało, przedsiębiorca swoje wezwanie „Skasuj Facebooka. Już czas" ogłosił na Twitterze.

Dwa dni wcześniej do akcji wezwał John Biggs, programista i publicysta TechCrunch, jednego z najważniejszych branżowych portali. „Facebook nas wykorzystuje. Aktywnie rozdaje informacje na nasz temat – napisał. – W imię łączności zamyka nas w komorze pogłosowej. Eksponuje podziały i niszczy praw-

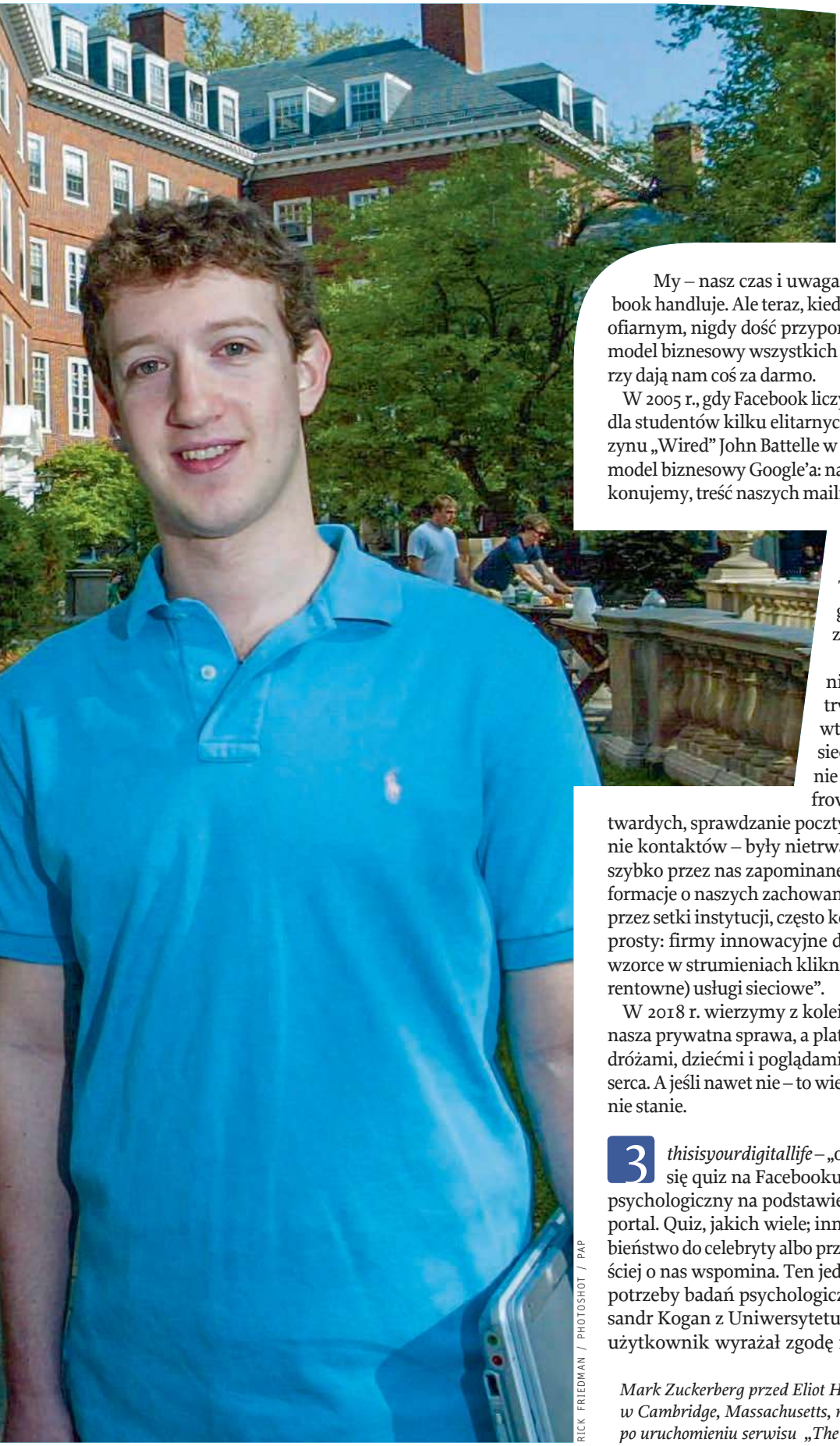

RICK FRIEDMAN / PHOTOSHOT / PAP

dziwe powody, dla których zaczęliśmy w ogóle korzystać z mediów społecznościowych: łączność międzyludzką. Jest nowotworem".

Biggs przypomniał tym samym starą prawdę, że dla Facebooka nie jesteśmy klientami. Są nimi reklamodawcy i wszyscy skłonni zapłacić za możliwość dotarcia do nas.

My – nasz czas i uwaga – jesteśmy towarem, którym Facebook handluje. Ale teraz, kiedy portal staje się wygodnym kozłem ofiarnym, nigdy dość przypominania, że na tym przecież polega model biznesowy wszystkich internetowych usługodawców, którzy dają nam coś za darmo.

W 2005 r., gdy Facebook liczył sobie rok i był lokalnym serwisem dla studentów kilku elitarnych szkół w USA, były redaktor magazynu „Wired" John Battelle w swojej książce pt. „Szukaj" opisywał model biznesowy Google'a: nasze zapytania i wybory, których dokonujemy, treść naszych maili czy numery w książce adresowej są dlań bezcennym strumieniem wiedzy. Bo celem firmy jest sprawienie, żeby przeszukać dało się cały świat. Tyle że to my sami, w zamian za wygodne usługi, udostępniamy się i pozwalamy się wyszukiwać.

„Nadal wierzymy, że poczta elektroniczna to całkowicie prywatna i nietrwała forma komunikacji – pisał już wtedy Battelle. – Przed pojawieniem się sieci WWW mogliśmy dość bezpiecznie zakładać, że nasze przekazywane cyfrowo nawyki – szperanie na dyskach twardych, sprawdzanie poczty elektronicznej czy też wyszukiwanie kontaktów – były nietrwałe, znane tylko nam, a na dodatek szybko przez nas zapominane. Dzisiaj natomiast szczegółowe informacje o naszych zachowaniach są zapisywane i zachowywane przez setki instytucji, często komercyjnych. Powód tej zmiany jest prosty: firmy innowacyjne dowiedziały się, jak wykorzystując wzorce w strumieniach kliknięć, udostępniać świetne (a zarazem rentowne) usługi sieciowe".

W 2018 r. wierzymy z kolei, że rozmowy w komunikatorze to nasza prywatna sprawa, a platformę do chwalenia się kotami, podróżami, dziećmi i poglądami ktoś dał nam za darmo i z dobrego serca. A jeśli nawet nie – to wierzymy, że przecież nic złego się nam nie stanie.

3 *thisisyourdigitallife* – „oto twoje cyfrowe życie": tak nazywał się quiz na Facebooku, który pozwalał sporządzić portret psychologiczny na podstawie wiedzy o nas zgromadzonej przez portal. Quiz, jakich wiele; inne pozwalają sprawdzić swoje podobieństwo do celebryty albo przekonać się, kto ze znajomych najczęściej o nas wspomina. Ten jednak opisany był jako stworzony na potrzeby badań psychologicznych, a zaprojektował go dr Aleksandr Kogan z Uniwersytetu Cambridge. Biorący w nim udział użytkownik wyrażał zgodę na udostępnienie swoich danych: ↦

Mark Zuckerberg przed Eliot House na Uniwersytecie Harvarda w Cambridge, Massachusetts, maj 2004 r., trzy miesiące po uruchomieniu serwisu „The Facebook".

↦ zrobiło tak 270 tys. ludzi. Tyle że quiz korzystał też z danych o znajomych użytkownika. W efekcie niewinna aplikacja zebrała szczegółowe informacje o 87 mln ludzi.

Danymi zajął się algorytm tworzący profile psychometryczne. Media przywołują w tym miejscu nazwisko polskiego naukowca, dr. Michała Kosińskiego, psychologa z Uniwersytetu Stanforda. To on odkrył, jak skutecznie da się zastąpić odpowiedzi w tradycyjnej ankiecie psychologicznej danymi z Facebooka. Jak mówił w wywiadzie dla TVN24: „komputerowi wystarczy pokazać 10 lajków danego człowieka, aby był dokładniejszy niż jego znajomi z pracy. 100 lajków wystarczy, aby był dokładniejszy niż jego rodzina. A przy około 240 lajkach komputer będzie dokładniejszy od jego partnera życiowego. Taką ilość lajków niektórzy produkują w ciągu tygodnia".

Następnie podkreślał: „Problem z metodami, które opracowałem, jest taki, że intymne cechy psychologiczne danego człowieka i jego dane demograficzne mogą być odkrywane bez jego świadomości. Oznacza to, że np. prywatna firma czy rząd mogłaby odkryć nasze poglądy polityczne, religijne, orientację seksualną, osobowość, inteligencję itd., analizując cyfrowe dane, które są dostępne np. na Twitterze czy Facebooku". Dodał też, że są kraje, gdzie np. odkrycie informacji o tym, że ktoś jest homoseksualistą czy ateistą może się skończyć więzieniem lub wyrokiem śmierci.

Wyniki badań naukowych Kosińskiego były publicznie dostępne. Jak przyznał w rozmowie z TVN24, z ofertą współpracy zwróciła się doń brytyjska grupa Strategic Communication Laboratories (SCL) – kierowana przez Alexandra Niksa i zajmująca się doradztwem politycznym. Odrzucił ją, bo bardziej interesowała go nauka, a takie wykorzystanie wyników uznał za wątpliwe etycznie.

Nawiasem mówiąc, jak wskazuje „Guardian", badaniami Kosińskiego interesowała się też amerykańska agencja rządowa DARPA, zajmująca się technologiami wojskowymi.

Tymczasem Nix z ofertą współpracy zwrócił się do doktora Kogana. To on, według dziennikarskiego śledztwa, udostępnił pozyskane od Facebooka dane oraz algorytm wykorzystujący badania Kosińskiego niesławnej firmie Cambridge Analytica. Założonej przez Niksa pospołu ze Steve'em Bannonem – strategiem Trumpa oraz szefem skrajnie prawicowego i głoszącego teorie spiskowe serwisu Breitbart News – a także inwestorem Robertem Mercerem, sponsorem m.in. kampanii Trumpa oraz brexitowej kampanii Nigela Farage'a.

Proceder ujawnił dziennikarzom były pracownik tej firmy i współautor całego przedsięwzięcia, Christopher Wylie. „Wykorzystaliśmy Facebooka do pozyskania milionów profili ludzi i zbudowaliśmy modele, żeby wykorzystując to, co o nich wiemy, utrafić w ich wewnętrzne demony" – powiedział. A co na to Facebook? W komunikacie z 16 marca ogłosił, że zawiesił dostępy Cambridge Analytica i SCL Group. I że to Kogan, który otrzymał dostęp do danych zgodnie z ówczesnymi zasadami Facebooka, „postąpił niezgodnie z regułami", udostępniając dane Wyliemu i Cambridge Analytica. Facebook twierdzi, że w 2015 r. wezwał do zniszczenia wyłudzonych danych. I przyznaje, że fakt, iż wcale się tak nie stało, odkrył kilka dni temu.

Ach, i jeszcze jedno: otóż według Facebooka to wcale nie był wyciek, bo użytkownicy wyrażali zgodę na udostępnienie aplikacji Kogana, a ona pozyskiwała informacje o ich znajomych zgodnie z ich ustawieniami prywatności.

Problem zresztą nie w tym, czy Facebook między 2015 a 2018 rokiem podjął jakiekolwiek kroki, żeby wyegzekwować usunięcie danych – co się mu teraz wytyka. Rzecz w tym, że on sam korzysta z podobnego profilowania na co dzień. Jego słynny algorytm dba, żeby każdemu podsunąć takie treści, które go wciągną, zaangażują, podekscytują, utrzymają na portalu jak najdłużej i skłonią do interakcji. I żeby do każdego trafiła najodpowiedniejsza dlań reklama: precyzyjne profilowanie użytkowników to przecież podstawa oferty reklamowej Facebooka.

Jest jeszcze kwestia bardziej podstawowa: przed gromadzeniem tak olbrzymiej i detalicznej wiedzy na nasz temat – nie tylko przez Facebooka przecież – nie mieliśmy przez lata większych oporów. Pokochaliśmy te usługi i trudno wyobrazić sobie życie bez wielu z nich. Nie chodzi tylko o przejrzenie historii swoich podróży na Google Maps czy o zdjęcie sprzed lat przypomniane w „Twoich wspomnieniach na Facebooku". W zalewie informacji algorytmy dokonują za nas preselekcji wyników wyszukiwania albo ofert w sklepach internetowych na podstawie tego, co o nas wiedzą. Podpowiadają najszybszą trasę z pracy do domu, a sterowane głosowo usługi nowej generacji mogą nam nawet wybrać film na wieczór albo zaopatrzyć lodówkę.

Tyle że my oddaliśmy tym algorytmom coś znacznie cenniejszego: nasze życie publiczne.

4

„Nie korzystam z tego gówna" – powiedział o mediach społecznościowych były wiceprezes Facebooka ds. pozyskiwania użytkowników Chamath Palihapitiya. I wyraził „straszliwe poczucie winy" za współudział w budowie „narzędzi rozszarpujących tkankę społeczną". „Krótkotrwałe, nakręcane dopaminą sprzężenia zwrotne, które stworzyliśmy, niszczą to, jak działa społeczeństwo. Nie ma debaty społecznej, kooperacji, jest dezinformacja i brak zaufania" – mówił z końcem listopada na debacie w Stanford Business School. Słowa padły niedługo po tym, jak współzałożyciel Facebooka Sean Parker stwierdził, że portal wykorzystuje słabe punkty ludzkiej psychiki.

Zwycięstwo Facebooka nad Google'em polega na tym, że ten pierwszy dokonał czegoś, co było od zawsze ambicją drugiego: stał się wyszukiwarką społecznościową. Tak jak podsuwa się nam oferty czy linki, tak Facebook podsuwa nam ludzi. I szerzej – aspekty życia społecznego: relacje międzyludzkie, tematy, debaty, pola sporu. Równocześnie to poprzez Facebooka sięgamy po treści z prasy i portali – czytamy to, co pojawi się na naszych wallach, czyli to, co udostępnią nasi znajomi lub administratorzy facebookowych stron, które polubiliśmy – a co następnie algorytm Facebooka uzna za zgodne z naszym psychometrycznym profilem.

Innymi słowy: powierzyliśmy algorytmom preselekcję informacji, na podstawie których budujemy sobie obraz świata. A treści te dostosowane są do naszych upodobań. Zjawisku temu od dawna z uwagą przyglądają się socjologowie. Aktywista internetowy Eli Pariser nazwał je „*filter bubble*" – bańką filtrującą. Zostajemy w ten sposób zamknięci w samopotwierdzającej się wizji świata, odcięci od innych punktów widzenia, pozbawieni szans na krytyczne spojrzenie z dystansu i konfrontację. To, czego na jakiś temat dowiadują się zwolennicy PiS, jest kompletnie różne od tego, co czytają zwolennicy opozycji.

Równocześnie algorytm dobiera nam treści udostępnione przez znajomych, a więc zwykle ludzi o podobnych jak my za-

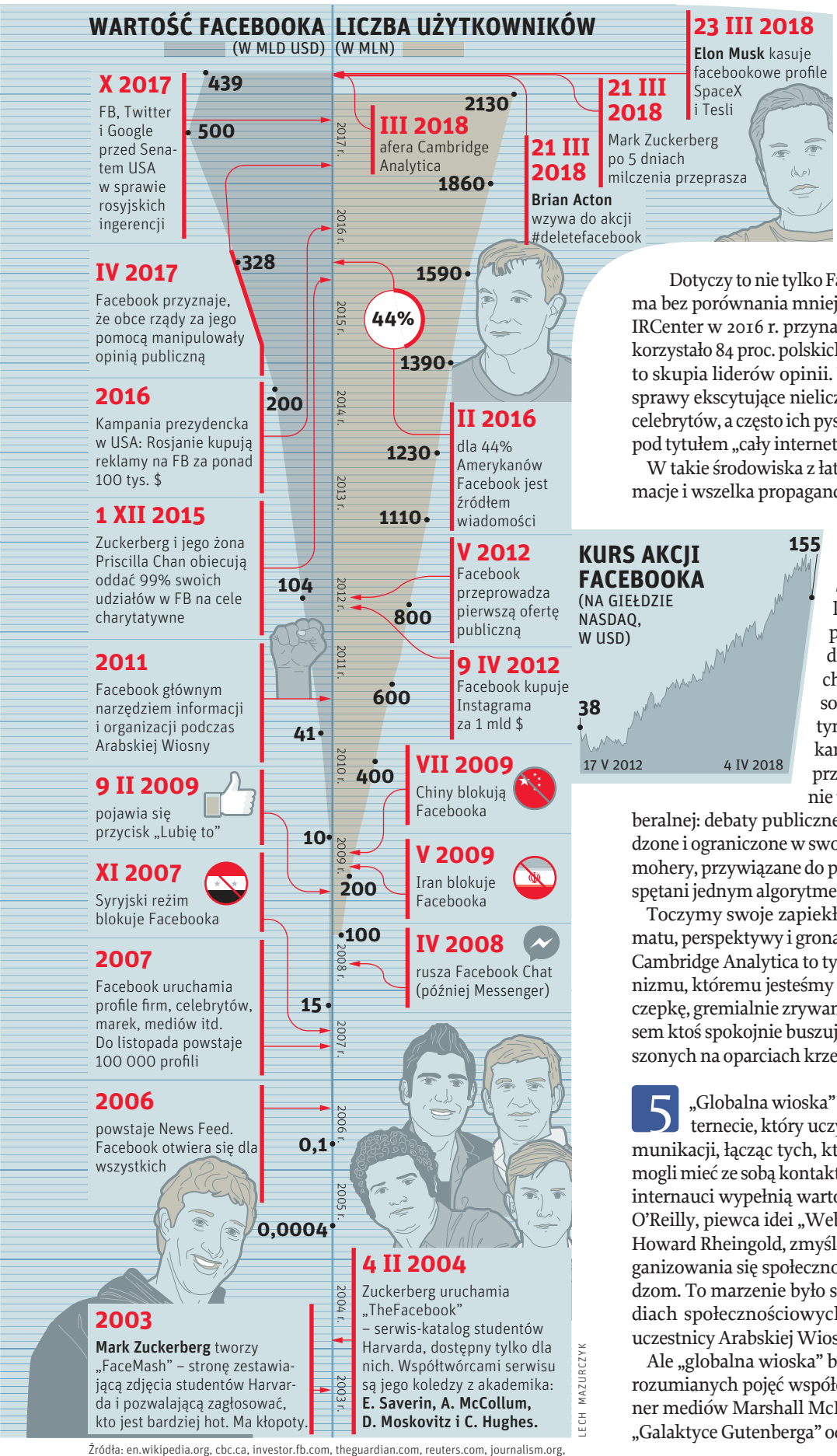

Źródła: en.wikipedia.org, cbc.ca, investor.fb.com, theguardian.com, reuters.com, journalism.org, fortune.com, bloomberg.com, nytimes.com, money.cnn.com

interesowaniach i poglądach. To w ich gronie wymieniamy się opiniami, wyrażamy poglądy i uzyskujemy odpowiedzi. Słuchamy własnego echa w komorze pogłosowej (*echo chamber*), biorąc je za potwierdzenie swojej wizji świata. „Podobają nam się te piosenki, które już słyszeliśmy”.

Dotyczy to nie tylko Facebooka. Np. Twitter, choć w Polsce ma bez porównania mniej użytkowników niż on (wg raportu IRCenter w 2016 r. przynajmniej raz w tygodniu z Facebooka korzystało 84 proc. polskich internautów, z Twittera – 14 proc.), to skupia liderów opinii. W efekcie podgrzane algorytmem sprawy ekscytujące nieliczną grupę polityków, publicystów i celebrytów, a często ich pyskówki, trafiają na czołówki mediów pod tytułem „cały internet zawrzał”.

W takie środowiska z łatwością wślizgują się fałszywe informacje i wszelka propaganda: bo skoro podał coś nasz znajomy i komentują to znajomi, ufamy temu bez zbędnych pytań. Np. o to, skąd pochodzi informacja albo *cui bono*. Tu nie chodzi o rosyjskie reklamy wyborcze. Jak mówił Palihapitiya: „To problem globalny. Erodują fundamenty tego, jak ludzie zachowują się względem siebie i między sobą”. Pomiędzy coraz bardziej odciętymi od siebie i spolaryzowanymi bańkami wzajemnej adoracji rozziewają się przepaści uniemożliwiające prowadzenie tego, co jest podstawą demokracji liberalnej: debaty publicznej. My zaś wolimy myśleć, że uprzedzone i ograniczone w swojej plemiennej wizji świata są jakieś mohery, przywiązane do propagandy jednego radia – a nie my, spętani jednym algorytmem.

Toczymy swoje zapiekłe boje niepomni, że preselekcji tematu, perspektywy i grona dyskutantów już za nas dokonano. Cambridge Analytica to tylko ekstremalny przypadek mechanizmu, któremu jesteśmy poddani na co dzień. Złowiwszy zaczepkę, gremialnie zrywamy się od stołu do bijatyki, a tymczasem ktoś spokojnie buszuje nam w kieszeniach kurtek odwieszonych na oparciach krzeseł.

5 „Globalna wioska” – za tą frazą kryło się marzenie o internecie, który uczyni ze świata otwartą przestrzeń komunikacji, łącząc tych, których dotąd dzieliło zbyt wiele, by mogli mieć ze sobą kontakt. I który kreatywni i współpracujący internauci wypełnią wartościowymi treściami, jak głosił Tim O'Reilly, piewca idei „Web 2.0”. I za sprawą którego, jak pisał Howard Rheingold, zmyślne i wyposażone w narzędzia do organizowania się społeczności dadzą odpór autorytarnym władzom. To marzenie było silne jeszcze w 2011 r., gdy to w mediach społecznościowych organizowali się i informowali uczestnicy Arabskiej Wiosny.

Ale „globalna wioska” była jednym z bodaj najbardziej nierozumianych pojęć współczesności. Teoretyk kultury i wizjoner mediów Marshall McLuhan użył go w wydanej w 1962 r. „Galaktyce Gutenberga” odnośnie do radia i telewizji. Według ↦

niego to alfabet fonetyczny umożliwił przejście od plemienności, porządku kultury opartej na słuchu, totalnej współzależności względem zbiorowości, gdzie słowo jest sprawcze jak zaklęcie, do cywilizacji, gdzie za sprawą pisma możliwy jest „rozłam między okiem a uchem", a więc myślenie abstrakcyjne, indywidualna refleksja, powstanie warunków dla wywodu, debaty, dyskursu. Radio i telewizja, twierdził, to powrót do „słuchowego świata jednoczesnych wydarzeń i wszechobejmującej świadomości", do „totalnej współzależności na skalę globalną". Pisał: „dziś człowiecza rodzina żyje w »globalnej wiosce«. Żyjemy w jednej, ścieśnionej przestrzeni, w której rozbrzmiewają plemienne bębny", a stanem podstawowym takiego świata był, jego zdaniem, lęk.

To nie brzmi jak komunikacyjna idylla czy utopia. Wzmianka o lęku każe sobie przypomnieć słowa Christophera Wyliego o „trafianiu w nasze wewnętrzne demony". Wygląda też na to, że internet, choć jest „tekstowy", do porządku piśmienności nas nie przywraca. Jak zauważał Neil Postman w „Zabawić się na śmierć" z 1985 r., tekst poddany „logice telegrafu", pokawałkowany i rozpowszechniany jak towar, traci kontekst, nie służy logicznemu wywodowi, lecz chaosowi. McLuhan powiedziałby pewnie, że w sieci korzystamy z oka jak z ucha, a tekst dobiega zewsząd, jak krzyk. Przekonani o własnym indywidualizmie, lądujemy w plemiennym świecie baniek filtrujących.

Gdy dr Kosiński mówi w TVN24, że „ta technologia, jak każda, ma swoje złe i dobre strony. Od człowieka zależy, jak zostanie wykorzystana", prezentuje ten sam idealizm, który kazał wierzyć, że internet, największe komunikacyjne osiągnięcie ludzkości, dzięki całkowitej swobodzie komunikowania będzie przez racjonalnych użytkowników wykorzystywany do tworzenia i pomnażania wartościowych treści.

Być może obserwujemy właśnie kolejny upadek liberalnego marzenia.

6

#regulatefacebook – taki hasztag opublikował na Twitterze komik Jim Carrey, pytając jeszcze „Z kim dzielisz swoje życie?". Po Cambridge Analytica również w polskich mediach zaczęto głośno mówić o objęciu mediów społecznościowych regulacjami. W USA przebąkiwano o tym już w ubiegłym roku, przy okazji przesłuchań Facebooka, Twittera i Google'a w Senacie. Bo czy media społecznościowe to media?

„Nie jesteśmy gazetą. Jesteśmy platformą rozpowszechniania informacji" – bronił się prawnik Google'a Richard Salgado słowami brzmiącymi jak... definicja mediów. A media w demokracji objęte są regulacjami zobowiązującymi do weryfikacji informacji, sprawdzania źródła, rzetelności. Media, jakkolwiek dziś je oceniamy, odpowiadają za swoje treści – z jednej strony jest to obwarowane prawem, z drugiej – etosem i wiarygodnością w oczach odbiorców.

Nic podobnego nie wiąże mediów społecznościowych, chociaż według raportu Pew Research z 2016 r. dla 62 proc. Amerykanów źródłem wiadomości są media społecznościowe. W Polsce czerpie z nich informacje od 21 proc. (Attention Marketing Research, 2017 r.) do 58 proc. badanych (Reuters Institute for the Study of Journalism, 2016 r.). Według tego drugiego badania do publikowanych w sieci wiadomości z profesjonalnych mediów Polacy docierają głównie poprzez wyszukiwarkę (62 proc.) lub portal społecznościowy (38 proc.), a nie wchodząc bezpośrednio na stronę wydawcy. Czyli miażdżąca większość z nas poddaje się preselekcji algorytmów.

Przedstawiciele portalu odżegnują się od roli selekcjonera informacji. „Nie nam decydować, co jest fałszywe, a co nie" – powiedział w wywiadzie dla „Wired" wiceprezes Facebooka Adam Mosseri. Ale sam Mark Zuckerberg w liście do użytkowników z początku zeszłego roku zdawał się przyznawać, że polityki odmowy odpowiedzialności prowadzić się już nie da.

Równocześnie Facebook zmienił ostatnio swój algorytm tak, żeby promował treści i dyskusje od krewnych i znajomych kosztem treści firm, marek – i mediów. W poście z 12 stycznia Zuckerberg tłumaczył, że chce przywrócić portalowi funkcję miejsca dla „znaczących interakcji społecznych". W efekcie będzie mniej mediów profesjonalnych, a więcej okazji do wsłuchiwania się w echo komory pogłosowej. O tym, co jest „znaczącą interakcją", zdecyduje, rzecz jasna, algorytm.

7

Mark Zuckerberg przeprasza. Wykupił całą stronę w kilku amerykańskich i brytyjskich dziennikach, żeby o skandalu wokół Cambridge Analytica napisać: „To było złamanie zaufania i żałuję, że nie zrobiliśmy wtedy więcej". Stanie teraz przed komisjami Senatu USA, być może też przed brytyjską Izbą Gmin i Parlamentem Europejskim. Facebook poprawia obsługę ustawień prywatności, drastycznie ogranicza zakres danych użytkowników udostępnianych aplikacjom, umożliwia kasowanie swoich cyfrowych śladów. Ale wspomniane zmiany w algorytmie w ocenie ekspertów służą temu, żebyśmy na Facebooku spędzali jeszcze więcej czasu, angażując się jeszcze bardziej.

#deletefacebook? Jak w „TP" 13/2018 pisał Mateusz Halawa, nasze tożsamości i style życia są na tyle splecione ze światem online, że ucieczka na cyfrową pustynię wydaje się niemożliwa. A rezygnując z Facebooka na rzecz Twittera albo innego serwisu społecznościowego, nie dotkniemy istoty problemu.

Bo koniec końców to nie algorytm jest wszystkiemu winien. Przecież to bardzo komfortowe: mieć wszystko podane na tacy, być zwolnionym z czujności, krytycyzmu, samodzielności i dociekliwości, brylować kreacją własnego wizerunku wśród podobnych sobie. Demokracji nie zagraża algorytm, lecz pycha, chciwość, nieczystość zasad, zazdrość, nieumiarkowanie, gniew i lenistwo. „Przyjrzyjcie się samym sobie – wzywał Chamath Palihapitiya. – Musicie teraz zdecydować, jaką część swojej niezależności intelektualnej jesteście gotowi oddać". Bez tego sami się pchamy w łapy rozmaitych Bannonów i Putinów.

Rezygnując z Facebooka na rzecz Twittera albo innego serwisu społecznościowego, nie dotkniemy istoty problemu. Bo koniec końców to nie algorytm jest wszystkiemu winien. **Przecież to bardzo komfortowe**: mieć wszystko podane na tacy, być zwolnionym z czujności, krytycyzmu, samodzielności i dociekliwości.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!

Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP" w ofercie POKOLENIA za 300 zł rocznie.▪

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej.

▪ Zastrzegamy sobie jednak prawo skontaktowania się z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:
Prenumeratę krajową można zamówić przez:
- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta POKOLENIA – 300 zł na rok
▪ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

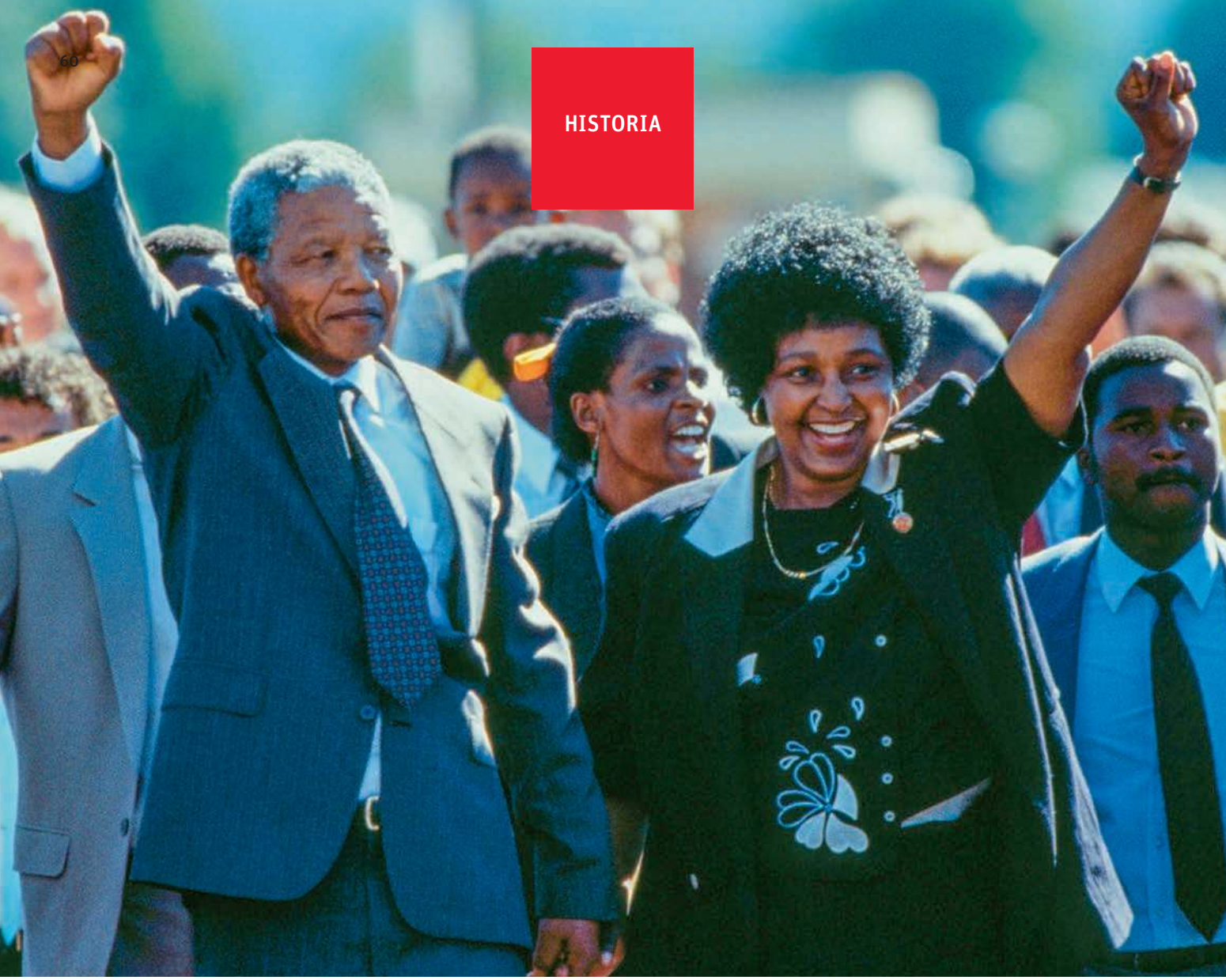

Po 26 latach spędzonych za kratami Nelson Mandela wychodzi na wolność, towarzyszy mu żona Winnie. Więzienie pod Kapsztadem, 11 lutego 1990 r.

ŻONA REWOLUCJI

Najnowsze dzieje Republiki Południowej Afryki mają podwójne oblicze. Szlachetną, dobrą twarz Nelsona Mandeli, upozowanego na świętego. I zacięte, gniewne oblicze Winnie Mandeli – jego towarzyszki, upadłego anioła.

WOJCIECH JAGIELSKI

ALLAN TANNENBAUM / POLARIS / EAST NEWS

Upiększony obraz Nelsona stworzyli do spółki wszyscy, którym zależało na powodzeniu eksperymentu, jakim było łagodne przejście od tyranii rasowych uprzedzeń do demokracji, gwarantującej równe prawa wszystkim obywatelom.

W imię Nowego Początku i pięknej przyszłości mieszkańcy RPA mieli zapomnieć o krwawej historii, krzywdzie, cierpieniu i strachu. Mieli wyrzec się zemsty, a nawet dochodzenia sprawiedliwości. Nelson Mandela swoją twarzą uosabiał marzenie o bohaterstwie i triumfie dobra nad złem, wyobrażenie tego wszystkiego, co miało się udać.

Jeśli Nelson był obrazem świętego, to Winnie – zmarła w minionym tygodniu, w wieku 82 lat – przypominała o zwykłych śmiertelnikach. Jej portret, boleśnie realistyczny, rozwiewał złudzenia – jak zwierciadło, które wyostrza wszystkie skazy. „Taką, jaka jestem, stworzyła mnie miłość moich zwolenników i nienawiść moich wrogów – powiedziała kiedyś. – Nie stworzył mnie Mandela. Ja jestem Mandelą".

Zaborcze zauroczenie

Choć dzieliła ich spora różnica wieku – on był z rocznika 1918, ona 1936 – byli do siebie tak podobni, że – wydawało się – muszą być sobie przeznaczeni. Opatrzność nie poskąpiła im urody, przywódczego daru, charyzmy.

Oboje wywodzili się z ludu Khosa, oboje w dzieciństwie stracili rodziców: Nelson – ojca, Winnie – matkę. Oboje wyjechali do Johannesburga, łaknąc wielkiego świata, ale także uciekając przed małżeństwami aranżowanymi dla nich w rodzinnych wioskach. Oboje zamieszkali w Soweto, jednym z johannesburskich przedmieść, przeznaczonych dla czarnej ludności. Najserdeczniejsza spośród nowych przyjaciółek Winnie, Adelajda, była dziewczyną Olivera Tambo – przyjaciela Nelsona i jego partnera z adwokackiej kancelarii, pierwszej czarnej kancelarii w całym Johannesburgu.

Zakochali się w sobie na zabój. Ci, którzy ich dobrze znali, opowiadali, że ich uczucie było pełne żaru, gwałtowne i zaborcze. Że więcej było w nim namiętności niż wzajemnej troski. Mandela, starszy od Winnie o prawie 20 lat, dobiegał już wtedy czterdziestki. Nie mógł oderwać oczu od tej kobiety, ani przestać o niej myśleć.

Potężnie zbudowany (ćwiczył w tamtych czasach boks i walczył w wadze ciężkiej), świetnie ubrany, szarmancki, opiekuńczy i władczy, był już znany w Soweto nie tylko jako adwokat, ale i polityk. Należał do przywódców Afrykańskiego Kongresu Narodowego – partii walczącej z ustrojem apartheidu. 22-letnia Winnie, pracująca w opiece społecznej, widziała w Mandeli nie tylko przystojnego mężczyznę, ale także idola, mistrza.

Opuszczona zbyt wcześnie

Rok po ich pierwszym spotkaniu Mandela oznajmił, że się z nią ożeni. Nie zdążył się nawet rozwieść z poprzednią żoną, z którą był związany od ponad 10 lat, i z którą miał czworo dzieci. Na ślubnym zdjęciu, czarno-białym, ubrana w koronkową sukienkę Winnie wygląda na uszczęśliwioną. Nelson, w ciemnym garniturze i z kwiatem w butonierce, śmieje się radośnie. „Byłam prostą dziewczyną ze wsi – wspominała potem Winnie. – Nic nie wiedziałam o życiu".

Pobrali się w czerwcu 1958 r., a we wrześniu Mandela znalazł się w areszcie, oskarżony o zdradę stanu za współautorstwo Karty Wolności – programu mającego być alternatywą dla apartheidu. Do aresztu trafiła również Winnie, oskarżona o udział w protestach przeciwko przepustkom, jakie biały rząd wprowadził dla czarnych. Bez nich czarni nie mogli poruszać się po kraju ani nawet jeździć do pracy do dzielnic zarezerwowanych dla białych.

W 1960 r. biały reżim postanowił przestać ceregielić się z czarnymi protestami. W Sharpeville policja karabinowym ogniem rozgromiła czarnych demonstrantów. Zginęło 69 osób, prawie 300 zostało rannych. Białe władze zakazały też działalności Kongresu i aresztowały jego przywódców.

Aby uniknąć aresztu, Nelson musiał się ukrywać, a potem potajemnie wyjechał z kraju. Kiedy wrócił, wpadł w policyjną zasadzkę i został skazany na pięć lat więzienia. Dwa lata później dostał nowy wyrok – dożywocie, oznaczający, że resztę swoich dni spędzi w niewoli, bez żadnej szansy na odwołanie, przedterminowe zwolnienie czy ułaskawienie.

Kiedy więzienny prom wiózł Mandelę na wyspę skazańców Robben, Winnie miała 28 lat, dwie córki, a przed sobą resztę życia, które miała spędzić samotnie. „Życie z nim było życiem bez niego – powiedziała kiedyś. – Opuścił mnie zbyt wcześnie".

W roli zastępczyni

Afrykański Kongres Narodowy – zakazany w RPA i pozbawiony uwięzionych przywódców – uznał (decyzją tych spośród jego działaczy, którym udało się uciec za granicę), że jedynym dla niego ratunkiem przed zapomnieniem może być Nelson Mandela, odsiadujący wyrok. Oraz jego żona Winnie, jedyny kontakt Mandeli ze światem. Odtąd na wiecach – odbywających się w stolicach zachodnich państw – kongresowi przywódcy skandowali: „Uwolnić Mandelę!". Hasło to stało się czytelniejsze i bardziej nośne niż żądanie likwidacji apartheidu.

Winnie, niepytana nawet o zdanie, została więc obsadzona w roli żony zniewolonego bohatera, najsławniejszego więźnia świata. Miała sprawić, żeby ludzie nie zapomnieli o Nelsonie. Stała się jego zastępczynią na wolności. Jej dom w Soweto stał się miejscem pielgrzymek działaczy antyrasistowskich z całego świata i azylem dla bojowników ruchu wyzwoleńczego. Zagraniczni dziennikarze jechali tysiące kilometrów tylko po to, by z nią przez chwilę porozmawiać. Poznawano ją na ulicach, zapraszano na wiece i pogrzeby. Wystarczyło, że podniosła zaciśniętą pięść i zawołała „*Amandla!*" („Władza!"), a ludzie czuli się szczęśliwi.

Biały rząd odpowiedział represjami. Winnie straciła pracę, nieustannie karano ją zakazem spotykania się z więcej niż jedną osobą naraz. Była aresztowana, śledzona, podsłuchiwana, jej dom regularnie przeszukiwała tajna policja. W 1969 r. została skazana na półtora roku więzienia – prawie cały wyrok odsiedziała w izolatce. Podczas przesłuchań była upokarzana, bita, poddawana torturom. „Dopiero tam poznałam, co to nienawiść" – powiedziała potem w telewizyjnym wywiadzie. W więzieniu zapadła na anemię, miała halucynacje, ataki paniki i paranoi, a także myśli samobójcze. Psychiatrzy uważają, że zdradzała symptomy stresu pourazowego, i że to właśnie tamte więzienne doświadczenia sprawiły, iż stała się nieufna, wszędzie widziała wrogów, szpiclów i zdrajców.

„Powinniśmy o tym pomyśleć zawczasu, ale trwała walka, nikt nie miał do tego głowy" – powiedział dziś, po śmierci Winnie, Thabo Mbeki. Wiedział, co mówi: Mbeki był jednym z kongresowych przywódców na emigracji, a po upadku apartheidu następcą Nelsona Mandeli i prezydentem RPA (w latach 1999–2008). Teraz ↦

↦ powiedział: „Dla nas była żoną Mandeli, należała do rewolucji, musiała jej służyć”.

Wygnana na pustkowia

W 1976 r. w Soweto czarna młodzież podniosła bunt przeciw białemu reżimowi. Winnie zdążyła jeszcze odwiedzić w więzieniu Nelsona i przekonać go, aby poparł rebelię, z którą jego partia nie miała nic wspólnego. To dzięki Winnie młodzi z Soweto uznali w Mandeli przywódcę, choć nie podzielali jego wiary w bezrasowe społeczeństwo i odwoływali się do afrykańskiego nacjonalizmu.

Rok później, obawiając się tak silnej pozycji Winnie na czarnych przedmieściach, białe władze skazały ją na wygnanie do zagubionego wśród pustkowia miasteczka Brandfort. Miała tam pozostać przez następnych dziesięć lat. Sama jak palec. Starsza córka wyszła już za mąż, młodszą przed udaniem się na zesłanie oddała pod opiekę przyjaciołom.

Jałowość wygnania urozmaicała sobie wyprawami do białego miasteczka i łamaniem przepisów apartheidu. Dzwoniła z budki telefonicznej zastrzeżonej tylko dla białych, robiła zakupy w sklepach tylko dla białych, drażniąc ich zamówieniami butelek najdroższego szampana. To w Brandfort zaczęły się kłopoty Winnie z alkoholem. I to podczas zesłania w Brandfort stała się naprawdę sławna, bo do miasteczka pielgrzymowali zagraniczni dygnitarze, żeby spotkać się z nią i choćby w ten sposób okazać wsparcie dla walki z apartheidem.

Płonące naszyjniki

12 maja 1984 r. władze więzienne pozwoliły, by podczas widzenia Nelson i Winnie mogli się objąć. Pierwszy raz po 22 latach rozłąki. Rok później, łamiąc zakaz opuszczania Brandfort, Winnie wróciła do Soweto, gdzie dojrzewała nowa młodzieżowa rebelia. Rozruchy, które wybuchły w 1986 r., przerodziły się w uliczną wojnę i trwały aż do upadku apartheidu w 1994 r.

Winnie wróciła do Soweto bogatsza o więzienne i zesłańcze doświadczenia, z bagażem nienawiści – oraz z przeświadczeniem, że ma prawo uważać się za przywódczynię ruchu wyzwoleńczego.

Po raz pierwszy zaszokowała świat, gdy na jednym z pogrzebów pochwaliła „płonące naszyjniki”: nasączone benzyną opony, które nastoletni radykałowie wciskali na szyję czarnym policjantom, radnym miejskim, konfidentom tajnej policji i wszystkim tym, których uznawali za kolaborantów białego reżimu.

„Niczego nie żałuję i za nic nie przepraszam – mówiła Winnie Mandela w jednym ostatnich wywiadów. – Gdybym mogła wszystko przeżyć od początku, zrobiłabym jeszcze raz to samo. Wszyściuteńko”.

Nelson usprawiedliwiał walkę zbrojną tym, że biali pozbawili czarnych wszystkich innych możliwości działania. Winnie krzyczała na wiecach, że na nienawiść trzeba odpowiadać nienawiścią: „Razem, ręka w rękę, dzięki »płonącym naszyjnikom« wyzwolimy ten kraj”.

Wygłosiła potem jeszcze wiele przemówień, ale to jedno zapamiętano na zawsze.

Fanatyzm, przepych i romanse

Młodzi, odrzucający biały reżim – ale także władzę własnych rodziców, oskarżanych o ugodowość – przejęli kontrolę nad ulicami. Soweto pogrążyło się w chaosie i przemocy, bo rywalizujące czarne milicje wzniecały bratobójcze wojny. Winnie uznała, że aby zapanować nad żywiołem, musi stanąć na czele. Szybko stała się bohaterką młodych buntowników. Godząc zwaśnione bojówki, utworzyła z nich drużynę piłkarską Mandela United Football Club. Ale jej „piłkarze” nie rozgrywali meczów, lecz stanowili gwardię przyboczną Winnie. W Soweto wzbudzali strach.

Podobnie jak strach budziła sama Winnie, która pod nieobecność Nelsona wyrosła na królową ulicznej rewolucji. Jedni ją wielbili, inni się jej bali. O „piłkarzach” Winnie mówiono, że spełnią każdy jej rozkaz i każde życzenie, oddadzą jej duszę i własne życie, ale także bez wahania odbiorą życie innym, jeśli tego od nich zażąda. Przerażali, bo opowiadano o nich, że szczególnie upodobali sobie „płonące naszyjniki” i palenie żywcem na ulicach tych, których Winnie uznała za wrogów.

Starych towarzyszy Mandeli wprawiała w zakłopotanie swoim fanatyzmem, łatwością, z jaką sięgała po przemoc, pogardą dla cierpienia i śmierci innych. Skarżyli się na nią w szyfrowanych listach do Mandeli. Ostrzegali, że przynosi wstyd i jemu, i całemu ruchowi wyzwoleńczemu. Ale publicznie bali się przeciwko niej występować. Bali się jej potęgi i młodocianych zwolenników. Inni uważali, że lepiej jej nie atakować dla dobra sprawy.

Uznali też, że nie powinni przekazywać Mandeli pogłosek o tym, że w nowym domu – przypominającym pałac – Winnie pławi się w przepychu, i że utrzymuje romanse z adwokatami, dziennikarzami, fotografami.

Mandela i tak nie dawał im wiary. Bronił Winnie nawet, gdy na początku 1989 r. wyszło na jaw, iż jej „piłkarze” uprowadzili i zamordowali kilkunastoletniego Jamesa „Stompiego” Moeketsiego („piłkarzom” zarzuca się co najmniej 18 zabójstw).

Bez przebaczenia

Rok później białe władze RPA, którym sytuacja w kraju zaczęła wymykać się spod kontroli, postanowiły uwolnić Mandelę i podjąć z nim rozmowy. Zdjęcie Nelsona i Winnie wychodzących z więzienia jest chyba, oprócz ślubnego, jedyną radosną fotografią z ich małżeństwa.

Na wolności Nelson wspierał Winnie, gdy ona stawała przed sądem, oskarżona o zabójstwo „Stompiego”. Przychodził na każdą rozprawę, a nagabującym go dziennikarzom powtarzał, że bezgranicznie ufa żonie i wierzy w każde jej słowo. Nie zmienił zdania nawet wtedy, gdy sąd uznał Winnie współwinną tego zabójstwa i skazał ją na sześć lat więzienia (złożyła apelację i wyrok więzienia zawieszono, zastępując go grzywną).

Ale ich małżeństwo nie przetrwało próby. Mandela nie przebaczył jej małżeńskich zdrad, jakich dopuszczała się, gdy siedział w więzieniu. Tym zarzutom też długo nie dawał wiary – aż do dnia, gdy sam przyłapał ją z kochankiem. Poczuł się oszukany i ośmieszony. Nazajutrz wyprowadził się z domu i przez pół roku nie odezwał się do Winnie ani słowem. Przestała dla niego istnieć. Miłosierny wobec wrogów, którzy zamknęli go w więzieniu i zabrali jedną trzecią życia, okrzyknięty wzorem wybaczenia i pojednania – nie potrafił przebaczyć kobiecie, którą kochał.

Dwa lata później, w 1994 r., Mandela został pierwszym czarnoskórym prezydentem RPA. Na uroczystości zaprzysiężenia towarzyszyła mu córka Zenani. Nie zaprosił Winnie nawet do głównego stołu

MICHELLY RALL / WIREIMAGE / GETTY IMAGES

Nelson Mandela na oficjalnych obchodach swoich 90. urodziny. Z lewej Winnie (już jako jego była żona), z prawej ówczesna żona Nelsona, Graça Machel. Pretoria, 2 sierpnia 2008 r.

na uroczystym prezydenckim obiedzie. Wprawdzie nie mógł jej pominąć przy obsadzaniu stanowisk w nowym rządzie, ale powierzył jej mało ważną posadę wiceministra sztuki, kultury, nauki i wynalazków technicznych. Zwolnił ją zresztą, korzystając z pierwszego lepszego pretekstu. A w 1996 r. oficjalnie się z nią rozwiódł.

Sprawy poszły nie tak

Na uroczystości zaprzysiężenia Nelsona na prezydenta Winnie sprawiała wrażenie upokorzonej.

Trzy lata później, podczas posiedzenia Komisji Prawdy – powołanej przez prezydenta Mandelę do rozliczenia zbrodni z czasów apartheidu – Winnie była i upokorzona, i wściekła. Oto przewodniczący komisji, anglikański arcybiskup Desmond Tutu, wezwał ją publicznie, aby wyznała winy i prosiła o przebaczenie za terror swoich „piłkarzy" w Soweto.

Na posiedzenie Komisji przyjechała białym mercedesem, w eskorcie świty i ochrony osobistej.

„Błagam cię, błagam, powiedz, że żałujesz, i że przepraszasz" – zaklinał ją arcybiskup Desmond Tutu. Tłumiąc gniew, Winnie wykrztusiła w końcu: „Sprawy potoczyły się nie tak, jak powinny. I za to jest mi przykro".

Żaden inny południowoafrykański polityk – może z wyjątkiem oskarżanego o gwałt i korupcję Jacoba Zumy (byłego już prezydenta) – nie stawał przed sądem tak często jak Winnie. Oskarżano ją o zdefraudowanie pieniędzy z partyjnej kasy. Przez całe lata utrzymywała się z pieniędzy darowanych jej przez partię i zagranicznych dobrodziejów. Nie przywiązywała znaczenia do buchalterii i – jak wielu innych przywódców Kongresu – miała kłopoty z rozdzieleniem tego, co prywatne, od tego, co publiczne.

Podczas procesu okazało się, że pieniędzy nie ukradła, lecz za wygórowaną cenę kupiła nieruchomości na partyjne potrzeby. Potem oskarżono ją o wyłudzenie pieniędzy z banku, wydano wyrok pięciu lat więzienia, ale karę zawieszono, gdy okazało się, że wyłudzone fundusze poszły na pomoc dla biedoty.

Nelson nas zawiódł

Nie uznając kompromisów ani spraw tabu, nie bała się wypowiadać własnego zdania. Brała w obronę cudzoziemców, którzy padali ofiarą pogromów w Johannesburgu, Durbanie i Kapsztadzie. Broniła ich i udzielała schronienia we własnym domu. Toczyła wojny ze wszystkimi trzema czarnoskórymi prezydentami. Ostatniego, Zumę, krytykowała za korupcję i prywatę. Kiedy w 2014 r. ubiegał się o reelekcję, partyjni towarzysze rozważali, czy nie zastąpić go właśnie Winnie Mandelą. Poprzednikowi Zumy, Thabo Mbekiemu, wytykała wyniosłość i to, że troszczy się o bogaczy, nie dbając o biedotę.

Nie oszczędzała też samego Nelsona Mandeli. „Nelson bardzo nas zawiódł – powiedziała w jednym z wywiadów. – Zawarł z białymi układ, który dał wprawdzie władzę naszym przywódcom, ale zupełnie nie poprawił losu naszych czarnych rodaków. W więzieniu zrobił się miękki. Szedł za kratki jako młody żarliwy rewolucjonista, a sami widzieliście, kim był, gdy wychodził na wolność".

Nie zgadzała się z zachwalaną przez Nelsona polityką wybaczania i pojednania. Winnie uważała, że za zbrodnię powinna być kara.

Dziś, ćwierć wieku po upadku apartheidu w RPA, coraz więcej osób uważa, że „okrągłostołowa" umowa, jaką Mandela zawarł z białymi, pozwoliła może uniknąć wojny, ale poza zamianą białego rządu na czarny w gruncie rzeczy niewiele zmieniła.

Jeszcze raz to samo

Wydawało się, że pod koniec życia pogodzili się w końcu z Nelsonem. W 2008 r. on zaprosił ją na swoje 90. urodziny, a pięć lat później ona nie odstępowała go w szpitalu, gdy umierał. Lekarz, który zajmował się Nelsonem Mandelą, twierdzi nawet, że kiedy odchodził, była przy nim tylko ona – Winnie.

Kiedy jednak otwarto testament, okazało się, że niczego nie zapisał ani Winnie, ani żadnej z ich córek. Próbowała obalić ostatnią wolę Nelsona, ale sąd odmówił jej prośbie. Mówiono, że aby postawić na swoim, każe się pochować obok Nelsona – w Qunu, jego rodzinnej wiosce.

Teraz, po jej śmierci, córki postanowiły jednak, że spocznie na cmentarzu w Sandton – obok ukochanej prawnuczki, 13-letniej Zenani, która zginęła w 2010 r. w wypadku samochodowym.

„Niczego nie żałuję i za nic nie przepraszam – powiedziała w jednym z ostatnich wywiadów. – Gdybym mogła wszystko przeżyć od początku, zrobiłabym jeszcze raz to samo. Wszyściuteńko".

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

NASZE ŻYCIE WEWNĘTRZNE

ED YONG, AUTOR KSIĄŻKI „MIKROBIOM”:

Długo baliśmy się mikroorganizmów zamieszkujących nasze ciała. Dopiero teraz zaczynamy rozumieć, że bez nich mielibyśmy poważne problemy.

TOMASZ TARGAŃSKI: Część naukowców twierdzi, że należy już mówić o antropocenie – ponieważ żyjemy w epoce zdominowanej działalnością człowieka. Dopiero zaczęliśmy oswajać się z poglądem, że zyskaliśmy niespotykany wcześniej wpływ na geologię i życie na Ziemi, a Pan pisze, że nie kontrolujemy nawet własnego ciała.

ED YONG: Faktycznie to, co dzieje się wewnątrz nas, stanowi splot niezaplanowanych decyzji i procesów podejmowanych przez zasiedlające nas bakterie, wirusy i grzyby, czyli nasz mikrobiom. Im lepiej ten świat poznawałem, tym bardziej obraz ludzi jako indywidualistów, samotnych zwycięzców ewolucyjnej sztafety, wydawał mi się nieprawdziwy. W rzeczywistości jesteśmy wielogatunkowym kolektywem, a nasz sukces to efekt partnerstwa z wieloma organizmami, którego mechanizmy dopiero poznajemy.

Jakie były początki tego partnerstwa?

Zaczęło się na długo przed pojawieniem się człowieka. Życie na Ziemi liczy około 4 mld lat i przez zdecydowaną większość tego czasu jego historia zdominowana była przez mikroorganizmy. To one napędzały obieg węgla, azotu czy siarki, przekształcając te pierwiastki w związki, które mogą zostać wykorzystane przez zwierzęta i rośliny, a następnie oddając je światu poprzez rozkład ciał organicznych. Jako pierwsze zaczęły wytwarzać własne pożywienie w procesie fotosyntezy. Tlen, jako produkt uboczny tego procesu, na trwałe zmienił zaś atmosferę naszej planety. Nawet teraz, gdy rozmawiamy, fotosyntetyzujące bakterie w oceanach produkują dużą część tlenu, którym oddychamy (połowę z tego, który wytwarzają wszystkie organizmy).

Pod wieloma względami mikroorganizmy są też zapomnianymi współtwórcami naszego ewolucyjnego sukcesu. Pomagają nam trawić pokarm, produkują witaminy i minerały, których brakuje w diecie. Rozkładają toksyny i niebezpieczne chemikalia. Czuwają nad procesem budowy naszego ciała, uwalniając cząsteczki i sygnały sterujące wzrostem organizmu. Wpływają na rozwój układu nerwowego, przez co oddziałują na nasze zachowanie.

W jaki sposób?

Choćby poprzez florę jelitową. Naukowcy nie mają wątpliwości, że ma ona wielki wpływ na rozwój układu nerwowego. Skład mikrobiologiczny jelit może mieć choćby związek z depresją. Tamtejsze bakterie potrafią bowiem komunikować się z mózgiem poprzez nerw błędny – coś w rodzaju linii telefonicznej przesyłającej wiadomości pomiędzy mózgiem a jelitami. Badania wykazały, że zdecydowana większość sygnałów płynie w jednym kierunku – od jelit do mózgu. Aby się dowiedzieć, jakiego typu informacje są tam zakodowane, przeprowadzono pewien eksperyment. Jednej grupie kobiet codziennie podawano jogurt z probiotycznymi szczepami bakterii. Drugiej nie. Wyniki pokazały, że kobiety pijące jogurt miały lepszy nastrój i lepiej radziły sobie w pewnych testach poznawczych, m.in. lepiej zapamiętywały. Zaobserwowano też zwiększoną aktywność w niektórych obszarach mózgu.

Czyli wpływają na nasze samopoczucie. Ale skąd wziąć te „dobre” i jak unikać tych „złych”?

Po części jest to kwestia prawidłowej diety, ale to nie wszystko. Okazuje się, że na skład naszego mikrobiomu silnie od-

BLOOMBERG / GETTY IMAGES

działują kontakty towarzyskie. Sieci społeczne przenikają się z tymi bakteryjnymi. Obserwując szympansy, naukowcy z Uniwersytetu Teksańskiego w Austin odkryli, że liczba gatunków bakteryjnych w przewodzie pokarmowym rosła wraz z towarzyskością. Z ludźmi jest podobnie – między *Homo sapiens* istnieje coś w rodzaju metaspołeczności mikrobów. Osoby zamieszkujące wspólną przestrzeń dzielą tę samą florę bakteryjną. Przebywając ze sobą, dotykając się, jedząc wspólne posiłki, przekształcamy nasze więzi społeczne w więzi drobnoustrojowe. Każdego z nas otacza swoista chmura mikroorganizmów, a każdy uścisk ręki, pocałunek w policzek, a nawet wpadnięcie na kogoś przez przypadek, stanowi okazję do wymiany tych komórek. Wiedząc to, inaczej patrzymy np. na ludzi, o których mówi się, że promieniują dobrą energią, że nią „zarażają". Pół żartem, pół serio: takie osoby mogą nas zarażać „dobrymi" bakteriami ze swoich jelit, które poprawiają nam nastrój.

Mikroorganizmy dbają o nasze interesy?

To nie tak. Niektóre z nich w najlepszym razie są naszymi partnerami, odrębnymi bytami, które mają własne interesy i toczą własne ewolucyjne bitwy. Podział na „dobre" i „złe" drobnoustroje jest z gruntu fałszywy, ponieważ relacje w świecie natury są zbyt skomplikowane, pełne sprzeczności oraz napięć, by tłumaczyć je w ten sposób. Dużo trafniejsze byłoby stwierdzenie, że stosunki z naszym mikrobiomem są zmienne. Mikroorganizmy funkcjonują w pewnym spektrum, w zależności od konkretnej chwili i miejsca mogą pełnić zarówno funkcję „złych" pasożytów, jak i „dobrych" mutualistów. Takie określenia jak „pasożyt" czy „patogen" sprawdzają się bardziej jako opis aktualnego stanu niż trwały identyfikator tożsamości. Toby Kiers, biolożka ewolucyjna, powiedziała, że każde partnerstwo można postrzegać jako przypadek wzajemnego wyzysku.

Istnieje sposób, by zarządzać relacjami z naszymi mikroorganizmami?

Nie powiedziałbym, że możemy nimi zarządzać – co najwyżej ustabilizować. Ten skomplikowany i dynamiczny system w jakimś sensie przypomina rolnictwo. Uprawiając ziemię grodzimy pola, stosujemy różnego rodzaju nawozy, siejemy tam, gdzie jest dość wody. Owady zamykają większość swoich mikroorganizmów w specjalnych więzieniach komórkowych, zwanych bakteriocydami. Dzięki nim w razie potrzeby mogą doprowadzić do wzrostu liczebności udomowionych bakterii oraz pozbyć się ich, gdy partnerstwo nie przynosi już owoców. U ludzi jest trudniej – musimy radzić sobie ze znacznie większym konsorcjum mikroorganizmów niż owady. Nasz układ pokarmowy wykształcił jednak kilka linii obrony, śluz pokrywający ściany nabłonka zawiera np. bakteriofagi, czyli zabijające bakterie wirusy. Jeśli już jakieś mikroorganizmy zdołają przekraść się przez nabłonek, po drugiej stronie czekają na nie komórki układu odpornościowego. Ten ostatni jest czymś więcej niż linią obrony, jego podstawowym zadaniem jest właśnie zarządzać relacjami z bytującymi w nas mikroorganizmami.

Pisze Pan, że w przypadku ssaków wielką rolę w kontrolowaniu życia własnego mikrobiomu odgrywa mleko.

Jak wiadomo, każda ssacza matka, zarówno łuskowiec, jak człowiek czy delfin, karmi młode dosłownie rozpuszczając swoje ciało, które w formie białego płynu wydziela przez brodawki sutkowe. Do zawartych w nim substancji należą m.in. niewielkie cukry zwane oligosacharydami. Dzieci nie są w stanie ich trawić. Po co więc wydatkować tyle cennej energii na pozornie bezużyteczne związki chemiczne? Okazuje się, że bez szwanku przechodzą one przez żołądek i jelito cienkie, po czym trafiają do jelita grubego, gdzie stanowią pożywienie dla jednej jedynej grupy bakterii – *B. infantis*. Te ostatnie są zaś w stanie skutecznie zabić wszystkie groźne bakterie przewodu pokarmowego. Matka karmiąc dziecko i żywiąc *B. infantis*, faktycznie buduje jego układ odpornościowy. Przykład mleka pokazuje, że wykształciliśmy wiele sposobów na zarządzanie konfliktami z własnymi mikroorganizmami. Większość z tych sposobów polega na właściwościach chemicznych ciała.

W XX wieku pojawiły się też inne, mniej naturalne sposoby wpływania na mikrobiom – antybiotyki. ↦

Linia produkcyjna jogurtów w serbskich zakładach mleczarskich, Belgrad, 2014 r.

↦ Bardzo wiele tym środkom zawdzięczamy, za ich sprawą nasze życie stało się o niebo bezpieczniejsze. Problem z antybiotykami polega jednak nie tyle na ich stosowaniu, ile na nadużywaniu. Na krótką metę zakłócają one nasz mikrobiom, ale na długą, i to jest najbardziej niebezpieczne, sprzyjają powstawaniu antybiotykooopornych bakterii. Ponieważ używamy ich bezkrytycznie, może to skutkować uodpornieniem na nie pewnych groźnych bakterii – one w końcu ciągle ewoluują. Antybiotyki są jak nalot dywanowy, który za jednym zamachem zmiata wszystkie bakterie, również te korzystne.

Dlaczego więc po przyjęciu przepisanej przez lekarza dawki nie jesteśmy bardziej chorzy niż na początku?

Wszystkie ekosystemy, a więc także ludzki organizm, mają swoją odporność. Można ją naruszyć, nawet dość poważnie, a one i tak są w stanie wrócić do dawnej sprawności. Las po pożarze odradza się na nowo, nie jest już jednak taki sam. Stanowi mniej lub bardziej odległy wariant lasu sprzed pożogi. Podobnie jest z antybiotykami. One nie tylko zmieniają florę bakteryjną jelit, ale powodują też gwałtowny spadek różnorodności mikroorganizmów. Tego typu straty trudno później odrobić. W uproszczeniu można powiedzieć, że w naszym ciele pojawiają się wtedy ekologiczne wakaty, one zaś stanowią zaproszenie dla nowych, inwazyjnych patogenów. Jednym z nich jest np. *Clostridium difficile*, bakteria powodująca poważną biegunkę – na ogół dotyczy to osób poddanych terapii antybiotykowej.

W jakim stopniu warunki zewnętrzne mają wpływ na nasz mikrobiom?

Ich wpływ jest decydujący. Zarówno w krótkim, jak i długim terminie. Niedawno ukazały się wyniki badań nad dwiema grupami szympansów – jedna przebywała na wolności, druga w zamknięciu. Okazało się, że mikrobiom tych drugich jest pod pewnymi względami podobny do ludzkiego. Podobny w tym sensie, że różnorodność drobnoustrojów jest dużo mniejsza niż w przypadku ich pobratymców żyjących na wolności. Można to interpretować jako wpływ cywilizacji, choć zamknięcie w niewoli trudno nazwać cywilizacją. Zmierzam jednak do tego, że mikrobiom Europejczyka zamieszkującego współczesne miasto diametralnie różniłby się od mikrobiomu jego przodka żyjącego w grupie łowiecko-zbierackiej.

EDYONG209 / WIKIPEDIA.ORG

ED YONG jest popularyzatorem nauki i pisarzem naukowym. Publikował m.in. w „Science", „National Geographic", „New Scientist" i „Scientific American". Niedawno ukazała się po polsku jego książka „Mikrobiom. Najmniejsze organizmy, które rządzą światem" (Wydawnictwo UJ 2018).

To źle?

I dobrze, i źle. Ten fenomen wyjaśnia coś, co nazywamy „hipotezą higieniczną". Dobrze, bo nie jesteśmy już w takim stopniu narażeni na choroby zakaźne. Źle, ponieważ w zamian w naszych ciałach uruchamia się cały szereg panicznych reakcji immunologicznych, prowadzących do różnego rodzaju alergii czy chorób skórnych. Miejski styl życia, betonowe miasta, używanie chlorowanej wody i dezynfekowanego jedzenia, brak kontaktu z żywym inwentarzem podnosi ryzyko chorób alergicznych. To cena, jaką płacimy za stosunkową wolność od poważniejszych chorób. Na szczęście liczba mikroorganizmów, z którymi się kontaktujemy, może być łatwo i w miarę bezpiecznie zwiększona. Wystarczy sprawić sobie psa. Czworonogi w naturalny sposób przenoszą mikroorganizmy z zewnątrz do naszych mieszkań. Nie zmieni to jednak podstawowego problemu, że czystość zaczęliśmy pojmować jako świat bez mikroorganizmów, a to może nas drogo kosztować.

Na przykład?

Weźmy niesławną *Helicobacter pylori*, jej opinię słusznie zszargało to, że powoduje ona wrzody żołądka. Z drugiej strony zmniejsza jednak ryzyko refluksu, raka przełyku, a być może także astmy. Próby jej wytępienia okazały się zadziwiająco skuteczne. Dziś *Helicobacter* występuje u zaledwie 6 proc. dzieci w krajach zachodnich. W ciągu kilku dekad ten odwieczny mieszkaniec naszego żołądka znalazł się na krawędzi wyginięcia. Nie wiemy, co się stanie, jeśli do tego dojdzie. Być może nic. Ale sam fakt, że takie mikroorganizmy mogą zniknąć, powinien być niepokojący. Mniej różnorodny mikrobiom może być bowiem mniej skuteczny w zwalczaniu groźnych najeźdźców. Mówię może, bo jak dotąd nikt nie dowiódł, że osoby o zmniejszonej puli mikroorganizmów są bardziej podatne na zapadnięcie na jakąś chorobę.

Mikroorganizmy stały się atrakcyjnym tematem i zaznaczyły swoją obecność w mediach czy publikacjach popularnonaukowych. Pojawiła się tendencja do uznawania ich za wyjaśnienie – oraz rozwiązanie – wszystkich naszych dolegliwości.

Nauka, w tym również biologia, nie jest wolna od pokusy szukania zunifikowanej teorii pozwalającej wyjaśnić przyczynę niezwykle złożonych zjawisk. Ta swoista mikrobiomnia to zapewne wynik naturalnej dla nas tęsknoty za prostym, eleganckim, wszechogarniającym wyjaśnieniem. Musimy pamiętać, że nasz wewnętrzny świat jest zbyt zagmatwany i wieloaspektowy, by zamknąć go w prostym modelu „jeden mikroorganizm równa się jedna choroba". Mikrobiom w ciągu dnia waha się i pulsuje. Podobnie rzecz się ma z genomem, można z całą pewnością założyć, że dziś nie jest taki sam jak w zeszłym roku. Nie istnieje żaden wzór zdrowego mikrobiomu, do którego możemy dążyć.

W ostatnich latach wykonaliśmy wielki krok pod względem zrozumienia mechanizmów rządzących naszymi relacjami z mikroorganizmami. Do niedawna mówiło się o nich wyłącznie w kontekście chorób, jakie wywołują. Patogeny zostawiły w nas trwałą kulturową bliznę. Tyle że choroby zakaźne u ludzi wywołuje mniej niż sto gatunków bakterii. W stosunku do tysięcy pożytecznych gatunków bytujących w naszych przewodach pokarmowych – to dosłownie kropla w morzu.

© Rozmawiał TOMASZ TARGAŃSKI

ANDRZEJ

Stasiuk:
Wielki Tydzień. Bełżec

Było pochmurno, na betonie stały zimne kałuże, tu i tam leżał jeszcze śnieg. Niedaleko za ogrodzeniem, przy torach kolejowych stał magazyn. Jakiś czas temu na jego ścianie widniał niechlujny czarny napis: „Środki higieny z Niemiec". Ktoś go zamalował, ale litery jeszcze przeświecały spod jasnej farby. Wcześniej unosił się nad nieregularnym ośmiohektarowym czworobokiem jak szyderczy szyld u wejścia do zaświatów. No ale zamalowali.

To było łagodne wzgórze. W innym miejscu, w innym czasie rosłaby na nim zielona trawa i pasły się zwierzęta. Ale tutaj pokrywał je hutniczy żużel. Ciemnoszara szlaka. Chropawe bryły wypalone i przetopione w ogniu, w piecach. Zamiast zielonej trawy i łagodnych zwierząt. Wielki Piątek powinien być, pomyślałem. A była dopiero Środa. I żywej duszy. Tylko resztki śniegu i zimne kałuże. I samotny strażnik w czarnym mundurze przemierzający pustą przestrzeń. Wszedł w głąb betonowej szczeliny przepoławiającej wzgórze na dwoje. Gdy się nią szło, ściany wznosiły się coraz wyżej i wyżej, a odgłos kroków odbijał się ciasnym, wibrującym echem. Zaraz wrócił. Jakby tylko sprawdzał, czy tam, na końcu, pod kamienną ścianą nic się nie wydarzyło, nikt się nie zagubił albo nie zabłądził.

No więc nie Wielki Piątek. Ledwo Środa i to wzgórze w zimnym powietrzu koloru zimnej wody. I sylwetki koparek wydobywających czterysta tysięcy ciał z dołów, gdy się okazało, że ziemia nie chce ich przyjąć. Ani chlor, ani beton nie dawały sobie rady z żywym rozkładem. Zwłoki wypływały unoszone fermentacją i osuwały się w dół zbocza. Trzeba je było wydobyć, mechanicznie i ręcznie, i spalić na otwartym powietrzu, na rusztach z szyn kolejowych przekładając drewnem. Tak więc wyobrażałem sobie te koparki wydobywające ludzi z ziemi. Czarne kształty na wzgórzu, na tle nieba. Jak wydobywają ludzi z ziemi, bo jeszcze nie dość umarli. Oddają ich ogniowi, a potem zostają jeszcze kości, które wrzuca się do młynów i potem rozsypuje. Ziemia, ogień, wiatr, żeby nic nie zostało.

No i nikogo, bo przecież Wielki Tydzień i zaraz Wielkanoc. Strażacy czyścili i prasowali mundury. Wierni po kościołach budowali Groby Pańskie. Wspominali zdradę Judasza. Może zbierali chrust, by palić judaszowe ognie na pamiątkę. Ale szczerze mówiąc nigdy nie widziałem tu zbyt wielu ludzi. Kiedyś jakąś parę młodych. Kiedyś kilku Hiszpanów. Któregoś razu przywiozłem zaprzyjaźnioną Niemkę. Nikt się specjalnie nie kwapił, by odwiedzać nicość trupiego wzgórza i oglądać szary żużel z pieców.

Patrzyłem w głąb szczeliny połowiącej zbocze i symbolizującej zejście do piekła. Prawdziwy ruch i frekwencja były tu wtedy, gdy odeszli Niemcy. Ludzie z okolicy przychodzili po złoto. Drążyli wzgórze, przesiewali piach i popioły. Milicja próbowała ich rozpędzać, ale wciąż powracali. Tak mówią relacje z tamtego czasu. Drążyli trupie wzgórze, dokopywali się do piekieł. Odrzucali na bok kawałki kości, rzeczy, zabawki, kobiece peruki, resztki ludzi. Rozkopywali Szeol ślepi jak krety pod ziemią, ale prowadził ich nieśmiertelny blask złota, którego nie zgasi żadna nicość. Dlatego nie bali się trupiego odoru ani jadu. Ani czaszek, ani duchów, ani diabła, ani piekieł, chociaż – jak wiadomo – lud, jeśli idzie o zaświaty, raczej jest strachliwy. Musieli wierzyć, że ten diabeł i to piekło są jakieś słabsze, nie ich, jakby nielegalne albo heretyckie i, jakby co, to jednak się wymkną albo i przekupią diabła, a może nawet i samą śmierć nie swoim złotem. Amen. ©

TP

Już w następnym wydaniu pierwszy Magazyn Conrad

CONRAD FESTIVAL

W nim idea tegorocznej edycji festiwalu
oraz pierwsi goście

weź, czytaj i przyjdź!

NIEPRZYPADKOWY PRZYPADEK

Odgrywa kluczową rolę w najważniejszych koncepcjach naukowych, od kosmologii, przez teorię ewolucji, neurobiologię i kognitywistykę, aż po filozofię. Jego wszechobecność nie może być przypadkowa.

BARTOSZ BROŻEK

„Katar" Stanisława Lema to piękna, głęboka medytacja nad rolą i miejscem przypadku w świecie zamieszkiwanym przez *Homo sapiens*. Dzieło to, choć określić by je można mianem kryminału, jest w istocie rozprawą filozoficzną. Fabuła jest tu drugorzędna: główny bohater, były amerykański astronauta, prowadzi śledztwo dotyczące serii tajemniczych zgonów. Podobieństwa między tymi zdarzeniami każą przypuszczać, że na południu Włoch działa niebezpieczny morderca. Z czasem jednak coraz więcej wskazuje na to, że „mordercą" tym jest zwykły zbieg okoliczności: przypadek.

Niejedno ma imię

Jedna z najbardziej pamiętnych scen „Kataru" to rozmowa, w której Saussure każe nam zastanowić się nad następującą kwestią: w ogrodzie stoi drewniany stół nabijany na obwodzie miedzianymi ćwiekami. „Czy uważa pan za możliwe – pyta swego rozmówcę Saussure – puścić na ten stół pipetką z wysoka tyle kropel wody, ile jest gwoździ, tak żeby każda kropla trafiła łepek?". Musimy oczywiście przyznać, że to mało prawdopodobne, jeśli w ogóle możliwe. „Ale przecież wystarczy – ciągnie Saussure – żeby przez pięć minut padał deszcz, a każdy gwóźdź na pewno dostanie swoją kroplę wody...".

W tym krótkim dialogu Lem w mistrzowski sposób pokazuje ważny aspekt zjawisk przypadkowych: to, czy uznamy jakieś zdarzenie za – mniej lub bardziej prawdopodobny – zbieg okoliczności, zależy od „układu odniesienia", w którym się znajdujemy, czyli od posiadanej wiedzy i formułowanych na jej gruncie oczekiwań.

Ludzki umysł jest nie tylko narzędziem gromadzenia i katalogowania informacji. Rejestrowane dane służą regulacji zachowań organizmu. Uczymy się nie po to, żeby wiedzieć, ale by wiedzę tę, często nieświadomie, wykorzystać do skutecznego działania. Umysł to zatem wyrafinowana maszyna projektowa, która nieustannie zbiera i filtruje informacje, by tworzyć i odpowiednio modyfikować „plan", wedle którego działa organizm. Plan ten z konieczności musi zawierać przewidywania zdarzeń w środowisku. Gdy napotykane okoliczności wpisują się w te przewidywania, organizm może działać w miarę skutecznie (w zależności od jakości „planu").

Pisklę kukułki zwyczajnej (Cuculus canorus) karmione przez trzcinniczka zwyczajnego (Acrocephalus scirpaceus)

Zdarza się jednak, że dzieje się coś sprzecznego z oczekiwaniami. Czujemy się wtedy zaskoczeni i mówimy o przypadku lub zbiegu okoliczności, a nasze umysły podejmują wysiłek szybkiej adaptacji „planu" do niespodziewanych warunków. Jest to subiektywne rozumienie przypadku, zależne od tego, czy pewne zdarzenie „wpisuje się" w nasze przewidywania, w „plan" działania naszego organizmu.

O przypadkach można mówić jednak także w sposób obiektywny. Gdy dysponujemy dobrą probabilistyczną teorią opisującą pewien wycinek rzeczywistości, np. termodynamiką, mechaniką kwantową albo teorią zachowań konsumentów na rynku żywności, za przypadkowe uważać będziemy każde zdarzenie, którego prawdopodobieństwo jest mniejsze niż 1, czyli takie, które – zgodnie z naszą teorią – nie jest w pełni zdeterminowane. Taki obiektywny przypadek nie musi być uznany za przypadek w sensie subiektywnym (i odwrotnie). Można nawet postawić tezę, że wiele dyskusji na temat przypadkowości i konieczności wikła się w rozmaite nieporozumienia i pseudoproblemy ze względu na napięcie pomiędzy obiektywną i subiektywną wizją przypadku. Gdy pojedyncza kropla trafia w gwóźdź, mówimy o niezwykłym zbiegu okoliczności, odbierając to zdarzenie jako (subiektywnie) bardzo przypadkowe; gdy gwóźdź zostaje trafiony kroplą w trakcie ulewy, poczucie przypadkowości znika, choć z matematycznego punktu widzenia jest to ciągle przypadkowe (istnieje pewne bardzo małe prawdopodobieństwo, że żadna kropla ulewnego deszczu nie uderzy w główkę gwoździa).

Nasze umysły nie są naturalnie przystosowane do myślenia w kategoriach rachunku prawdopodobieństwa. Eksperymenty psychologiczne, m.in. te przeprowadzone przez Daniela Kahnemana i Amosa Tversky'ego, wykazały to ponad wszelką wątpliwość: gdy natrafiamy na problem, który łatwo uległby analizie statystycznej, najpewniej popełnimy błąd. Umysł jest niezmordowany w upraszczaniu świata: ujmujemy rzeczywistość w proste, prototypowe kategorie, a napotykając niezgodność między oczekiwaniami a tym, czego faktycznie doświadczamy, uciekamy się (znów: zwykle nieświadomie) do rozmaitych sztuczek, które przywrócą spójność naszej wizji świata. Gdy okazuje się to niemożliwe, popadamy w dezorientację. Im bardziej przypadkowe (mało oczekiwane) zdarzenie, tym dezorientacja większa. Jak to pięknie ujęła Wisława Szymborska w wierszu „Wszelki wypadek": „Ocalałeś, bo byłeś pierwszy. / Ocalałeś, bo byłeś ostatni. / Bo sam. Bo ludzie. Bo w lewo. Bo w prawo. / Bo padał deszcz. Bo padał cień. / Bo panowała słoneczna pogoda".

Marzenie Laplace'a

W wydanym w 1814 r. dziele „*Essai philosophique sur les probabilités*" Pierre Simon de Laplace pisze: „Powinniśmy uznawać aktualny stan wszechświata jako efekt jego poprzedniego stanu i jako przyczynę stanu kolejnego. Jeśli zatem założy się istnienie inteligencji, która potrafiłaby zrozumieć wszystkie siły poruszające naturą i położenie, w którym znajdują się wszystkie byty składające się na naturę – inteligencję wystarczająco potężną, by poddać te dane analizie – zawarłaby ona w jednej formule ruchy najcięższych ciał niebieskich i najlżejszych atomów. [Inteligencja ta] nie odczuwałaby żadnej niepewności, gdyż przyszłość, jak i przeszłość byłyby dla niej jak teraźniejszość".

Laplaceański demon – inteligencja przewyższająca wielokrotnie nasze niedoskonałe umysły – to piękny eksperyment myślowy, który wyraża dwie tezy: ontologiczną i epistemologiczną. Laplace zakłada, że rzeczywistość fizyczna rządzona jest przez ściśle deterministyczne prawa przyrody; równocześnie zauważa, że poziom złożoności zdarzeń rozgrywających się na arenie wszechświata jest zbyt duży, by mogły go w pełni pojąć ograniczone ludzkie umysły. Tezy te pełnią też swoistą funkcję terapeutyczną: łagodzą nasz niepokój i karmią potrzebę porządku i pewności. W świecie zjawisk fizycznych nie ma przypadków, są one wyłącznie produktem naszej niewydolności poznawczej.

Sprawy skomplikowały się na początku XX w. wraz z powstaniem mechaniki kwantowej. Wbrew marzeniom Laplace'a okazało się, że ruchów „najcięższych ciał niebieskich i najlżejszych atomów" nie da się zamknąć w jednej formule. Podczas gdy te pierwsze zdają się podlegać w pełni deterministycznym prawom ogólnej teorii względności, te drugie opisać można jedynie wykorzystując rachunek prawdopodobieństwa.

Choć niezwykłe sukcesy mechaniki kwantowej wywołały zrozumiały zachwyt fizyków, wielu z nich, na czele z Albertem Einsteinem, nie chciało się zgodzić, że teoria ta stanowi ostateczny opis rzeczywistości. Einstein w liście do Maxa Borna pisał: „Mechanika kwantowa jest niewątpliwie imponująca. Ale wewnętrzny głos mówi mi, że to jeszcze nie to. Teoria wyjaśnia wiele, ale nie prowadzi nas bliżej do zrozumienia tajemnic Staruszka. Ja w każdym razie jestem przekonany, że On nie gra w kości". A w innym liście do tego samego adresata dodaje: „Ty wierzysz w Boga, który gra w kości, a ja w zupełne prawo i porządek w świecie, który, na swój opętańczy sposób, próbuję zrozumieć".

Skąd wzięło się tak uporczywie powtarzane przez Einsteina przekonanie, że mechanika kwantowa jest, w pewnym sensie, ślepą uliczką, która nie jest w stanie doprowadzić nas do pełnego zrozumienia rzeczywistości? Historycy i filozofowie nauki mówią w tym kontekście o silnych założeniach metafizycznych przyjmowanych przez genialnego fizyka: Einstein zgadzał się najwyraźniej z Laplace'em, że świat fizyczny jest w pełni deterministyczny. Przekonania metafizyczne nie biorą się jednak znikąd – są raczej efektem naszych indywidualnych doświadczeń i przemyśleń. Można zatem spekulować, że Einsteinowski protest wobec „przypadkowej" natury mechaniki kwantowej był głęboko zakorzeniony w mechanizmach psychicznych, które nakazują nam poszukiwać spójności i porządku w otaczającym nas świecie.

Mówiąc inaczej: Einstein z radością podejmował zmagania z przypadkami „subiektywnymi", starając się „odcyfrować zamysł Boga", ale nie mógł znieść myśli o tym, iż fundamenty rzeczywistości zawierają przypadki rozumiane obiektywnie. Te pierwsze stanowią wyzwanie dla ludzkiej wyobraźni, te drugie – rodzaj porażki. Wszystko wskazuje jednak na to, że z porażką tą musimy się pogodzić i przyznać, że fundamentalne prawa fizyki, nawet w wyśnionej teorii ostatecznej, muszą mieć charakter probabilistyczny. Pogodzenie się z porażką nie oznacza jednak pełnej akceptacji: bezwładność naszych aparatów poznawczych sprawia bowiem, że niezwykle trudno jest nam spojrzeć na świat jako wynik procesów losowych. ↦

ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Odwrócenie rozumowania

↦ Jeden z XIX-wiecznych krytyków Darwina, Robert Mackenzie Beverley, pisał: „W teorii, z którą mamy do czynienia, absolutna ignorancja jest wynalazcą; moglibyśmy więc sformułować podstawową zasadę całego systemu: aby zbudować doskonałą i piękną maszynę, nie trzeba wiedzieć, jak ją zbudować. Po starannej analizie okaże się, że teza ta w postaci skróconej wyraża zasadniczy cel teorii, a także w kilku słowach wszystko, co pan Darwin miał na myśli; ów, osobliwie odwracając rozumowanie, zdaje się uważać, iż absolutna ignorancja mogłaby zastąpić absolutną mądrość we wszystkich twórczych osiągnięciach".

Beverley, być może nawet wbrew swym intencjom, dokonał ważnej obserwacji. Teoria ewolucji w istocie stanowi zaskakujące „odwrócenie rozumowania", co może tłumaczyć trudności, jakie mamy z pełnym jej zrozumieniem. Trudności te przejawiają się nawet na poziomie opisu językowego. Tylko ci nieliczni biologowie, którzy są purystami metodologicznymi, potrafią (pewnie nie zawsze) powstrzymać się od antropomorfizowania procesów ewolucyjnych. Przyjrzyjmy się zachowaniu kukułki. Samica tego gatunku składa jajo w gniazdach innych gatunków, często przy tym wytaczając z niego jedno z jaj pary gospodarzy. Gdy niczego niepodejrzewający przybrani rodzice doczekają się potomstwa, pisklę kukułki potrafi wyrzucić pozostałe jaja z gniazda, by zmaksymalizować opiekę rodzicielską. Bardzo trudno mówić o takich zjawiskach nie posiłkując się pojęciami, których używamy w kontaktach międzyludzkich. Czyż plan kukułczej mamy nie był przebiegły? Czy nie wyrzuciła jednego z jaj, by „adopcyjni rodzice" nie zorientowali się, że coś jest nie tak? Czy pisklę nie postąpiło dalekowzrocznie (choć okrutnie i egoistycznie)?

Tymczasem zachowanie kukułki nie jest efektem realizacji przemyślanego przez nią planu; jest to „automatyczny" sposób działania, zakodowany w jej genomie. To efekt przypadkowych mutacji genetycznych, które doprowadziły do ewolucyjnych adaptacji. Trudno jest nam jednak zaakceptować istnienie takich obiektywnych przypadków, dobrze opisywanych w probabilistycznych teoriach genetyki i biologii ewolucyjnej; trudno pójść za radą Darwina i „odwrócić rozumowanie", bo jest ono tak odległe od naszych codziennych doświadczeń i wykształconych przez nie kategorii pojęciowych. Być może dlatego tak wiele osób za ślepymi i przypadkowymi mechanizmami ewolucji stara się za wszelką cenę dostrzec działanie intencjonalnie działającej inteligencji, która przypomina Laplaceańskiego demona wyposażonego nie tylko w moce poznawcze, ale i sprawcze.

Czyż plan kukułczej mamy nie był przebiegły?

Czy nie wyrzuciła jednego z jaj, by „adopcyjni rodzice" nie zorientowali się, że coś jest nie tak? Czy pisklę nie postąpiło dalekowzrocznie?

O pomieszaniu języków

Być może najbardziej interesującym, a niewątpliwie najbardziej doniosłym z egzystencjalnego punktu widzenia problemem, w którym ujawnia się napięcie pomiędzy obiektywnie i subiektywnie rozumianym przypadkiem, jest spór o istnienie wolnej woli. Debata ta toczy się od wielu wieków, a w ostatnich dziesięcioleciach nabrała dodatkowych odcieni w związku z pracami psychologów i neurobiologów.

Mówiąc w uproszczeniu, w interesującej nas kwestii spotykają się dwa konkurencyjne stanowiska: kompatybilizm i inkompatybilizm. Zwolennicy pierwszego z nich twierdzą, że teza o istnieniu wolnej woli jest w pełni zgodna z determinizmem. Ich argumentacja przebiega z grubsza następująco: jeśli przyjęlibyśmy, że nasze wolne decyzje nie są zdeterminowane, musielibyśmy uznać, iż stanowią zdarzenia całkowicie przypadkowe. To kłóci się jednak z głęboko zakorzenionym w nas poczuciem, że podejmujemy decyzje na podstawie swych przekonań i pragnień. Pozostaje zatem uznać, iż wolna wola może operować jedynie w świecie deterministycznym.

Z konstatacją tą nie zgadzają się inkompatybiliści, zauważając, że jeśli nasze decyzje są w pełni zdeterminowane, trudno zrozumieć, w jaki sposób moglibyśmy być za nie odpowiedzialni. Odpowiedzialność moralna zdaje się sprzeczna z ideą determinizmu, a przekonany determinista musiałby uznać, że wolna wola jest jedynie złudzeniem.

Przeprowadźmy eksperyment myślowy. Wyobraźmy sobie, że skonstruowano poprawną teorię działania ludzkiego mózgu i że ma ona charakter probabilistyczny (co jest, *nomen omen*, prawdopodobne, zważywszy na probabilistyczną naturę fundamentalnych praw fizyki). Wiemy zatem, że podejmowane przez nas decyzje są przypadkowe (w obiektywnym sensie), tzn. że prawdopodobieństwo ich wystąpienia jest mniejsze od 1. Czy istnienie takiej teorii wpłynęłoby na debatę między kompatybilistami i inkompatybilistami? Jeśli tak, to w niewielkim zakresie. Inkompatybiliści ucieszyliby się z przestrzeni, którą nowa teoria stwarza dla działania wolnej woli; kompatybiliści mogliby z kolei zauważyć, że – zgodnie z tą teorią – prawdopodobieństwo podjęcia pewnej decyzji może być bardzo bliskie 1, a zatem decyzję taką trudno uznać za przypadkową (w subiektywnym sensie). Mówiąc inaczej, spór między kompatybilizmem a inkompatybilizmem (przynajmniej w uproszczonej wersji przedstawionej powyżej) jest sporem pozornym, gdyż mówiąc o determinizmie obie strony mają na myśli przypadkowość rozumianą obiektywnie, zastanawiając się zaś nad działaniem wolnej woli odwołują się do niematematyzowalnych, „subiektywnych" kategorii pojęciowych. Nie oznacza to oczywiście, że pytanie o istnienie i naturę wolnej woli jest pseudoproblemem, ale musimy być ostrożni, by rozważając tę kwestię nie mieszać języków, myląc chociażby subiektywne i obiektywne rozumienie przypadku.

Przypadek to fascynujące pojęcie. Nie dość, że jest powiązane z innymi ważnymi pojęciami – koniecznością, determinizmem, wolną wolą – to jeszcze odgrywa kluczową rolę w najważniejszych koncepcjach naukowych, od kosmologii, przez teorię ewolucji, neurobiologię i kognitywistykę, aż po filozofię. Taka wszechobecność „przypadku" nie może być przypadkowa. Wydaje się, że jest to jedno z tych niewielu pojęć, które organizują ogromne obszary naszej wizji świata. Warto w związku z tym poświęcić mu trochę nieprzypadkowego namysłu.

© BARTOSZ BROŻEK

Autor jest profesorem nauk prawnych, filozofem i kognitywistą, prodziekanem Wydziału Prawa i Administracji UJ oraz członkiem Centrum Kopernika. Autor wielu książek, m.in. „Myślenie. Podręcznik użytkownika" (CCPress 2016).

REKLAMA

22 - 27.05

2018

/PRZYPADEK

COPERNICUS FESTIVAL

COPERNICUSFESTIVAL.COM

OCZY MAM ZŁOWROGIE

Czternastu krewnych autora pozwało go do sądu, zarzucając zniesławienie rodu Knausgårdów i uprawianie w celach wzbogacenia się „judaszowej literatury". Bo napisał światowy bestseller.

JAN BALBIERZ

Zacznijmy od spoilera. W ostatnim akapicie liczącej ponad trzy i pół tysiąca stron, podzielonej na dziewięć części i sześć ksiąg powieści norweskiego pisarza Karla Ovego Knausgårda (rocznik 1968) „Moja walka", której ostatnia księga właśnie ukazała się w języku polskim, jej narrator – Karl Ove Knausgård – oznajmia: „Jest godzina 7.07 i powieść jest wreszcie skończona. Za dwie godziny przyjdzie tu Linda, obejmę ją wtedy, powiem, że skończyłem i że nigdy więcej nie zrobię nic podobnego jej i dzieciom. Potem pojedziemy pociągiem do Louisiany. Na tamtejszej scenie odbędzie się wywiad, najpierw ze mną, a potem z nią, bo jej książka się ukazała, skrzy się i żarzy jak gwiaździste niebo w ciemności. Później wrócimy pociągiem do Malmö, wsiądziemy do samochodu i pojedziemy do naszego domu, a ja przez całą drogę będę się rozkoszował, naprawdę rozkoszował myślą, że już nie jestem pisarzem".

Powieść, przynajmniej jeśli wierzyć odautorskim komentarzom, powstała w wyniku frustracji własnym życiem i z kryzysu twórczego. Trwająca kilka lat niemożność ukończenia innego projektu pisarskiego przełamana została dopiero w momencie, kiedy Knausgård nadał postaciom, o których pisał, autentyczne imiona swoich krewnych i znajomych. Ruch wspomnień stał się możliwy dopiero po odrzuceniu fikcji. Na początku powstały fragmenty znajdujące się obecnie w księdze drugiej: „to, co początkowo było jedynie długim esejem, zaczęło z wolna, ale pewnie rozrastać się w powieść", zakończenie Księgi 6. oznacza też finałowy etap procesu autoterapii.

Powieść, czyli samo życie

Tytułowa „walka" – prowokująco odsyłająca do „*Mein Kampf*", autobiografii Adolfa Hitlera – odnosi się do zmagań narratora ze swoją przeszłością, z autodestrukcyjnymi wzorcami zachowań, wpisanymi w jego życie przez najbliższych, i z próbą nadania sensu własnemu życiu. Było ono zdominowane przez postać ojca, pedanta, kontrolującego maniaka, bezwzględnie traktującego dwójkę synów i ich matkę (jego ekscesy wychowawcze poznajemy bliżej w Księdze 3.). Ojciec stopniowo popada w alkoholizm, a w ostatnich miesiącach życia przenosi się do domu swojej matki i dokonuje tam rozciągniętego w czasie samobójstwa, zapijając się na śmierć.

Mimo, że Knausgård wielokrotnie w wywiadach powtarzał, iż jego celem nie była prowokacja, a jedynie uwolnienie się od własnych demonów, książka – z oczywistych względów – wywołała burzę kontrowersji. Wszelkie dyskusje literackie w Skandynawii około roku 2010 rozpoczynały się od odniesień do „*Min kamp*". Po wydaniu pierwszego tomu w rodzinnym miasteczku na południu Norwegii, gdzie ojciec pisarza przez wiele lat pracował jako nauczyciel i działał jako lokalny polityk, zawrzało. Czternastu krewnych autora pozwało go do sądu, zarzucając zniesławienie rodu Knausgårdów i uprawianie w celach wzbogacenia się, jak rzecz ujęto w pozwie, „judaszowej literatury".

Trzymający wysoką klasę polski przekład Iwony Zimnickiej ukazuje się prawie dekadę po wydaniu pierwszego tomu w Norwegii. W tym czasie Knausgård stał się światowym celebrytą (dłuższe eseje w prasie amerykańskiej poświęcili mu James Wood i Jeffrey Eugenides), zdobył najbardziej prestiżowe nagrody literackie Skandynawii, rozwiódł się z drugą żoną i założył własne wydawnictwo.

Swoją książkę Knausgård konsekwentnie określa jako „powieść", rezygnuje jednak z wszelkiego sztafażu fikcji. Nie tylko jej narrator nazywa się Karl Ove Knausgård, ale i większość postaci występuje pod autentycznymi imionami. Pojawiają się zatem żona pisarza, szwedzka pisarka Linda Boström, ich dzieci Vanja, Heidi i John, brat Yngve, ale również krewni, przyjaciele, wydawcy, a wreszcie obszerna galeria znajomych, kolegów ↦

Karl Ove Knausgård, 2013 r.

DANIEL NILSSON / SCANPIX / FORUM

↦ szkolnych, byłych dziewczyn i sąsiadów, autentyczne są także środowiska i sytuacje przedstawione w tekście.

Werbalny gwałt

Tego rodzaju literatura wyznaniowa stanowi jeden z głównych nurtów w ponowoczesnej literaturze skandynawskiej. Rok przed wydaniem pierwszego tomu „Mojej walki" w Szwecji ukazała się pierwsza część „Dziennika dramatopisarza" Larsa Noréna, projektu w swym zamyśle bardzo podobnego do cyklu Knausgårda, a przy tym – co polskim czytelnikom trudno sobie wyobrazić – jeszcze od niego obszerniejszego. Zaliczający się do grona najwybitniejszych twórców współczesnego teatru europejskiego szwedzki autor od dwóch dekad sukcesywnie publikuje tysiące stron nieocenzurowanych zapisków. Narracyjny *flow* obejmuje w nich wszystko: od nowych pomysłów pisarskich i rozbudowanych komentarzy na temat filozofii Heideggera po drobiazgowe opisy zakupów w pobliskim spożywczaku i rekonstrukcję rozmów z żebrakami stojącymi pod sklepem. Uprawianie ogrodu w domu letniskowym na Gotlandii jest tu równie istotne i godne opisu, co finansowe pertraktacje z wydawnictwem Bonniers. Do tego dochodzi rozbudowana warstwa plotkarska: pisarz nie szczędzi ani intymnych szczegółów swoich rozlicznych romansów, ani zgryźliwych, a często wulgarnie obraźliwych komentarzy na temat znanych osobistości kultury skandynawskiej.

Literatura tego typu (terminów na jej określenie jest legion: powieść autofikcyjna, autonarracja, fikcja bez fikcji, autobiografia performatywna, hiperrealizm) wywołuje zasadnicze pytania dotyczące czytelniczego odbioru beletrystyki, ale również relacji między akademicką teorią a praktyką pisarską. O tym, że herezja biografizmu świadczy o czytelniczej naiwności i że utwory literackie należy czytać jako dzieła fikcjonalne, wie każdy początkujący student literatury. Gwałtowne i emocjonalne reakcje, jakie wywołują – i to również wśród akademickich komentatorów i krytyków – powieści czy filmy biograficzne, takie jak „Koniec trasy" Jamesa Ponsoldta na temat otoczonego kultem prozaika Davida Fostera Wallace'a czy „Ostatnia rodzina" Jana P. Matuszyńskiego poświęcona Tomaszowi Beksińskiemu, świadczą jednak o tym, że wiedza teoretyczna szybko zaczyna zawodzić, kiedy przedmiotem fikcyjnych podobno narracji stajemy się my sami albo nasi bliscy.

Z tej perspektywy najciekawsza jest ostatnia księga „Mojej walki". Wprawione w ruch w tomie pierwszym afekty czytelnicze powracają w tomie szóstym pod postacią suplementów, korekt i gróźb sądowych przysyłanych Knausgårdowi przez osoby (postaci powieściowe?) pojawiające się w poprzednich pięciu tomach. Rolę pierwszoplanową odgrywa tutaj „wujek Gunnar" (w realnym życiu brat zmarłego ojca pisarza, Bjørge Knausgård), który do mediów i wydawnictwa przesyła obszerny list zatytułowany „Werbalny gwałt", grozi procesem i stanowczo domaga się, aby z książki wykreślić wszystkie fragmenty poświęcone jemu, jego matce, jak również wzmianki na temat alkoholizmu jego brata.

Przy okazji zrewidować trzeba marketingową mitologię, podchwyconą przez rzesze czytelników w różnych krajach, głoszącą, że oto w przypadku „Mojej walki" wrażliwy, uzdolniony pisarz rzucił publiczności świeżo odrąbane, krwiste kawałki mięsa życia. Opublikowana książka nie jest bynajmniej autorską wersją *uncut*, ale wyretuszowana została zgodnie z zaleceniami – bombardowanego groźbami procesowymi przez rodzinę autora – działu prawnego wydawnictwa Oktober (od lat 70. XX w. wydającego dzieła teoretyczne Marksa, Lenina, Stalina, Mao i Pol Pota).

Szukanie sensu, czyli zajęcia z rytmiki

W swoim cyklu Knausgård stworzył hybrydę gatunkową, „powieść worek", mieszczącą w sobie rozmaite gatunki, w szczególności autobiografię i esej. Jego kompulsywna eseistyka przybiera często rozmiary monstrualne. Drobne wydarzenia życia codziennego, przewijanie dziecięcych pieluch czy spacer w parku, stają się natychmiast zalążkiem długich wywodów na temat zmierzchu cywilizacji Zachodu, zapośredniczenia naszej wiedzy o świecie przez język i wizerunki czy na temat młodości Adolfa Hitlera.

Kiedy Knausgård zaczyna teoretyzować (w szczególności o kwestiach zasadniczych, takich jak relacje między naturą a kulturą), albo też kiedy opisuje paradoksy introspekcji i rozbicie „ja" na „ja" obserwujące i piszące oraz na „ja" doświadczające i przeżywające, niestety trudno oprzeć się wrażeniu, że... już wszystko to kiedyś słyszeliśmy.

Siła jego prozy leży gdzie indziej: precyzyjny język i emocjonalny *detachment* czynią z niego bezwzględnego obserwatora najbliższych i przenikliwego analityka własnych zachowań (w tomie szóstym cytuje fragment z „Dzienników" Franza Kafki, w którym pojawia się fraza „stoję w pobliżu, a oczy mam złowrogie"). Jest także niezrównanym diarystą banalności życia codziennego; epizody w rodzaju kupowania choinki albo przewijaka Ikei, czy przygotowywania kolacji dla gości zgodnie z przepisem z książki kucharskiej Jamiego Olivera, nabierają tu siły hipnotycznej.

Nieforemną i pozbawioną akcji powieść łączy kilka tematów. Pierwszym z nich jest nadanie sensu własnemu życiu („Czego ja właściwie szukałem? Sensu. Chyba po prostu tego") i poszukiwanie bezpośrednich doświadczeń. W wielu miejscach narrator wspomina o swojej tęsknocie „za większą dawką rzeczywistości" i alergicznej reakcji „na prefabrykowane dni w tym świecie, na tory rutyny, którymi podążaliśmy, przez które wszystko stawało się (...) przewidywalne".

Pyta, jak to możliwe, że okrutne i pełne bestialstwa czasy Szekspira i Cervantesa „osiągnęły taką pełnię? Czy to przez bliskość śmierci życie było silniejsze?", i marzy o tym, żeby – jak Gombrowicz – wytarzać się w rynsztoku: „Ach, gdybym tylko miał za sobą prawdziwie brudny i wywrotowy czas spędzony w portowej dzielnicy Buenos Aires, żył na samym dnie jak krab i bratał się bezwstydnie ze wszystkim, z czym tylko się zetknę, chętnie kogoś zabił, uderzając go kamieniem w czoło, co być może zrobił Rimbaud, tak jak on uciekł do Afryki i tam utrzymywał się z przemytu broni. Tak, gdybym przeżył cokolwiek innego niż siedzenie na hotelowym tarasie na Wyspach Kanaryjskich z dwójką maleńkich dzieci i ciężarną żoną".

Balansuje nieustannie między najwyższym diapazonem a przewijaniem pieluch i odbieraniem dzieci z przedszkola. Tak oto dowiadujemy się, że kiedy „jesień mijała, brzuch rósł", a „Linda zajmowała się wszelkimi możliwymi drobiazgami", Karl Ove czytał Spenglera; nieco później, trzymając uchwyt wózka i walcząc ze śliniakiem, nosi ze sobą Dostojewskiego. „Właśnie tam znajdowała się jasność" – komentuje. Zaraz po tym, gdy na plaży hotelowej

pomagał córkom przebierać się w stroje kąpielowe, łapczywie sięga po „Dzienniki" Gombrowicza.

Ostatecznie jednak to nie Dostojewski, Gombrowicz czy Proust, ale narodziny dziecka i poprzedzający je okres zakochania sprawiają, że staje się „absolutnie obecny w świecie i w sobie samym", wkrótce jednak intensywność istnienia znika, a „ów świat powoli zaczął matowieć".

W kanonie literatury Zachodu nie brakuje tekstów mężczyzn w wieku średnim, zadających sobie pytanie: „Co ja tu właściwie robię?". Knausgård wpisuje się w długą tradycję literatury wyznaniowej, do której należą św. Augustyn, Montaigne i Rousseau, Thoreau i Strindberg. Konstruowanie męskości wiąże się z drugim zasadniczym tematem tej powieści: ojcostwem. „Moja walka" to narracja o utracie ojca, o synowskim lęku przed powtórzeniem jego porażki, ale zarazem o byciu ojcem.

W istotnym akapicie narrator zastanawia się, jakim ojcem będzie jego starszy brat Yngwe. Świeżo założona rodzina Yngwego, argumentuje, to poligon doświadczalny, na którym będzie można badać trwałość przekleństwa pokoleniowego. Yngve okazuje się jednak świetnym i kochającym tatą. Sam Karl Ove w praktyce wzorcowo realizuje skandynawski model tatusia-mięczaka, jego refleksje naruszają jednak tabu zabraniające złości i irytacji na poczynania dzieci i kwestionowania ich absolutnego prymatu. W jednym z epizodów – jako świadomy swych obowiązków ojciec – Karl Ove udaje się z córką na zajęcia z rytmiki, gdzie ogarnia go poczucie całkowitego absurdu własnego istnienia, prowadzące go na skraj zapaści psychicznej.

Reakcja, postęp i ciało

Cykl Knausgårda to (co umknąć może czytelnikom spoza Skandynawii) powieść emigrancka. Duszący się w związku Karl Ove ucieka do Szwecji od swojej pierwszej żony, spotyka tam – poznaną wcześniej na kursie kreatywnego pisania – Lindę, zamieszkuje z nią w Sztokholmie, a wreszcie zakłada rodzinę i przenosi się do Malmö.

Społeczeństwo szwedzkie jest przy tym przedmiotem nieustannej irytacji, jawi się jako skrajnie zideologizowane, zakochane w sobie i oplecione mało widoczną, ale dławiącą siatką społecznych reguł i nakazów: „Ach, jak nienawidziłem tego małego pieprzonego kraju! W dodatku tyle tu zadufania! Wszystko, co tutejsze, jest normalne, wszystko, co inne – nienormalne. A jednocześnie z otwartymi ramionami przyjmują wielokulturowość i mniejszości! Biedni ci Murzyni, którzy przyjeżdżają z Ghany czy z Etiopii i muszą się zmierzyć ze szwedzką pralnią! Rezerwować czas na pranie z dwutygodniowym wyprzedzeniem i wysłuchiwać reprymend, jeśli zostawią skarpetkę w suszarce, albo witać mężczyznę, który z podszytą ironią życzliwością staje w drzwiach z tą cholerną torbą z Ikei i pyta: »Czy to przypadkiem nie należy do pana?«. Szwecja od siedemnastego wieku nie przeżyła wojny na swoim terytorium; jakże często przychodziło mi do głowy, że ktoś powinien dokonać tu inwazji, zbombardować budynki, zniszczyć ziemię, strzelać do mężczyzn, gwałcić kobiety".

„Moja walka" to narracja o utracie ojca, o synowskim lęku przed powtórzeniem jego porażki, ale zarazem o byciu ojcem.

Knausgård znakomicie oddaje nieuświadomioną groteskę zawartą w konwersacjach zamożnej, wykształconej szwedzkiej klasy średniej na temat ekologicznych słodyczy i wegetariańskiego przedszkola (eksperyment zakończono, bowiem dzieci uparcie wypluwały zdrową żywność, przetrwała natomiast idea kooperatywy przedszkolnej, w której każdy z rodziców musi odpracować darmowo dwa tygodnie), jej obsesji żywieniowych („Wyciągnięto na przykład kwestię procentowej zawartości mięsa w różnych rodzajach parówek") i swoistego pojmowania postępowości (kilka negatywnych uwag na temat stosowania bez potrzeby medycznej cesarskiego cięcia sprawia, że przez znajomych natychmiast zaklasyfikowany zostaje jako reakcjonista i kryptofaszysta).

Kolejnym, przewijającym się przez całą powieść tematem jest cielesność. We wbudowanym w ostatni tom eseju narrator stwierdza, że komedia „jest najbliższym prawdy i najbardziej realistycznym gatunkiem literackim, który wciąga wszystkie rzeczy i wszystkich ludzi w prawdziwy świat, w ciało i jego pozbawioną iluzji rzeczywistość", albowiem „przynosi ulgę, pokazując: oto, co naprawdę ludzkie". Cielesność dominuje w scenie dziewięciogodzinnego porodu, kiedy wśród masaży, krzyków i krwi pojawia się, przypominająca „krokodyla, warana", Vanja, pierwsza córka Lindy i Karla Ovego. Dominuje też w takich opisach umierania i rytuałów pogrzebowych w Księdze 1., rozpoczynającej się medytacją nad śmiercią: „Dla serca życie jest proste: serce bije, dopóki może. Potem się zatrzymuje. Prędzej czy później, tego czy innego dnia, ów tętniący ruch ustaje i krew zaczyna spływać w najniżej położony punkt ciała; tam się gromadzi, tworząc jakby niewielką sadzawkę, widoczną z zewnątrz jako ciemny, dość miękki obszar na coraz bledszej skórze; w tym czasie temperatura ciała spada, członki sztywnieją, a jelita się opróżniają. W tych pierwszych godzinach zmiany następują tak powoli i z taką nieuchronnością, że jest w nich coś niemal rytualnego, jakby życie kapitulowało według określonych zasad, czegoś w rodzaju *gentlemen's agreement*, porozumienia, które akceptują również wysłannicy śmierci, ponieważ zawsze czekają, aż życie się wycofa, zanim rozpoczną podbój nowego lądu. Ale podbój jest wówczas nieodwołalny. Nic już nie powstrzyma ogromnych rojów bakterii, które zaczynają się mnożyć wewnątrz ciała".

Medytacja ta staje się preludium do opisu ciała ojca narratora, przenoszonego z kostnicy szpitalnej na cmentarz; zamienia się ono w rzecz, staje się tym samym, co „lampy, walizki, dywany, klamki, okna". Owa fascynacja ciałem i łączące się z nią przerażenie sprawia, że sześciotomowy cykl Knausgårda czytać można nie tylko jako wielką powieść realistyczną, ale również jako komedię, w której główną rolę odgrywa śmierć.

© JAN BALBIERZ

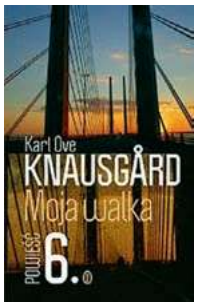

Karl Ove Knausgård **MOJA WALKA, KSIĘGI 1-6,** *przeł. Iwona Zimnicka, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014–2018*

Jedyne możliwe zamknięcie dramatu

DARIUSZ KOSIŃSKI

Na obwolucie tomu dramatów Jarosława Marka Rymkiewicza napisano, że „jego dramaturgia nadal czeka na nieuprzedzonego, twórczego reżysera". No to się doczekała.

Piotr Cieplak w ciągu niespełna roku wystawił dwa dramaty Jarosława Marka Rymkiewicza: „Porwanie Europy" (Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego, 7 kwietnia 2017 r. – prapremiera po 40 latach od publikacji!) i „Ułani" (Teatr Narodowy w Warszawie, 10 marca 2018 r.).

Cieplak niekiedy wchodzi w polemikę z tekstem autorskim, ale nigdy nie narzuca mu siłą własnych rozwiązań, nie używa sceny przeciwko niemu, nie traktuje jak pretekstu dla konstrukcji własnej. Odnawia i poszerza dyskusję o twórczości i postawie pisarza, którego bez żadnych wątpliwości uznać należy za jedną z najważniejszych postaci polskiego życia kulturalnego i intelektualnego naszych czasów. Jednocześnie wydobywa ich niejednoznaczność, zadając sobie i nam wszystkim tę zagadkę, której na imię Jarosław Marek Rymkiewicz.

Meandry i sprzeczności

Gdyby powstała kiedyś prawdziwie głęboka, niezależna myślowo i odważna książka o polskim życiu intelektualnym ostatnich dekad XX i pierwszych XXI w., to Jarosław Marek Rymkiewicz byłby jednym z głównych jej bohaterów. Przede wszystkim dlatego, że w swoim myśleniu idzie za własnymi pytaniami i potrzebami, podejmując decyzje (także bardzo kontrowersyjne), kieruje się własnymi wyborami, a nie intelektualnymi modami, środowiskowymi presjami czy trudno uchwytną, a tak przecież silną „atmosferą ideologiczną", regulującą, co wypada i można, a co naraża na ostracyzm. Rymkiewicz nie podlega ich władzy, choć w jego wypowiedziach i decyzjach można dostrzec ich wpływ negatywny. W tym znaczeniu, że chcąc się przeciwstawić modom i atmosferom wpada w sprzeczności i zdaje się schodzić z obranej drogi. Ale właśnie te sprzeczności, meandry drogi obranej, są w nim i fascynujące, i znamienne. Biografia intelektualna Rymkiewicza wydaje się tekstem szczególnie znaczącym i wartym uważnego odczytania i przemyślenia.

W tej biografii dramaty nie stanowią części kluczowej i najważniejszej. Swoją pozycję i autorytet Rymkiewicz zawdzięcza raczej poezji, a jeszcze bardziej eseistyce, łączącej skrupulatność badacza z pasją artysty i bojownika myśli. Nie zadowalał się nigdy akademickimi analizami, nie dawał się ograniczać polonistycznym metodologiom. Ryzykując niekiedy bardzo wiele, wzbudzając opór i polemiki, dobijał się do sedna tego, co w dawnym języku nazywałoby się losem i duchem wspólnoty.

Tą samą drogą podążał w swoich najgłośniejszych i ryzykownych esejach historycznych, od głośnych tomów „Wieszanie" (2007) i „Kinderszenen" (2008) po mające już nieco mniejszy zasięg i rozgłos – co nie znaczy: mniej ciekawe – książki „Samuel Zborowski" (2010) i „Reytan. Upadek Polski" (2013). Na ich recepcję wpływały już polityczne wybory autora, zdecydowane poparcie udzielone Jarosławowi Kaczyńskiemu i jego obozowi, którego „wieszczem" Rymkiewicz bywa nazywany.

Większość jego sztuk teatralnych powstała przed napisaniem najważniejszych książek. Jako dramatopisarz zadebiutował w roku 1957, ostatni ogłoszony dramat, „Dwór nad Narwią", opublikował w roku 1979. Ale to właśnie w tekstach teatralnych meandry i sprzeczności postawy i myśli Rymkiewicza ujawniają się w sposób szczególnie wyrazisty.

Maszyna farsohistoryczna

„Porwanie Europy" i „Ułani" to modelowe przykłady kompozycji dramatycznych spotykanych w całej twórczości komediopisarskiej Rymkiewicza. Model pierwszy zasadza się na seriach farsowych powtórzeń demaskujących mechanizm odartej z pozorów sensu i wyrwanej z kolein czasu historii, podczas gdy model drugi oparty jest na próbie przebicia się ku temu, co wydaje się pozahistoryczne – ku ciału, seksowi i płodzeniu.

PRZEMYSŁAW JENDROSKA

Jarosław Marek Rymkiewicz „Porwanie Europy", reż. Piotr

W „Porwaniu Europy" historia naszego kontynentu sprowadzona zostaje do poziomu burleski rozgrywanej nie przez ludzi, ale mechaniczne figurki. Hiperarystokratyczni Pompadurowie, przewyrafinowany książę Kensington i przedziko wschodni kniaź Spirydon kręcą się wokół córki Pompadurów, tytułowej Europy. Zmuszona przez rodziców do ślubu z Kensingtonem, woli nieokrzesanego, ale dużo bardziej seksualnie obiecującego kniazia mołdawskiego (swoją drogą, ten motyw kobiety pożądającej „dzikiego seksu" występuje u Rymkiewicza z niepokojąco mizoginistyczną regularnością). Szybko okazuje się, że cała intryga jest fikcyjną, pustą i bezcelową grą masek, w którą wtrąca się w końcu zirytowany widz – swojski prostak Kicio.

Kicio wkracza na scenę, by zaingerować w nużący go spektakl, ale wkrótce ulega mechanizmowi farsohistorii, by w finale stać się jeszcze jedną figurką – ani martwym, ani żywym, pozbawionym własnej woli i zdania miłośnikiem Europy. Historia to teatr śmierci – zdaje się mówić Rymkiewicz. Nic to, że farsowy i momentami nieodparcie śmieszny. Koniec końców zamęczy wszystkich i zamieni w trupy.

Jaka jest ucieczka z takiej historii? Ku młodości wiecznie żywej – odpowiadał w finale „Operetki" Gombrowicz (któ-

Cieplak, Teatr Śląski w Katowicach

KRZYSZTOF BIELIŃSKI / TEATR NARODOWY

Jarosław Marek Rymkiewicz „Ułani", reż. Piotr Cieplak, Teatr Narodowy w Warszawie

remu Rymkiewicz wiele zawdzięcza), wielbiąc nagie ciało Albertynki. Rymkiewicz też odsłania nagie ciała: Europy i Zosi w „Ułanach". Ale ciało nie uwalnia u niego od historii. Można wprawdzie odnieść wrażenie, że jej mechanizm się zacina, gdy przychodzi mu się mierzyć z pragnieniami ciała, z jego życiem przebiegającym w odrębnym rytmie. Ale po chwili okazuje się, że ciało też należy do historii, bo jest mrocznym obiektem jej pożądania i właśnie jako taki wprawia ją w ruch.

W historiach Rymkiewicza chodzi o to, kto będzie mógł posiąść czyje ciało, najczęściej ciało dziewicy z polskiego dworku, jakiejś Zosi lub Basi. To ona, młoda kobieta, funkcjonuje w tych dramatach jako figura życia, którego historia pragnie. Schemat jest seksualnie-wampiryczny i nie wydaje się przypadkiem, że właśnie jako taki ujawnia się wprost w ostatnim dramacie Rymkiewicza – „Dworze nad Narwią". W jego finale próba złączenia upiorów przeszłości z młodokobiecym życiem kończy się katastrofą – tytułowy dwór zapada się jak cerkiew w „Liliach". Nie da się życia połączyć ze śmiercią.

Ergo exegi

Co zatem robić? Co znamienne, w obrębie samej kompozycji dramatycznej Rymkiewiczowi nie udaje się udzielić na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Można wprawdzie sugerować, że „Ułani" to krytyka polskiego niedoformia ujętego w hybrydę „żabobociana", którego w swoim dziwnym wierszu opiewa Lubomir. Albo twierdzić, że Zosia w końcu przypada Grafowi, bo tylko on, choć obcy, ma dość energii i woli życia, a więc że to właśnie owa energia i owo życie pełnią życia to lekarstwa, jakie się nam podsuwa.

Jednak ani w tekście, ani tym bardziej w zmieniającym akcenty przedstawieniu Cieplaka nie jest to wcale takie oczywiste. Rymkiewicz ma niezaprzeczalny talent dramatopisarski, więc i wyczucie właściwej dramatowi wielogłosowości oraz wieloperspektywiczności. To właśnie ono nie pozwala mu na zajęcie jednoznacznego stanowiska. Zatrzymuje w końcu dramat, zdejmuje maskę (co ciekawe, jest to maska dawnego stalinisty) i tuż przed końcem ostatniej ze swoich komedii, „Dworu nad Narwią", wygłasza odautorski komentarz o charakterze spóźnionej przedmowy. Mówi w nim m.in. takie słowa: „przeszłość – i to jest moje serio – jest naszej krwi naprawdę złakniona, bo tylko my tę przeszłość krwią naszą ożywić możemy, a i my – i to jest też sprawa serio – krwią przeszłości naszej, duchem przeszłości naszej ciągle się żywimy. (...) Nasz problem jest dramatyczny: jak się od ciężaru przeszłości, czy ciężaru tradycji naszych uwolnić, ale tak, żeby się od niego nie uwolnić, (...) jak ciężar ten nieść i przenieść w przyszłość, tak żeby nie był on nam ciężarem, żeby ten ciężar stał się nam skrzydłami. Aż nas zjadaczy chleba: ja w to bardzo wierzę". Wprawdzie zaraz potem pada deklaracja codziennego konserwatyzmu, polegającego na życiu żytym bez ideologii, ale kończąca komedię katastrofa tę deklarację podważa.

Podważają ją też leżące poza granicami twórczości dramatycznej dzieła i czyny Rymkiewicza. Życie, które pleni się i płodzi w jego ogrodzie w Milanówku, zmierza do nieuchronnej śmierci. Codzienności rzezi przeciwstawić się można jedynie podejmując czyn o charakterze radykalnego zamachu na jej śmiertelną logikę, czyn właściwie straceńczy – taki jaki w odczytaniu Rymkiewicza podjęli powstańcy warszawscy i Samuel Zborowski. Taki, jakiego scenę dostrzegł poeta na Krakowskim Przedmieściu wiosną 2010 r.

Czyn ten nie ma być powtórzeniem czynów przeszłych (bo takie powtórzenie zamienia historię w farsę), lecz powinien stanowić wielką kreację, właściwie artystyczną, której wielkość mierzy się też jej swoistym szaleństwem, odmową przestrzegania praw „tego świata", przynależącego śmierci. Rymkiewicz wiele tu zawdzięcza Słowackiemu, którego przecież tak znakomicie i uważnie czytał. W jego ewolucji dostrzec można to samo przejście co u tamtego, który nie mogąc wywikłać się z wielości głosów kosmicznego dramatu, zaczął pisać rapsody, by w nich wyjaśniać konieczność i sens męki ludów.

W tym przejściu teatr dramatyczny z jego wielogłosowością zostaje zamknięty. Jego miejsce zajmuje kreacyjny gest wyniesionego nad tłum performera. Tego gestu nie wolno podawać w wątpliwość, bo poza nim już nic, tylko noc i ginące na autostradzie jeże.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Jarosław Marek Rymkiewicz **PORWANIE EUROPY,** *reż. Piotr Cieplak, Teatr Śląski w Katowicach, premiera 7 kwietnia 2017 r.*

Jarosław Marek Rymkiewicz **UŁANI,** *reż. Piotr Cieplak, Teatr Narodowy w Warszawie, 10 marca 2018 r.*

PIOTR KŁOSEK / FOTONOVA / EAST NEWS

Zbigniew Łapiński, Jacek Kaczmarski i Przemysław Gintrowski, 1991 r.

Straż tylna

PIOTR STANKIEWICZ

Pamięć o Jacku Kaczmarskim żyje. Są ulice jego imienia i są koncerty ku czci. Ale jego twórczość musi jeszcze czekać na swój czas. Jak zawsze, nie ściga się z nikim.

Stańczyk-Gintrowski śpiewał przed laty w piosence tria Kaczmarski-Gintrowski-Łapiński: „Czuję, jak blednie moja twarz błazeńska / Właśniem przeczytał o stracie Smoleńska / Ale gdzie Smoleńsk, gdzie Kraków". Prorocze słowa o katastrofie smoleńskiej? Na pewno prorocze w jednym: losy legendarnej trójki nierozerwalnie łączą się z losem Polski. Data śmierci Kaczmarskiego (10 kwietnia 2004 r.) przepowiedziała, jak na poetę przystało, ważkie dla kraju zdarzenia, a i śmierć Zbigniewa Łapińskiego przed ledwie tygodniem wypadła 2 kwietnia, a więc w 13. rocznicę śmierci Jana Pawła II. Jeśli komuś jeszcze mało tych znaków, to warto zauważyć, że Łapiński umarł w Poniedziałek Wielkanocny, a Kaczmarski – w Wielki Piątek. Tak, mieli wielką słabość do symboli.

Dana nam pamięć

Odbiór jego piosenek miał różne etapy i skale. Pierwszą i największą sławę zyskał Kaczmarski na przełomie lat 70. i 80., grając z Gintrowskim i Łapińskim. Pozycję symbolu i legendy utrwaliły solowe lata 80., kiedy obecny był w Polsce stanu wojennego na przemycanych kasetach i falach Radia Wolna Europa. Później przyszły pierwsze, tryumfalne trasy koncertowe po Polsce początku lat 90. (czasem w duecie z Łapińskim, czasem również z Gintrowskim). Status gwiazdy był jasny i klarowny. Potem obraz zaczął się komplikować. Z jednej strony, Kaczmarski już w III RP wykształcił sobie nowe grono wiernych słuchaczy, którzy czytali i słuchali wszystkiego, co napisał i wyśpiewał. Z drugiej strony, naturalną koleją rzeczy, większość miłośników jego opozycyjno-solidarnościowej legendy tych nowych rzeczy już nie słuchała, zachowując jednak – co bardzo charakterystyczne – sentyment dla jego wcześniejszej twórczości.

Nie jest więc prawdą, że Kaczmarski się w wolnej Polsce skończył (dla wielu ludzi dopiero wtedy się naprawdę zaczął). Ale jest prawdą, że zasięg jego oddziaływania zmalał. Dla bardzo wielu Polek i Polaków średniego i starszego pokolenia Kaczmarski żyje nadal jako autor „Obławy" (z 1974 r.), „Murów" (1978) czy „Naszej klasy" (1983 i 1987), nie istnieje natomiast – i nigdy nie istniał – jako autor „Marcina Lutra" czy „Przepowiedni Jana Chrzciciela". Te piosenki, napisane po roku 1989, mają swoich wyznawców, ale jest ich wyraźnie mniej.

Miał do tej sytuacji stosunek ambiwalentny. Podkreślał, że woli mniejsze grono wiernych słuchaczy od odbioru szerszego,

ale zredukowanego do filtra politycznego. Zarazem jednak rozumiał, że rola dawnego barda opozycji jest w politycznie wolnym kraju specyficzna, a postać barda jako takiego – dwuznaczna w nowych realiach kulturowych. Rozumiał to – i w III RP długo miejsca nie zagrzał. Na dobre nie wrócił do Polski nigdy: ledwie przeprowadził się nad Wisłę z Monachium, a już wyjechał do Australii, ledwie z Australii do Polski wrócił, a już umarł.

Rekonfiguracja

Nie jest tak, że Kaczmarski nie miał o czym śpiewać, skoro mury już runęły, i że zainteresowanie jego twórczością spadło tylko dlatego, że straciła rację bytu walka, do której zagrzewał.

Uprawiany przez Kaczmarskiego model sztuki, czyli *chanson de texte*, śpiewana przy akompaniamencie gitary piosenka o ważkich słowach i nieusuwalnie egzystencjalnym wymiarze, jest z dzisiejszego punktu widzenia zjawiskiem kultury coraz bardziej „wschodniej". Rzecz jasna, śpiewać pod gitarę można pod każdą szerokością geograficzną, ale zjawisko barda, czyli, nieco przejaskrawiając, brodatego mężczyzny z gitarą, który śpiewa o rzeczach posępnych, a przynajmniej poważnych, jest jednak fenomenem typowym dla Europy Środkowo-Wschodniej. Istnieją oczywiście bardowie francuscy, Brassens czy Brel, a tradycja podobnej pieśni w języku angielskim została nawet półtora roku temu uhonorowana Nagrodą Nobla. Istnieje jednak wyraźna różnica między tymi zachodnimi tradycjami a polskim Kaczmarskim, radzieckim Wysockim czy czeskim Krylem. „To moja droga z piekła do piekła" i „*Imagine there's no heaven*" to dwa różne światy, mimo że obie wypowiedzi są, formalnie rzecz biorąc, piosenkami.

„Wschodniość" uprawianej przez Kaczmarskiego sztuki była względnie przezroczysta tak długo, jak długo Polska była politycznie i kulturowo zorientowana na Wschód. To jest element, o którym nie wszyscy dzisiaj chcemy pamiętać: PRL obrócony był w stronę Rosji nie tylko odgórnym przymusem. Polscy artyści szeroko czerpali z kultury rosyjskiej, studiowali w Moskwie, wszyscy słuchaliśmy Wysockiego, Okudżawy czy Anny German. Kaczmarski był na tym tle naznaczony dodatkowym paradoksem. Uprawiał wschodnią sztukę... ale był zarazem człowiekiem „z Zachodu". Całe lata 80. spędził na emigracji (głównie we Francji i w Niemczech).

Zarazem jednak, śpiewając z Zachodu, Kaczmarski nie śpiewał przecież o Zachodzie. Nie ma w jego piosenkach nic o Madonnie czy Nirvanie, nic o Baader-Meinhof czy reformach epoki Thatcher. Kaczmarski był amalgamatem Wschodu i Zachodu. Czy jeszcze inaczej: Wschodem chwilowo autoryzowanym przez Zachód i go udającym – ale udającym tylko trochę.

Obroty powielaczy, kapitału i bioder

Ten obraz znacznie się skomplikował po 1989 r. Bard i jego pieśni stały się nagle tylko jedną możliwością z wielu. W szczególności model „barda w swetrze, z gitarą i ciężkim tekstem" przestał być oczywisty dla ludzi młodych, czyli miłych sercu każdego artysty. 14 lat od śmierci Kaczmarskiego to już jest cała epoka.

Na scenę weszło zupełnie nowe pokolenie, a żeby pokazać różnice w odbiorze, warto zrobić pewien eksperyment myślowy. Weźmy rap. Gatunek muzyki, z którego Kaczmarski podkpiwał sobie na ostatniej płycie („Przyśpiewka bylejaka o europejskości Polaka"). Jest niewyobrażalne, żeby Kaczmarskiego zaczęli masowo słuchać nastolatkowie dzisiejsi, ci, którzy słuchają na co dzień raperów Taco Hemingwaya i Quebonafide'a.

Pokoleniu dorastającemu w latach 80. mogły imponować podmioty liryczne, które „siedzą nad bimbrem", gdy „wolno się kręci powielacz". Pokolenie dorastające dzisiaj woli słuchać raczej o szprycerze i „biodrach, które kręcą się jak wosk i przejmują salon" z piosenki Taco.

Różnica jest niezmierzona, estetyczna, ale nie tylko – to już jest zasadnicze przesunięcie wrażliwości. Jest przecież równie niewyobrażalne, żeby w piosenkach Kaczmarskiego, tych, które uczyniły go legendą 40 lat temu, znalazły się dywagacje o tym, ile „siana" czy „koła" zrobiła która płyta, albo by padły tam wersy takie jak „suko, stać mnie".

Programowa anachroniczność

Jego piosenki są nieaktualne, bo są po prostu stare – Kaczmarski nie miał szansy opisać ostatniego 15-lecia, bo już go po prostu nie było.

Przede wszystkim jednak Kaczmarski był artystą anachronicznym już w punkcie wyjścia. Sam siebie tak zresztą określał. Jego twórczość, jego sposób odwoływania się do kultury od samego początku były zawsze o krok (celowy!) wstecz wobec tego, co aktualnie było dostępne. Nie ma przecież w jego utworach odwołań do kultury współczesnej i popularnej. Najmłodszym artystą obecnym w jego piosenkach był bodajże Bob Dylan. I jedynym do dzisiaj zyjącym.

Kaczmarski reprezentował „stary, dobry świat", w którym nawiązania kulturowe robiło się do obrazów Boscha (piosenka „Mistrz Hieronimus"), pieśni Villona („Testament '95") i filmów Andrieja Tarkowskiego. To dla Kaczmarskiego niezwykle charakterystyczne: jego piosenki, owszem, są naładowane po brzegi aluzjami i odwołaniami do innych tekstów kultury, ale zawsze jest to kultura choć trochę „dawna" i „wyższa", wzięta z czasów, kiedy podział na wyższą i niższą miał jeszcze jakiś sens. Ironia, śmieszkowanie, trolling, od których aż kipi kultura współczesna, są mu najzupełniej obce. Twardo stoi po stronie swoiście rozumianego *decorum*, które z dzisiejszej perspektywy wydaje się coraz bardziej arbitralne.

Nie przypadkiem więc może się wydawać artystą znacznie bardziej dawnym, niż na to wskazuje data śmierci. To prosta konsekwencja jego artystycznych założeń.

Przeciwko władzy, przeciwko mainstreamowi

Kaczmarskiego pamiętają wszyscy ci, którzy pamiętają czasy Solidarności. Potrafi nawet łączyć najjaskrawsze podziały polityczne, czego przykładem jest artykuł wspomnieniowy z 2014 r., napisany wspólnie przez braci Jacka i Jarosława Kurskich.

Odbywają się też coraz to nowe koncerty i festiwale mu poświęcone (lubelskie Metamorfozy Sentymentalne, bydgoskie Źródło Wciąż Bije, kołobrzeska Nadzieja czy podkrakowski Kaczmarski Underground). Wychodzą nowe wydania jego poezji i prozy, wychodzą książki o nim, wychodzą wciąż nowe kombinacje starych nagrań. Piosenki w wersji reggae nagrał zespół Habakuk, a Strachy na Lachy, bardziej udanie, w swoim klimacie miejskiego folk punka.

Istnieje też zjawisko zupełnie szczególne, a mianowicie są zespoły i wykonawcy, którzy specjalizują się wyłącznie, lub niemal wyłącznie, w repertuarze Kaczmarskiego. Taki model realizował przez długie lata Kwartet Pro Forma, występujący dzisiaj z Kazikiem. Trio Łódzko-Chojnowskie, Triada Poetica czy Mateusz ↦

↦ Nagórski zamieniają w piosenki te wiersze Kaczmarskiego, do których muzyki nie napisał sam autor. Są też wykonawcy tacy jak Piotr Kajetan Matczuk czy Eliza Banasik oraz duety Wilgocki-Gąsior i Leszkiewicz-Śledziecka. Wszyscy oni regularnie występują i mają swoją publiczność – naprawdę trudno jest powiedzieć, że twórczość Kaczmarskiego jest zapomniana. Zwłaszcza że nazwano właśnie jego nazwiskiem ulicę w warszawskim korporacyjnym Mordorze.

Żywa pamięć i pasja do Kaczmarskiego jest zarazem niezbywalnie tradycyjna. Koncerty jego piosenek mają często walor dźwiękowo-wizualnej rekonstrukcji historycznej. Miłość do tej poezji okazuje się często elementem konserwującym, zaczyna być skansenem lat minionych. Nie jest przypadkiem, że jeden ze wspomnianych festiwali nazywa się Kaczmarski Underground, że koncerty te odbywają się czasem w kościołach, na zamku w Liwie albo przy okazji jakiejś szacownej rocznicy. I nie jest też przypadkiem, że dzisiejsi wykonawcy jego piosenek drobiazgowo, niekiedy aż do dalekiej przesady, kopiują jego zachowanie sceniczne, wygląd, strój gitary i głosu, manierę śpiewania i ton mówienia. Ta pamięć niewątpliwie żyje, ale bez aktualizacji.

Warto jednak pamiętać, że rzeczy stają się dziś retro dużo szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Jest więc absolutnie do pomyślenia, że za dekadę będzie wielka moda na takie piosenki, a ich staromodność okaże się najwyższym atutem. Kaczmarski, artysta anachroniczny z założenia, będzie nieuchronnie przegrywał z bieżącą produkcją kulturalną, szczególnie z tą, która jest tylko aktualna, to znaczy której sens sprowadza się do tego, że trafia w swój czas. Nic nie starzeje się jednak szybciej niż nowoczesność: sporo z olśnień dzisiejszych straci swój blask za zaledwie kilka lat, a Kaczmarskiemu przez te lata nic przecież nie ubędzie. Wyjściowa anachroniczność sztuki, jaką uprawiał, skazuje go na defensywę na froncie krótko- i średnioterminowym, ale daje szansę obrony w perspektywie dekad. Na YouTubie jego piosenki są i będą dostępne, jak były.

© PIOTR STANKIEWICZ

GRAŻYNA MYŚLIŃSKA / FORUM

Zbigniew Łapiński, 2015 r.

Pożegnanie Tytana

ROBERT KASPRZYCKI

2 kwietnia w nocy, we śnie, odszedł od nas Zbigniew Łapiński. Zbyszek. Łapa. Akompaniator, muzyk, kompozytor. Postać i autorytet.

Los sprawił, że w oczach świata zastygł niczym na okładce płyty „Mury w Muzeum Raju" tria Gintrowski-Kaczmarski-Łapiński, jednak dla środowiska zajmującego się piosenką autorską, poetycką, „nieobojętną", był jednym z Tytanów, na których barki musisz się wspiąć, zanim stworzysz coś własnego.

Był Zbyszek akompaniatorem i muzykiem niezwykłym, to dzięki niemu trio w składzie trzy głosy, dwie gitary klasyczne i fortepian nie brzmiało jak podrzędny kabarecik, tylko jak bez mała Iron Maiden czy Metallica. Furia głosów, cwałująca gitara Kaczmarskiego, szeroko grane „łopaty" Gintrowskiego dyscyplinowane były fortepianem Łapińskiego, który z jednej strony kładąc potężne akordy, z drugiej dogrywając inkrustacje sprawił, że gnali niczym pociąg pancerny „rozpieprzający komunę w drebiezgi". Był kompozytorem niezwykłym, ponieważ stojąc u boku dwójki wybitnych melodyków potrafił usunąć się w cień i stworzyć dla ich kompozycji odpowiednie środowiska muzyczne. Jednocześnie odciskając tam, gdzie trzeba, własny ślad kompozytorski: piekącym sarkazmem „Czerwonego autobusu", galopadą „Samosierry", tanecznym pląsem „Roku 1905" czy tkliwą słodyczą „Wigilii na Syberii".

Trudno docenić, jak wiele dawały nam spotkania z nim na scenie czy – zwłaszcza – poza nią, gdzie jawił się jako szorstko ciepły, sarkastycznie czuły, piekielnie złośliwy komentator, który właściwie nie musiał nic mówić, kosym spojrzeniem czy pobłażliwym grymasem potrafiąc wyrazić, co sądzi o danym wykonawcy czy zjawisku. Był prawdziwie niedzisiejszą postacią – odważną, bezkompromisową, zdolną do wygłaszania sądów niepopularnych i niewygodnych. Choć szybko skracał dystans, nie stawał się bynajmniej żadnym bratem łatą, nie miał w sobie nic z franciszkańskiego spokoju, w jego egzotycznej urodzie Greko-Ormianino-Żyda, w wyrazistej gestykulacji, w głosie pełnym pasji była ciągła gotowość do sporu o kwestie istotne, o każdą linijkę, każdą nutę. Z jego losu przebijała nauka, nadzieja, że można przekuć własne demony w dobro, w energię, w pracę – czego dowodem płyty nagrywane nie tylko ze wspomnianym triem, ale także współpraca z Czerwonym Tulipanem, Mirosławem Czyżykiewiczem, Grzegorzem Tomczakiem czy Kubą Sienkiewiczem.

Co ważne – każde z nim zetknięcie dawało możliwość obcowania nie tylko z żywą legendą (co zdaje się trochę Zbyszka bawiło, bo jeśli już, to bardziej czuł się żywą niż legendą), ale także z żywym człowiekiem, z zawodowcem, dla którego koncert był nie tyle wykwitem artystycznej wrażliwości, co robotą, którą należało wykonać rzetelnie i uczciwie. Przebijała w tym jakaś inżynierska etyka profesjonalisty – był w końcu absolwentem Politechniki Warszawskiej – i piekielna pracowitość, gdyż skoro już widz chce poświęcić swój czas, daj mu pięćset procent mocy.

Dla tych, którzy byli jego „kolegami z pracy", nie była zatem zaskoczeniem wieść o wylewie, który przeżył w 2005 r. Po wylewie zniknął, zaszył się, zbierał siły, wreszcie znów zaczął grać, pracować, nawet po operacji serca walcząc o własną twórczość, otwarcie wyrażając niezgodę na to, że piosenki zaproponowane w przemyślanej przez niego formie pojawiają się jako wydumane eksperymenty. Jak to ujął w oficjalnym komentarzu, zamieszczonym na stronie internetowej: „Moja wieloletnia przyjaciółka powiedziała, że jeśli będę zabraniał wykonywać swoje utwory w cudzych aranżacjach, moja muzyka zginie. Nie zgadzam się z takim podejściem. Uważam, że mam prawo jako twórca walczyć o to, aby moja muzyka była przekazywana ludziom w takiej formie, w jakiej ja chcę. Jeśli moja muzyka ma przetrwać, to na pewno nie dlatego, że ktoś pozmienia moją twórczość, lecz dlatego, że pewien rodzaj wrażliwości, który w niej jest, trafi do ludzi, którzy w podobny sposób odczuwają rzeczywistość".

Bardzo nam Ciebie będzie brak, Zbyszku. ©

WARTO ZOBACZYĆ W TV [14 – 20 IV]

1. Gomorra

Serial, reż. Claudio Cupellini, Francesca Comencini, Włochy/ Niemcy 2017, sezon III, odc. 1, Cinemax, 14 IV, 20.00, 17 IV, 00.30, 22.05

Na początku była głośna książka Roberta Saviana, potem nagradzany film Mattea Garronego, a od 2014 r. popularny serial kryminalny. Przed nami trzeci sezon opowieści o tym, jak funkcjonuje neapolitańska kamorra – czyli barwne typy, wielkie namiętności i nieustająca walka o władzę.

2. La Chana

Dokumentalny, reż. Lucija Stojevic, Hiszpania/ /Islandia/USA 2016, Canal+ Discovery, 16 IV, 13.50

Dlaczego Antonia Santiago Amador, jedna z najwybitniejszych tancerek flamenco, zrezygnowała z kariery, będąc u szczytu swych możliwości? Film z udziałem 70-letniej dziś gwiazdy śledzi jej burzliwą biografię, która zawsze była ściśle związana ze środowiskiem katalońskich Cyganów i pełna jest zaskakujących zwrotów.

3. Krawiec

Teatr TV, reż. Michał Kwieciński, Polska 1997, TVP1, 16 IV, 20.35

Dramat Sławomira Mrożka napisany został w 1964 r., ale przeleżał w szufladzie kolejnych 13 lat. Tytułowy krawiec to aspirujący do wielkiej sztuki konformista i pochlebca. W rolach głównych wystąpili Andrzej Seweryn, Krzysztof Globisz i Jan Frycz, zaś autorem zdjęć do spektaklu jest niedawno zmarły znakomity operator Krzysztof Ptak.

4. Arthur Miller: pisarz

Dokumentalny, reż. Rebecca Miller, USA 2017, HBO, 19 IV, 22.10, HBO2, 20 IV, 22.40

Amerykańska aktorka i reżyserka („Ballada o Jacku i Rose") tym razem opowiada o swoim ojcu, twórcy m.in. „Śmierci komiwojażera" i „Czarownic z Salem". Do stworzenia mniej oficjalnego portretu Millera posłużyły jej materiały filmowe kręcone na przestrzeni lat w ich rodzinnym domu z udziałem krewnych i przyjaciół. Tłem tej opowieści są przemiany społeczno-polityczne powojennej Ameryki.

Lament z sutereny

ANITA PIOTROWSKA

Paweł Sala jest do bólu radykalny. Jego szwaczki nie wywołają rewolucji. Ich los się nie odmieni. Są skazane na egzystencjalny nihilizm.

MAGDALENA GALKA / GALKAIMAGES / ALTER EGO

Kadr z filmu „Niewidzialne"

Kiedyś słowo „teatralny" brzmiało dla ludzi kina – scenarzystów, reżyserów, aktorów – niczym obraza. „Teatralne" znaczyło: sztuczne, nieprawdziwe, przesadne. Dziś, po ostentacyjnie „teatralnych" filmach Petera Greenawaya, w dobie coraz bardziej „filmowych" spektakli, oba języki się przemieszały. Powstają dzieła wymykające się takiej klasyfikacji. Przed kilkoma laty było to „Między nami dobrze jest" Grzegorza Jarzyny, czyli swoisty „teatr w kinie". Dziś mamy „Niewidzialne" Pawła Sali – wyrosłe z teatru (scenariusz jest przeróbką sztuki pt. „Szwaczki" tego samego autora), ale będące również czymś z pogranicza. Kamera burzy tu czwartą ścianę, rozbija jedność czasu, miejsca i akcji, a plan filmowy zamienia w scenę, na której tragedia o zamkniętych w suterenie pracownicach spotyka się z brawurową czarną komedią, przesiąkniętą babskim świntuszeniem.

Bohaterki Sali nigdy nie miały w ręku kart płatniczych, oszczędzają na znaczkach i biletach, żywią się zupkami instant. W zagrzybionej szwalni produkują brzydkie torby, za które nikt im nie zapłaci, a już na pewno nie w terminie. Niewidzialne i niesłyszalne dla świata, wystukują na maszynach swoje prywatne telegramy donikąd. Ale jak one brzmią!

Przed nami trzy kobiety w różnym wieku. Tworzą one jedyny w swoim rodzaju muzyczny tercet, wyśpiewując swój codzienny poemat o życiu zdegradowanym, złożony ze sprośnych rymowanek, filozoficznych rewelacji, wzajemnych przekomarzań i złorzeczeń na los. Odurzone alkoholem i butaprenem, ranią uszy młodego Krojczego (w tej roli debiutant Paweł Dobek) – nadwrażliwca i artysty, absolwenta filozofii, który reprezentuje tu być może samego reżysera. Bo szwaczki są w „Niewidzialnych" nie tylko ofiarami: niewolnicami dzikiego kapitalizmu, „robotami" mechanicznie wykonującymi swoją pracę, skrzywdzonymi przez mężczyzn matkami, żonami, kochankami. Mają też w sobie żarłoczną kobiecość, więc patrzymy na nie, jakby były po części męską projekcją. „Nie chcę, żebyś mnie sobie przywłaszczał" – mówi w pewnym momencie Szwaczka, w której Krojczy dopatruje się wcielenia nieżyjącej matki. Oto jeden z kluczy do odczytania tego filmu.

Po świetnie przyjętym debiucie filmowym Sali, „Matka Teresa od kotów" (2010), pojawią się zapewne pytania, czemu służy ekranizacja sztuki, przez cały czas balansująca pomiędzy filmowym naturalizmem a teatralną umownością. Czy nie można było poprzestać na teatrze telewizji? Choć „żywa" kamera Arkadiusza Tomiaka zdecydowanie wyłamuje się z telewizyjnej konwencji, to jednak film na każdym kroku przypomina o swym scenicznym pochodzeniu: rytmem dialogów i monologów, nadekspresyjną muzyką i studziennymi odgłosami spoza kadru czy zaciemnieniami ekranu przypominającymi teatralne antrakty. Również postać Marii Miracle (Aleksandra Popławska), która trzykrotnie zstępuje do szwalni z aseptycznego świata komercyjnych telewizji i szklanych wieżowców, posiada rodowód *stricte* teatralny.

Pytanie o sens przeniesienia dramatu na ekran będą jednak stawiać przede wszystkim teatrolodzy i teatromani, czyli ci, którzy mieli okazję widzieć kiedyś spektakl na scenie. Dla pozostałych „Niewidzialne" mogą być intrygującym doświadczeniem filmowym. Również dlatego, że dotykając tematu wykluczenia, prekaryzacji czy upodlenia współczesnych pariasów i pariasek, Sala nie uprawia ani publicystyki, ani pogardliwej „smarzowszczyzny". Jest do bólu radykalny, a zarazem potrafi wsłuchać się w swoje bohaterki i spojrzeć na świat ich oczami.

W przeciwieństwie do Witkacowskich szewców, dzisiejsze szwaczki nie wywołają żadnej rewolucji. Ich los się nie odmieni, bo rządzi nim jakiś społeczno-biologiczny determinizm, który z czasem staje się egzystencjalnym nihilizmem. W wersji filmowej nabiera on jednak szczególnej dosłowności. Zdechły kot, dziecko zamknięte w klatce czy „okno życia" przestają być w „Niewidzialnych" symbolem, stają się brutalnym konkretem. Lament nad „zbędnością istnienia" sfilmowany w zbliżeniu pozostawia nas w stanie jeszcze większej bezradności i beznadziei. Przed upadkiem w otchłań ratują nas przede wszystkim wyborne aktorki: Sandra Korzeniak, Halina Rasiakówna, Natalia Rybicka. Zwłaszcza dwie pierwsze, znane głównie z kreacji teatralnych, wnoszą na ekran zupełnie nową jakość. To one sprawiają, że ponury traktat o systemowym upodleniu, ludzkiej rozpaczy i piekle kobiet nabiera chwilami intensywniejszych barw, promieniuje dziką fantazją i wisielczym humorem. To dla nich, mam wrażenie, powstał ten film. Ale nie tylko dla samych aktorek warto go zobaczyć. ©

NIEWIDZIALNE – *reż. Paweł Sala. Prod. Polska 2017. Dystryb. Alter Ego Pictures. W kinach od 13 kwietnia.*

JAN

Klata: *Stopy wody pod kilem!*

Po gruntownym zreformowaniu polskiego życia teatralnego, kinematografii oraz muzealnictwa minister Gliński postanowił wypłynąć na szersze wody. Chodzi o łódź. Biało-czerwoną łódź, rozsławiającą nas, Polaków, głoszącą polskość niepodległości, łódź wbrew sztormom wrażych antypolonizmów zawijającą do stu portów. Łódź żaglową, biało-czerwoną trzeźwą odpowiedź na psychodeliczną żółtą łódź podwodną, a nawet na trącący myszką, mocno przereklamowany pancernik Schleswig-Holstein. Jest to śmiałe posunięcie owianej zasłużoną sławą Polskiej Fundacji Narodowej, a zarazem kolejna po zasileniu Fundacji Czartoryskich ministerialna inwestycja w przyszłość. Nawet dama z łasiczko-gronostajem blednie na tle jachtu, tego jachtu.

Pomysł jest równie znany i przekonujący, co – dajmy na to – wizjonerski: Mateusz Kusznierewicz w – dajmy na to – sztormiaku, z długą brodą odwiedza – dajmy na to – szkołę w Kapsztadzie i w – dajmy na to – 99 innych portach, a oprócz tego walczy w regatach. Wszystko w ramach stulecia – dajmy na to – niepodległości, promowanego rejsem dookoła globu, za – dajmy na to – 20 mln mniej więcej z Polskiej Fundacji Narodowej. Spontaniczna akcja z potencjałem, bez konkursu, bez przetargu, nie ma co się krępować w realiach płynnej ponowoczesności. Dla Polski. Dajmy na to! Fajnie, każdy Polak przyklaśnie, ale mam jeszcze propozycję bonusową: żeglarz Kusznierewicz na dzień dobry powinien pyknąć szybką rekonstrukcję bitwy pod Oliwą (szybką, bo Oliwa to jednak nie Lepanto). Zaliczywszy od razu wszystkie nasze bitwy morskie – mógłby już po prostu śmigać po morzach i oceanach, realizując swoją pasję w ramach ministerialnej wizji.

Na temat pełnej specyficznego polotu działalności Polskiej Fundacji Narodowej wylano już morze inkaustu, i nie bez kozery, i nie dziwota. Ja tylko chciałem dodać wyrazy podziwu dla pana Świrskiego (medialnej twarzy PFN), który w zgoła nieprawdopodobny sposób w kolejnych publicznych wystąpieniach i wywiadach potrafi wcielać w życie motto: „Hej, bo wesoły uśmiech w czas burzy jest pogodą!". Oprócz tego moją uwagę w całej tej chwalebnej fantasmagorii marynistycznej przykuł jeden maciupeńki detal, niby szczególik, ale jednak znaczący: oto minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński, wpływając na suchego przestwór oceanu i broniąc wychowawczego, patriotycznego rejsu skierowanego do młodzieży, miał zadeklarować: „biorę odpowiedzialność za ten projekt".

Niesamowite. Mogę się mylić, ale dotąd nie słyszałem, żeby wicepremier Gliński powiedział, że za coś bierze odpowiedzialność. ©

Lektor: *Żarty i głębsze znaczenie*

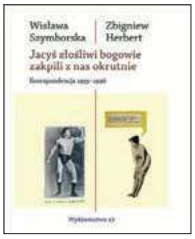

▪ *Wisława Szymborska, Zbigniew Herbert*
JACYŚ ZŁOŚLIWI BOGOWIE ZAKPILI Z NAS OKRUTNIE. KORESPONDENCJA 1955–1996
Opracowanie edytorskie Ryszard Krynicki. Wydawnictwo a5, Kraków 2018, ss. 168

Schyłek roku 1955, odwilż za progiem, pracująca w krakowskim „Życiu Literackim" Szymborska zwraca się do „Szanownego Kolegi" Herberta z prośbą o wiersze. Redakcja przygotowuje prezentację poetów, których debiuty książkowe ukażą się niebawem, każdego przedstawi krytyk lub starszy poeta. „Was – pisze Szymborska – chciałby omówić kol. Błoński".

Herbert wiersze przysłał, kolega Błoński omówił, „prapremiera pięciu poetów" (Białoszewski, Czycz, Drozdowski, Harasymowicz, Herbert) przeszła do historii literatury polskiej, a pisany urzędowym językiem list dał początek zupełnie już nieurzędowej korespondencji, pełnej stylizacji i językowych żartów. „Drogi Prokonsulu! To, że myślisz o mnie i listy do mnie ślesz, jest dla serca mego balsamiczną pociechą"; „Naj / droższy / lepszy Zbyszku! Jak widzisz odczepić się od Ciebie nie mogę" (Szymborska). „Mój Księżycu / Luno moja, nie nie nie odczepiaj się ode mnie proszę. Bo to ja przywarłem do Ciebie i tak już zostanie do śmierci" (Herbert). To cytaty z roku 1961, a dalej będą też wierszowane wyznania uczuć (wyróżnia się tu rymowany utwór Szymborskiej, stylizowany na miejską balladę), rysunki, starannie dobrane kartki pocztowe (stare i nowe), kolaże i wycinki prasowe. Pojawia się też Ten Trzeci, czyli wierszopis Frąckowiak vel Fronckowiak, autor sześciuset sonetów, czasem w roli rywala Herberta, a czasem – jego sługi, niekiedy też to on przejmuje pióro. Po zlikwidowaniu Związku Literatów Polskich zwraca się do nowego związku utworzonego z inspiracji władzy, do którego oczywiście ani Herbert, ani Szymborska nie wstąpili; „Przyjęli mnie entuzjastycznie sonety me podobały się p. Auderskiej [tj. prezesce neo-ZLP] szalenie"...

Ten ostatni przykład pokazuje, jak w zabawie dwojga znakomitych poetów odbijają się niby mimochodem niewesołe realia tamtego świata. W sierpniu 1983 r. Herbert posyła na ręce Szymborskiej list do jej partnera Kornela Filipowicza, dziękując mu za wiersze drukowane w „Tygodniku Powszechnym" („Widziałem człowieka spełniającego rozkazy"...). A klamrą zamykającą tę piękną opowieść jest telegram gratulacyjny Herberta po przyznaniu Szymborskiej Nagrody Nobla i odpowiedź laureatki: „Zbyszku, Wielki Poeto! Gdyby to ode mnie zależało, to Ty byś teraz męczył się nad przemówieniem...". ©℗

WYUCZONA NIEOMYLNOŚĆ

Wędrowny biegun, który zmienia adresy cywilizacjom, przemieszczając się od Aten przez Jerozolimę, Rzym i Londyn, znów wyruszył w drogę. Właśnie opuszcza Amerykę.

PAWEŁ POTOROCZYN

Donald Trump loguje się na Twitterze. Waszyngton, Londyn, Paryż, Berlin, Mexico City, Seul i kilka pomniejszych stolic wstrzymuje oddech. W tym samym czasie Pekin śpi spokojnie. Tam wiedzą, co będą robili do końca jego kadencji z dokładnością do kilku godzin. W Moskwie – karnawał. Do końca jego kadencji nic już nie muszą robić.

Trump zmienia świat, postrzeganie świata, i zmienia sposób, w jaki myślimy o postrzeganiu świata. Powstaje nowa ontologia, epistemologia i etyka. Nieźle, jak na skromne dwa lata prezydentury, bez innych znaczących osiągnięć.

Zwrot z archetypu

To, że przywódcy mogą cierpieć na zaburzenia osobowości lub tożsamości, albo oba jednocześnie, wiemy od dawna. Wydaje się, że nawet powinni – istnieją badania, z których wprost wynika, że właśnie dzięki zaburzeniom niektóre jednostki żywią przywódcze ambicje, że skuteczny lider musi być lekko walnięty. Nie znamy tylko koniecznych proporcji: ile i jakich zaburzeń musi wystąpić, by uwolniły się cechy przywódcze, skrajna determinacja i owa tajemnicza charyzma, będąca skrzyżowaniem wdzięku, narcyzmu i obłąkania. Przy czym ani zaburzona osobowość, ani tożsamość nie są w takich przypadkach oprawcami niewinnego, cierpiącego człowieka, lecz są ofiarą chorej logiki – logiki nieomylności: „Jestem liderem, ponieważ nie popełniam błędów. Nie popełniam błędów, ponieważ jestem liderem, a liderzy są nieomylni. Wiem, że wiem".

Jeśli zatem pewien typ zaburzeń jest kosztem stałym przywództwa, to czy mogą one również dotknąć cały kraj, który politycznie, gospodarczo i militarnie pozycjonuje się, rozpoznaje i wymusza traktowanie jako lidera? Czy kraj (państwo, naród, lud, wspólnota) może mieć osobowość i tożsamość?

Dowodu wprost nie ma, bo spór rozpoczęty wraz ze wschodem państwa narodowego nie chce się skończyć. Rozpoczęty przez filozofów i poetów, wpadł w łapska demagogów i kaznodziejów populizmu, postmarksistów i neoliberałów, millenarystów i millenialsów. Odżywa przy każdym cywilizacyjnym przesileniu. W gruncie rzeczy jest to niekończąca się dyskusja o granicach antropomorfizacji, czyli w istocie spór o prawomocność pewnego zbioru narzędzi poznawczych.

Nawet jeśli nie chce się jednoznacznie opowiedzieć po którejś ze stron sporu, to nadal trudno zlekceważyć kilka prostych pytań. Czy ktokolwiek zaprzeczy, że Szwajcaria ma osobowość? Czy ktokolwiek wątpi, że Niemcy mają tożsamość? I to nie jest tylko przywilej bogatych, bo nikt nie kwestionuje osobowości Nepalu czy tożsamości Etiopii. Rozmiar nie ma znaczenia. Luksemburg i Lichtenstein, a nawet Monako, Andora i San Marino to klarowne, definiowalne i rozpoznawalne tożsamości. Argument, że Stany nie mają osobowości, ponieważ są tyglem wielu tożsamości, upada w świetle jedynej sensownej odpowiedzi: że to właśnie ta mnogość jest ich tożsamością. Ameryka ma i osobowość, i tożsamość. Przywódcy. Swojego przywódcy.

Argument za poznawczym sensem takiej antropomorfizacji przychodzi z jeszcze jednej, najmniej oczekiwanej strony – ze świata biznesu. Globalna agencja reklamowa Young & Rubicam, która dziś zachowuje się bardziej jak instytut naukowo-badawczy niż reklamiarz, stworzyła narzędzie w branży znane jako Brand Asset Valuator. Zastosowane do działań na markach (w tym markach narodowych) przyniosło wymierny wzrost przychodów (lub standingu marki narodowej w międzynarodowych indeksach). Marki, które w komunikacji marketingowej przedstawiały siebie jako archetypy osobowości lub tożsamości, zaczęły szybciej rosnąć. To działa, nie tylko jako język opisu, ale jako praktyczne narzędzie. Przynosi zyski. Zwrot z archetypu. W naszym świecie dowody nie bywają bardziej empiryczne.

Dlaczego jako klienci i jako obywatele tak dobrze reagujemy na archetypy? Bo je znamy. Wszyscy. Od zawsze. Nawet jeśli nie umiemy ich ponazywać, to wciąż je znamy z doświadczenia wielu pokoleń – są częścią wspólnego kodu. Dlatego tak nerwowo reagujemy na ich złowrogie cienie. Na wszystko, co nie mieści się w kodzie konstytuującym archetyp, reagujemy lękiem. A lęk to żniwa populistów.

MATERIAŁY PROMOCYJNE

Kapitan Ameryka (Chris Evans) jako tapeta komputerowa

Osobowość mnoga i katalog

Czy kraj (państwo, wspólnota, naród, lud) może być zaburzony? Tak, jeśli usunąć z niego przewidywalność, ironię i wstyd.

Czy logika może być zaburzona? Tak, jeśli usunąć z niej prawdę, a zostawić rację.

Czy polityka może być zaburzona? Tak, jeśli usunąć z niej fakty.

Zaburzenie dysocjacyjne tożsamości, znane również jako osobowość naprzemienna, polega z grubsza na występowaniu dwóch lub więcej osobowości u zaburzonego osobnika, przy czym na ogół jest tak, że poszczególne osobowości nie wiedzą o swoim istnieniu. Nie wiedzą tak bardzo, że badania funkcjonalnym rezonansem magnetycznym wykazują u takiego człowieka aktywność różnych części mózgu, w zależności od tego, w jakim jest epizodzie, która z tożsamości aktualnie dominuje. To nie są tylko dwie różne dusze, to są dwa różne mózgi.

Ameryka, która tak sprawnie poruszała się wśród archetypów, żonglowała nimi i zarządzała w miarę doraźnych i strategicznych potrzeb, przymierzała jak letnie sukienki i zrzucała jak niewygodne buty, ta Ameryka dziś zarządza lękiem. Wybiera przywódcę, który wprawdzie nie rozumie lub lekceważy wyzwania współczesności, ale za to zna wszystkie proste odpowiedzi na lęki epoki. Najważniejsze słowo w tym zdaniu to nie „lęk", „epoka" ani „odpowiedź", ale „proste".

Przy archetypach, w których przegląda się dzisiaj Ameryka, czyha przykra niespodzianka – mniej powabna, a czasem po prostu ponura osobowość mnoga. Oto ich katalog.

MĘDRZEC. Czy to jest ten sam Mędrzec, który nie umie lub nie chce ograniczyć dostępu do broni obywatelom i jednocześnie nie potrafi zapobiec dostępowi do broni jądrowej szalonemu towarzyszowi Kimowi? Ten sam, który nie widzi, że walka klas trwa w najlepsze, tylko na innym planie, że oś konfliktu nie biegnie między bogatymi a biednymi – ponieważ bogaci odskoczyli już tak daleko, że są poza terytorium konfliktu – ale między biednymi a bardzo biednymi? Który nie rozumie, że po raz pierwszy Ameryka naprawdę potrzebuje sojuszników, a nie tylko klientów?

NIEWINNY. Szkoda gadać... Poczciwa Ameryka Woodrowa Wilsona, Herberta Hoovera czy nawet Roosevelta nie istnieje. Ciężko ranna w Mỹ Lai, a potem w Chile i Nikaragui, poległa ↦

↦ w Syrii. Zabiera biednym i rozdaje bogatym. Drwi z intelektu: „Jeżeli jesteś taki mądry, to dlaczego jesteś taki biedny?”. Kwestionuje swój własny wkład w mitologię popularną, czyli formatywny mit „od pucybuta do milionera”. I to po Obamie (od niewolnika do prezydenta). Niewinny, szlachetny i powabny etos ulega erozji, zastępuje go samoreprodukcja klasy nieomylnych. Od milionera (dziecka milionera) do miliardera. Od miliardera do prezydenta.

ODKRYWCA. Wynalazł polityczną poprawność i kiedy – zdaniem kobiet, kolorowych i gejów – w końcu zaczęła ona przynosić owoce, uznał, że jest nudna, kłamliwa i zbędna. Odkrywca, który wciąż szuka ropy, gazu i uranu, podczas gdy Chiny wydają więcej na import półprzewodników niż na import ropy i już teraz kontrolują połowę światowych zasobów kobaltu i pierwiastków ziem rzadkich. Ze zbioru cnót Odkrywcy zostało tylko zamiłowanie do ryzyka i to w jego infantylnej wersji. Bo chyba tylko dzieci i przywódcy zamiast kalkulować, strategizować i optymalizować ryzyka, wolą po prostu sprawdzić, na co jeszcze mogą sobie pozwolić.

KLAUN, który już nikogo nie bawi i nie buduje relacji przez dystans, ironię i poczucie humoru. Chyba jedyne supermocarstwo, które dobrowolnie zrezygnowało z *soft power*. Słyszałem podczas pewnej kolacji w Stanfordzie, jak rektor Condoleezza Rice, przyszła sekretarz stanu, powiedziała: „Po co nam *soft power*? Mamy przecież Hollywood”. Klaun, który nie doszacował psychologicznych skutków ironii. Najpierw prezydent (ówczesny) nazywa Rosję „mocarstwem regionalnym”, a zaraz potem Rosja zajmuje Krym i najeżdża wschodnią Ukrainę. Potem przyboczny prezydenta (ówczesnego) nazywa Rosję „stacją benzynową, która myśli, że jest państwem”, a stacja benzynowa w odwecie hakuje Ameryce wybory, czyli kradnie demokrację. I to w tak ostentacyjny sposób, że zostawia mnóstwo czytelnych tropów, czego potrafiłby uniknąć, gdyby chciał, początkujący członek Anonymous.

CZARODZIEJ, który wysłał człowieka na Księżyc, a człowieczeństwo do muzeum historii naturalnej, zmienił wszystkie składowe macierzy paradygmatu (model uczestnictwa, model kreatywny, model finansowania i model dystrybucji). Czarodziej, który potrafi wydobyć gaz z łupków, a łupki z parku narodowego. Czarodziej, który na zbrojenia wydaje więcej niż 26 następnych w kolejności państw razem wziętych, przy czym 24 z nich to sojusznicy. A i tak przegrywa wojnę za wojną. Jedyna magia, jaka się tu odbywa, to fakt, że po kryzysie finansowym 2008 r. nikt nie poszedł siedzieć, że księżycowa ekonomia, która pozwala zaparkować 80 proc. długu publicznego w jednym ręku (Chiny), trwa w najlepsze i że niemal co rok usługi publiczne uciekają przed bankructwem.

BUNTOWNIK, który lęka się własnego przywiązania do wolności, który w pośpiechu uczy się doktryny mniejszego zła. Buntownik, który paradoksalnie wierzy w siłę państwa prawa. Wierzy, że to państwo obroni jego swobody i wolności, w tym prawo do buntu, że ukarze złoczyńców, obnaży kłamstwo i wymierzy sprawiedliwość. Buntownik, który tłumaczy sam sobie, że mając dość przesłanek do wszczęcia procedury impeachmentu, nie może się do tego posunąć z obawy przed zamieszkami na bezprecedensową skalę. Bo to już nie jest tylko koszmarny sen szefa FBI czy głównodowodzącego Gwardii Narodowej – wielu trzeźwych, poważnych i rozsądnych analityków umie sobie wyobrazić możliwą reakcję wyborców Trumpa na próbę złożenia go z urzędu. A to ludzie gniewni, sfrustrowani i uzbrojeni po zęby. To nie jest samotny nastolatek, który naoglądał się „Matriksa”, ukradł tatusiowi uzi i rozstrzelał pół klasy oraz kilku nauczycieli. Ci ludzie są zorganizowani w milicjach, wyszkoleni i zsieciowani, często weterani. Wielu z nich umie zabijać, niektórzy nawet lubią. Ameryka pamięta Waco. W tym zaburzonym archetypie paradoksalnie buntownikiem okazuje się Rex Tillerson, uosobienie establishmentu i wcielony konserwatysta, który traci stanowisko sekretarza stanu po tym, jak nazwał Trumpa idiotą. Jeżeli buntownikami Ameryki są jej Tillersonowie, FBI i Gwardia Narodowa, to archetyp już nie rzuca ponurego cienia – stanął na głowie.

ZWYKŁY CZŁOWIEK. Ma być bezpretensjonalny, sympatyczny, skromny, pracowity, przyjazny i serdeczny. Jednak funkcjonalny analfabetyzm dotyczy niemal 20 proc. uczniów szkół średnich, co dwudziesty Amerykanin wierzy w płaskość Ziemi, a co dziesiąty nie wierzy w teorię ewolucji. Zwykłego człowieka już nie stać na zwykły amerykański sen ani na zwykłe wykształcenie dzieci. Nie stać go na wiedzę, musi polegać na newsach. Nie stać go na krytykę źródła tych informacji, musi poprzestać na opiniach takich samych jak on zwykłych ludzi. Nie stać go na samodzielną analizę, musi zaufać komentarzom mediotów. Im zwyklejszy zwykły człowiek, tym bardziej podatny na perswazję i manipulacje, aż do poziomu, na którym ulega rosyjskiemu trollowi. Nie stać go na wolność, ale została mu garść drobnych – dosyć, żeby sobie kupić antydepresanty. Za mało, żeby coś za to zbudować, ale wystarczy, żeby zburzyć. Dość, żeby patrzeć z góry, za mało, żeby patrzeć w dal. Jak ma być sympatyczny i przyjazny?

OPIEKUN. Walczy z biedakami, a nie z biedą. Opiekun, który z jednej strony usiłuje zlikwidować powszechnie dostępną opiekę zdrowotną, a z drugiej toleruje stan, w którym dochodzi do ponad stu tysięcy błędów w sztuce lekarskiej rocznie. To tak, jakby codziennie spadał jeden pasażerski jumbo jet. Codziennie. Trzydzieste pierwsze miejsce na świecie pod względem średniej długości życia. Za Kostaryką. Śmiertelność niemowląt na poziomie między Kubą a Białorusią, trzy razy wyższa niż w Szwecji. Możesz umrzeć na zawał na izbie przyjęć, jeśli wyszedłeś bez portfela z domu. Usunięcie hemoroidów wymaga kredytu hipotecznego – polip w dupie zadłuży cię na lata. Opiekun? W rzeczy samej. Pierwsze miejsce pod względem ilości więźniów na każde sto tysięcy mieszkańców.

KOCHANEK, którego nie można nie kochać, bo przecież jest *sexy*, otwarty na eksperymenty i bogaty. Ameryka nie musi umieć kochać, w zupełności wystarczy jej, że umie być kochana. Taki Kochanek oczekuje rozkoszy, ale dowody na to, że sam chce i umie ją dać, są skąpe. Nawet nie musi uwodzić – bierze, bo mu się należy. Czasem molestuje, a kiedy dochodzi do skandalu i aktu oskarżenia, robi wielkie oczy – sama chciała. Dzięki niekwestionowanej wielkiej urodzie, atrakcyjnej powierzchowności, muskularnej budowie i namiętnym obietnicom świat wciąż wierzy, że może liczyć na poważny związek z Kochankiem, któremu uważności i odpowiedzialności starcza zaledwie na szybki romans. Ten Kochanek nie wchodzi w związek, on ma partnerki. W wersji genderowo-symetrycznej to Kochanka, która nie wchodzi w związki, tylko eksploatuje kolejnych Greyów.

WŁADCA, którego każdego dnia zaskakuje sam fakt posiadania władzy, którego zdumiewa własna sprawczość i który z rozba-

WARNER BROS. / MAT. PRASOWE

Heath Ledger jako Joker w filmie „Mroczny rycerz" w reżyserii Christophera Nolana

wieniem testuje granice własnej nieobliczalności. Wznosi mury i nakłada cła. Demoluje zastany porządek, nie oferując zgoła nic w zamian, poza tanimi sloganami i kosztownymi szantażami. Nie rozumie, że panuje tylko wtedy, kiedy służy. I że nie ma ani takiej edukacji, ani takich osiągnięć biznesowych, ani takiego dorobku intelektualnego, który rzeczywiście przygotowywałby do sprawowania władzy. Gdzie decyduje się o rzeczach eschatologicznych i ostatecznych, jak życie i śmierć, i jednocześnie o tak prostych, jak środki do życia. Władca idealny to władca pokorny. Do wykonywania demokratycznego mandatu potrzebna jest skromność, do rządzenia wystarczy pycha. Bez elementarnego zasobu etycznego można być tylko okrutnym albo śmiesznym. W każdym władcy jest coś z klauna, w każdym klaunie jest coś z władcy.

WOJOWNIK, który nie licząc operetkowej inwazji na Grenadę, nie wygrał żadnej wojny od ponad 70 lat. Przegrywa wyścig zbrojeń liczony nie w głowicach nuklearnych, lotniskowcach i czołgach, ale w bramkach logicznych i algorytmach sztucznej inteligencji. Lubi małe, zwycięskie wojenki, które świetnie wyglądają w telewizji albo na monitorach operatorów dronów. Wojownik, w którego doktrynie funkcjonują jednostki rotacyjne. WTF? Rotuj się kto może?! Ale nowa zimna wojna (*tech cold war*) jeszcze się dobrze nie zaczęła, a już wydaje się rozstrzygnięta. Inna niż tamta konfrontacja Wschodu z Zachodem. Pojedynek giełdowych spółek myślących kwartałem obrachunkowym i wartością dla akcjonariuszy z potężnym państwem, które organizuje myślenie zależnych od siebie firm wokół perspektywy dekady lub dwóch. Starcie Androida z iOS.

KREATOR. Na badania i rozwój wydaje wprawdzie najwięcej na świecie i więcej niż kiedykolwiek (astronomiczne 455 mld dolarów w 2015 r.), ale udział państwa w tych nakładach systematycznie malał, aż osiągnął historyczne minimum na poziomie około 20 proc. Na harwardzkim seminarium słyszałem kilku wybitnych tamtejszych profesorów, jak z goryczą przyznawali, że żaden z innowacyjnych modeli biznesowych ani wielkich wynalazków, które naznaczyły to stulecie, nie powstał w uniwersyteckich laboratoriach, ale w garażach rodziców brodatych geeków wyrzuconych z college'u. Korporacje ze środka tabeli „Fortune 500" dysponują większymi budżetami na badania ↦

↦ i rozwój niż uczelnie ze szczytu listy szanghajskiej. Kupują sobie tylu badaczy, ilu trzeba, żeby stworzyć u siebie odpowiedniki całych wydziałów uniwersyteckich. Kreator sprywatyzował postęp, a uspołecznił ignorancję.

Stany Podzielone Ameryki

Trump przekonał nas, że z jego nadejściem zaczął się wiek XXI; że wędrowny biegun, który zmienia adresy cywilizacjom, od Aten przez Jerozolimę, Rzym i Londyn, właśnie znów wyruszył w drogę; że państwa mogą mieć instynkt samozachowawczy zupełnie jak ludzie i nie podejmować działań, które zagrażają fundamentom ich istnienia; że Stany Podzielone Ameryki w swej roli przywódczej zdradzają symptomy zaburzeń tożsamości charakterystyczne dla lidera; że najwyższą formą organizacji wspólnoty jest państwo prawa, bo nawet republikańskim jastrzębiom nie przejdzie przez myśl, aby dłubać przy konstytucji, żeby wysadzić w powietrze dochodzenie specprokuratora Muellera lub jego samego; że obnażył słabość potencjału symbolicznego Ameryki; że dowiódł, iż politologia nie jest nauką na gruncie żadnej z definicji nauki, od Szkoły Jońskiej, przez Ajdukiewicza do Poppera; że poprawił nastrój tym Polakom, którzy wprawdzie nie rozumieją, jak to możliwe, że PiS cieszy się 40-procentowym poparciem, ale pocieszają się, że przecież Amerykanie sobie Trumpa wybrali; że nikogo nie śmieszy dowcip „Jaka jest różnica między Panem Bogiem a Donaldem Trumpem? Pan Bóg nie myśli, że jest Trumpem".

W psychologii wyuczona nieomylność oznacza utrwalenie przekonań o jedynie słusznym związku przyczynowo-skutkowym, zachodzącym między własnymi działaniami a ich konsekwencjami, nawet jeśli relacja ta ma cechy sadystyczne. Pewien typ istot ludzkich szybko uczy się nieomylności, czyli poczucia, że ich osobista kontrola wzmocnień i wpływ na sytuację są stuprocentowo efektywne. W związku z tym uczą się oczekiwać narzędzi wzmagania kontroli w przyszłości. To oczekiwanie prowadzi do deficytów poznawczych, motywacyjnych, emocjonalnych i społecznych, a te z kolei prowadzą do trudności w uczeniu się, izolacji społecznej, deprywacji emocjonalnej, które mogą skutkować frustracją, poczuciem panowania nad innymi, nadużywaniem substancji psychoaktywnych oraz popadaniem w nałóg seksualny.

Wyuczona nieomylność potrafi też być kategorią socjologiczną, gdy okazuje się, że można się nią zarazić od otoczenia. Wówczas odnosi się do warstw uprzywilejowanych, których członkowie wierzą, że wobec nierówności społecznych jednostka musi sobie poradzić sama, czyli nie potrzebuje wsparcia państwa ani żadnych usług publicznych. Tak rozumiana wyuczona nieomylność siłą rzeczy musi jednocześnie prowadzić do subiektywnego poczucia alienacji i obiektywnej alienacji. Wywoływana jest poczuciem całkowitej kontroli nad życiem własnym i innych przy całkowitym braku związków z kontekstem społecznym. Alienacja ta wywodzi się również z zaniku norm, które uniemożliwiają liderowi realizację celów lub zaspokojenie potrzeb. Przywódca musi stworzyć własny system normatywny – taki, który wprawdzie izoluje, ale nie przeszkadza w osiągnięciu celów. Główną konsekwencją takiej alienacji jest nowy, szczególny język i narastające poczucie wszechwładności. Zgadza się?

Wykorzystawszy figurę antropomorfizacji do granic, na jakie zezwala esej, muszę dokonać osobistego wyznania: rozumiem każdego, kto nie zgadza się z żadną tezą ani argumentem użytym w tym tekście. Spędziłem w Ameryce dziesięć najlepszych lat życia, tam wszystkiego się nauczyłem i wypróbowałem w praktyce. Amerykę wybrały moje dzieci. Tak jak wielu moich tamtejszych przyjaciół, tęsknię za tą piękną, dobrą i mądrą – Ameryką niewinnego zwykłego człowieka, opiekuńczego władcy, mądrego buntownika, wojowniczego odkrywcy i czarującego kochanka. Spokojnie poczekam.

Ale badając od lat upadki przywódców i kryzysy przywództwa, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że najtrudniej podnieść się z nieomylności. Zaraz potem na liście jest śmieszność.

© PAWEŁ POTOROCZYN

Autor pisze dla „Tygodnika Powszechnego" od 35 lat. Były dyrektor Instytutu Kultury Polskiej w Nowym Jorku i w Londynie. W latach 2008-16 dyrektor Instytutu Adama Mickiewicza. Nominowany do Nagrody Literackiej Nike i Nagrody Literackiej Gdynia za powieść „Ludzka rzecz" (2013).

TP

Kluby „TP" zapraszają

BIELSKO-BIAŁA, wtorek, 24 kwietnia, godz. 17.30
Spotkanie „Dialog i wolność". Gościem będzie ks. dr Grzegorz Strzelczyk. Miejsce: Sala SP nr 2 Tow. Szkolnego im. Reja (pl. Lutra 8 budynek B).

GDAŃSK, czwartek, 12 kwietnia, godz. 18.30
Spotkanie „Czy istnieją granice sacrum i profanum w sztuce i kościele?". Gościem będzie Piotr Sikora. Miejsce: Fundacja Hospicyjna (ul. Kopernika 6).

GLIWICE, poniedziałek, 16 kwietnia, godz. 17.30
Spotkanie „Tischner czyta Katechizm". Miejsce: Dom Aktywnej Młodzieży (ul. Barlickiego 3, sala 15).

KRAKÓW, piątek, 13 kwietnia, godz. 18.00
Spotkanie „Tischner czyta katechizm" – Dialog. Miejsce: Instytut Myśli Józefa Tischnera (ul. Sławkowska 14).

LONDON, sobota, 21 kwietnia, godz. 18.15
Spotkanie poświęcone ks. Janowi Ziei. Miejsce: sala parafialna Matki Boskiej Częstochowskiej (419 Hill Street, London, Ontario).

WARSZAWA, sobota, 21 kwietnia, godz. 16.00
Kawiarenka klubowa „Codzienność Wielkanocy". Gościem będzie o. Wacław Oszajca. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Andersa 13).

ZIELONA GÓRA, czwartek, 19 kwietnia, godz. 18.00
Spotkanie „Niemcy i Polacy – Chrześcijanie… tak niewiele o sobie wiemy". Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

PAWEŁ

Bravo:
Niekoszerny temat

Koszerny bekon? To nie żadna tandetna operacja na słowach, w rodzaju sojowego schabowego czy flaczków z boczniaka. Rabin Yuval Cherlow z organizacji Tzohar, skupiającej kilkuset ortodoksyjnych rabinów z Izraela, wypowiedział się na temat mięsa pochodzącego z klonowania. „Jeśli materiał genetyczny komórki świni jest używany w produkcji żywności, traci swoją pierwotną tożsamość, więc nie można zakazać jej spożywania. To nawet nie jest mięso, więc można to podawać razem z nabiałem" – orzekł w wypowiedzi cytowanej szeroko w izraelskich mediach.

Jego rozmówcom nie udało się jednak doprecyzować ważnej kwestii: czy chodzi tylko o tzw. syntetyczne mięso, czyli materiał pochodzący z kultury laboratoryjnej, gdzie rozmnaża się wyselekcjonowane komórki zwierzęcia? A może dyspensa obejmuje także mięso bliższe naszemu intuicyjnemu rozumieniu tego słowa, tzn. uzyskane ze świni, która na świat przyszła wskutek sklonowania komórek, nie zaś poprzez poczciwą inseminację?

W pierwszym przypadku wcale się rabinowi Cherlowowi nie dziwię, że nie widzi problemu w zjadaniu mięsa z probówki: również w mojej głowie „tożsamość" zjadanego kotleta wiąże się nierozerwalnie z faktem, iż został pozyskany z ciała zwierzęcia, które narodziło się i zostało zabite po to, by mój głód zaspokoić. Gdybyśmy jednak chcieli przyjąć tę drugą, luźniejszą interpretację – że mianowicie nie tylko zlepek komórek, ale i całe zwierzę, które przyszło na świat jako klon innego osobnika, nie należy do swojego gatunku – wchodzimy na grząską filozoficznie ścieżkę. Na jej końcu musi się pojawić pytanie, od którego naprawdę może się odechcieć obiadu: czy po sklonowaniu człowieka otrzymujemy również człowieka? Do jakiego stopnia za tożsamość takiej istoty odpowiadają techniczne szczegóły powstania organizmu?

Ludzie operujący wyłącznie w doczesnej perspektywie machną ręką, bo dla nich religijne tabu jedzeniowe to li tylko funkcja warunków bytowych wspólnoty, która je sobie wymyśliła. To znaczy np. problemów higienicznych i zagrożeń dla zdrowia – zakaz jedzenia czegoś lub nakaz zabijania w określony sposób byłby zatem czymś w rodzaju zalążkowej formy norm sanepidu. Dla takich ludzi świnia powstała w wyniku klonowania nie jest ani trochę mniej niebezpieczna niż ta „zwyczajna", bo tak samo jak ona żyje w brudzie i grożą jej te same pasożyty.

Najprościej na wszelki wypadek nie jeść wieprzowiny i w ogóle mięsa, odpowiecie zirytowani, bo z warzywami nie ma problemu. Nic z tych rzeczy! W okolicach rzymskiej synagogi przed ostatnią Paschą wybuchło spore zamieszanie, ponieważ naczelny rabinat Izraela zakazał importu z Włoch karczochów przyrządzanych *alla giudia*. Są to karczochy specjalnej, kulistej odmiany, o bardziej mięsistych liściach. Przecina się je w poprzek kwiatu, po czym stawia tą przeciętą stroną na patelni i smaży na bardzo chrupko. W czym problem? Otóż między płatkami karczocha mogą się czaić różne robaki, których zdecydowanie jeść nie wolno, jeśli chce się zachować religijne nakazy czystości. Płatki ściśle przylegają do siebie, więc nawet staranne mycie nie zapobiegnie ryzyku.

Ale to nasza parusetletnia tradycja! – głośno protestują rzymscy Żydzi. Co prawda zakaz płynący z Izraela nie ma bezpośrednio wpływu na to, co wolno, a czego nie wolno zjeść pobożnemu człowiekowi w Rzymie, ale sprawa jednak boli, choćby dlatego, że w trwającym teraz sezonie karczochy *alla giudia* są magnesem przyciągającym turystów.

Ktoś sprytnie zaproponował, żeby pogodzić obie strony: można otóż „rozebrać" karczocha co do płatka, każdy starannie umyć, żeby nie uchował się najmniejszy robaczek, po czym spróbować złożyć wszystko do kupy, czymś związać i dalej smażyć po staremu. Trzeba jednak uważać, bo tradycje nie lubią takich dekonstrukcji i rekonstrukcji, o czym wiedzą artyści tzw. krytyczni, ścigani za obrazę moralności. Nie zanosi się na szybkie wygaszenie konfliktu: tuż przed Paschą naczelny rabin Rzymu i szef gminy nagrali klip wideo z życzeniami. Co na nim widać? Obaj panowie z nożykami w ręku pracowicie obierają karczochy i nie sądzę, żeby je potem wyrzucili. ©℗

Co zrobić, kiedy karczochy docierające do Polski są często przesuszone i zwiędłe? Weźmy danie, które pozwala je długo dusić, czyli risotto. 4 duże karczochy czyścimy i obieramy według procedury, którą łatwo znajdziecie na YouTubie. Odcinamy łodygę przy podstawie kwiatu i obieramy ją skrobaczką z wierzchniej warstwy włókien, kroimy w drobną kosteczkę i odkładamy na bok do miski z wodą. Kwiaty rozcinamy na ćwiartki lub ósemki, i wydłubujemy resztki „włosków". Dusimy kwiaty na oliwie z 1 drobno posiekaną cebulą, podlewając regularnie wodą lub bulionem ok. 10 minut, aż będą dość miękkie. Odstawiamy. Przystępujemy do robienia risotta – 320 g ryżu prażymy kilka minut na maśle z posiekaną cebulą, podlewamy winem, dodajemy pokrojoną łodygę karczocha, zalewamy bulionem i powoli gotujemy jak zwykle risotto, delikatnie mieszając i dodając płynu, w miarę jak ryż go „wypija". Po ok. 10 minutach dodajemy uduszone kwiaty karczocha, kontynuujemy gotowanie aż do miękkości ryżu, dodajemy masło i parę łyżek parmezanu.

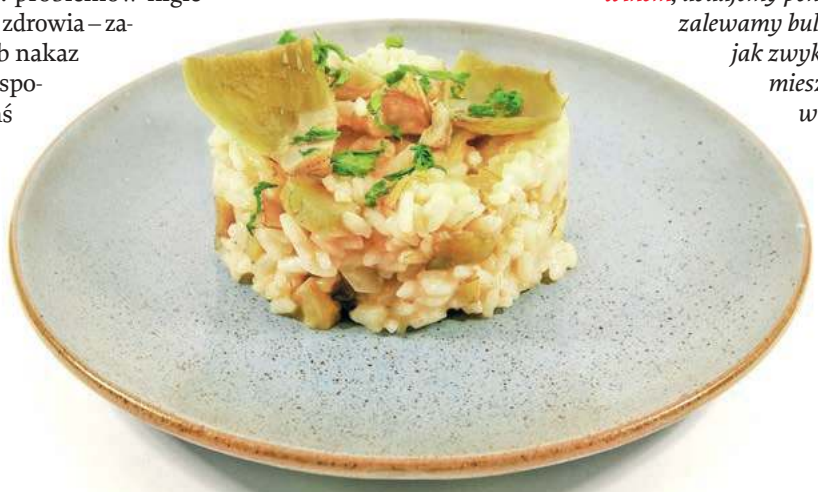

GIOVANNI BOSCHERINO / ALAMY STOCK / BEW

STANISŁAW

Mancewicz:
Ostatnia setka

Naturalnie, ilekroć wchodzimy do jubilera czy szlifierni diamentów, tylekroć powtarzamy święte słowa Gospodarza, że musi być skromnie. Jubilerzy i szlifierze znając nasze kokieterie, śmieją się szczerze, machając do nas bądź to naszyjnikami, bądź to szlifierkami. Podobnie jest zawsze w magazynach cygar, koniaków, w składach kawioru czy w hurtowniach koronkowej bielizny. Musi być skromniej i będzie skromniej. To i myśl, i słowa, które uważamy za arcysłuszne, które cisną się nam na usta często, ale zawsze za późno.

Pojawiają się w pełniejszym kształcie, nie przy wyborze lokalu, nie przy studiowaniu menu, nie przy przystawkach, ale gdy jesteśmy już przy deserach, przy owym ostatnim kawałeczku czekoladki, ostatnim kieliszku, gdy gały nam już wyłażą z orbit. Musi być skromniej – mówimy sobie, gdy toczymy nasz korpus ku kuloodpornej limuzynie, którą podróżujemy tylko dla pomyślności ludu, zgodnie z *vox populi* oraz *vox dei*. Musi być skromniej – myślimy, gdy siedzimy na jachcie kiwającym się w imię tzw. dobrego imienia. Niby się ciągle uczymy, w samolocie, w mieszkaniu, na tym jachcie, niby wszędzie się uczymy i powtarzamy w kółko nasze ulubione słówka: będzie skromniej, ale i od czasu też owe: należy się. Niestety konfliktu tych marzeń na trzeźwo nie jesteśmy w stanie rozgryźć.

Musi być skromniej, ale jak ma być skromniej, skoro się należy? Jak znaleźć balans pomiędzy tymi sprzecznościami? Tak, to pytanie jest – owszem – jakby na miarę naszej zdolności do rozmyślań abstrakcyjnych, które docierają do naszego rozumu z dna pasażu spożywczego, to tam bowiem leży nasz ośrodek inicjujący tzw. refleksje. Nęka nas jednak ta sprzeczność i choć próbujemy ją odpędzić za pomocą kolorującej życie setuchny, to skomplikowanie owego dylematu wpędza nas w kołowaciznę. Znane to są stany powszechnie, że oto należy się! – wołamy hardo, wznosząc lufkę żytka i zaraz potem, wąchając skibkę czerstwego chlebka, mamroczemy, że jednak musi być skromniej. Stada pawi nam już gdaczą we łbie, ale koledzy wołają: chłopie weźże, nie teguj! Należy ci się! Ostatkiem sił cytujemy im Geniusza z Mazowsza, że skromniej ma być i będzie, a oni na to bawią się półsłówkami, jak to pijacy, i rechocząc wykrzykują obelżywie, że pradziadek przy saniach, i dawajże polewają nam i sobie za skromność! Do utraty kontaktu z pozorną rzeczywistością i stępienia pazurków.

Poranki są przykre. Budzimy się w stanie silnego dygotu i przepicia, rozciapciania i przeżarcia, w ciągłym splątaniu pomiędzy owym należy się a mnisim poleceniem skromności. Nasza zdolność do przemyśliwań – jak to na kacu – staje się jednak świeższa, przez co nastroje stają się niestety czarne. We łbie kołacze się mus natychmiastowego przyklinowania, ot na tyle, by odpędzić mroczne skojarzenia. Bo to i Robespierre staje nam przed oczyma, jesteśmy bowiem ogromnie oczytani, a to i Saint-Just takoż nam staje w śmiertelnym gieźle, więc patrzymy lękliwie do kalendarza, czy dziś nie jest przypadkiem dziewiątego thermidora. Wtedy to konflikt pomiędzy skromniej a należy się rozwiązał wynalazek pewnego gibkiego chirurga, który dostrzegł sens użyteczności prawa grawitacji. Popatrujemy takoż ponuro przez okno, czy w ramach akcji mieszkanie plus nie budują przypadkiem czegoś na kształt Conciergerie. Łyczek piwka luzuje zwieracze, zauważamy więc trzeźwo, że jest dopiero wczesna wiosna, a dziewiątego thermidora to przewszakże był koniec lipca. Jest czas, więc należy się w skłóceniu ze skromniej będzie można spokojnie przedyskutować na wieczornym posiedzeniu komitetu politycznego. Pojedziemy nań skromnie, jachtem zaprzężonym w sto koni, przez miasto. Należy się. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

Suwerenni dzięki Wam, nadal rośniemy!

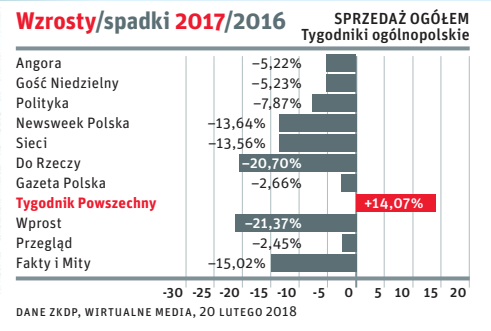

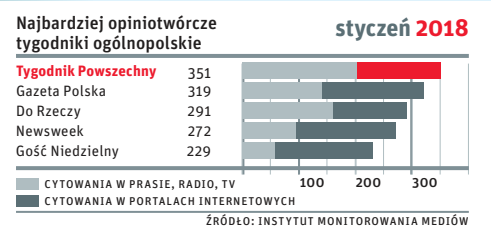

Mija kolejny rok, w którym coraz więcej Czytelniczek i Czytelników sięga po „Tygodnik Powszechny". Ufamy, że ten wynik to nie tylko efekt docenienia przez Państwa niezależności oraz dbałości o obiektywizm i wiarygodność informacji w naszym piśmie, ale także tego, że zabiegamy o jakość debaty publicznej, nie angażując się bezpośrednio w spory partyjne.

ODPOWIEDZIALNE DZIENNIKARSTWO to także niedopuszczenie do degradacji więzi i relacji tworzących wspólnotę. Dlatego na naszych łamach nie stajemy po żadnej ze stron, lecz relacjonujemy fakty, opisujemy postawy i komentujemy poglądy. W działalności pozawydawniczej (festiwale Conrad i Copernicus, akcja społeczna Lekcje Czytania, debaty) staramy się łączyć, nie dzielić, poznawać różne punkty widzenia, dyskutować i poszerzać horyzonty, widząc w tym drogę do pełniejszego poznania świata i wyzbycia się lęku.

JESTEŚMY PRZEKONANI, że los odpowiedzialnego dziennikarstwa leży Państwu na sercu. Dlatego prosimy o przekazanie 1% podatku **FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO**. Jej najważniejszym zadaniem jest zachowanie dziedzictwa „Tygodnika". Fundacja ponosi też właścicielską odpowiedzialność za suwerenny rozwój pisma. Festiwale kulturalne i akcje społeczne, które organizujemy, pozwalają wyjść z misją „TP" poza gazetowe łamy i przyciągnąć nowych czytelników.

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

SKALA I SKUTECZNOŚĆ działań Fundacji Tygodnika Powszechnego zależą od naszych Czytelników i Przyjaciół. Za wszelkie wsparcie: 1% podatku, darowizny pieniężne czy sponsoring naszych przedsięwzięć – jesteśmy Państwu ogromnie wdzięczni.

1%

Fundacja Tygodnika Powszechnego posiada status OPP, co oznacza, że można, i że warto przeznaczyć na jej działalność 1 procent podatku, wpisując w rozliczeniu rocznym PIT w odpowiedniej rubryce nr KRS:
0000125605
Darowizny na rzecz Fundacji prosimy wpłacać na konto:
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Ks. Adam Boniecki
redaktor senior, przewodniczący Rady Fundacji TP

Aleksander Kardyś
prezes zarządu Fundacji TP

Edyta Płachta
członkini zarządu Fundacji TP

Jacek Ślusarczyk
prezes zarządu „TP"

Maja Kuczmińska
członkini zarządu „TP"

Piotr Mucharski
redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE OPP / FOT. GRAŻYNA MAKARA

REKLAMA

MUZEUM HISTORII ŻYDÓW POLSKICH POLIN

POLIN
MUZEUM HISTORII ŻYDÓW POLSKICH

OBCY W DOMU

WOKÓŁ MARCA '68
WYSTAWA CZASOWA
09.03 – 24.09.2018

WWW.POLIN.PL

OBCY W DOMU
WOKÓŁ MARCA '68

MECENAS

WSPÓŁORGANIZATOR

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY

WSPARCIE

TAUBE FOUNDATION

WILLIAM K. BOWES, JR. FOUNDATION

GEOP

Sills Family Foundation

David Goldman i Debbie Bisno oraz Fellowships at Auschwitz for the Study of Professional Ethics / Marek i Agnieszka Nowakowscy / Andrzej i Małgorzata Rojek / Jerry Wartski z rodziną / Paul Goldner i Sandy Soifer

NEUBAUER FAMILY FOUNDATION

PATRONI MEDIALNI

zwierciadło · sens · wyborcza · wyborcza.pl WARSZAWA · cojestgrane24 · ams · HISTORIA · naszemiasto · empik · VIVA!

PARTNER INSTYTUCJONALNY

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE